



B 311904

II

STANISŁAW
WALTOŚ
NA TROPACH
DOKTORA
FAUSTA
I INNE SZKICE



Collegium S. Jana, Kantego a. Kraków
ciężki Dzwonny główny

Na tropach doktora Fausta i inne szkice to zbiór siedmiu szkiców składających się na historię Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Punktem wyjścia do każdego z nich były skojarzenia obiektu znajdującego się w Collegium Maius z wydarzeniami historycznymi i ich bohaterami. Konkretnie przedmioty historyczne (malowidło, rysunek ołtarza, klocki drzeworytnicze czy zegar) stały się inspiracją dla autora do wędrówki po ścieżkach historii. Kilka szkiców (*Kronika trzech dni*, *Dziwne lasy uniwersyteckich „stroszianów”*, *Klocki doktora Marcina Lutra*) poświęcone są wydarzeniom ze średniowiecza, inne dotyczą epok późniejszych (*Na tropach doktora Fausta*, *Legenda „starego zegara” z Pana Tadeusza*), kolejne opowiadają o czasach współczesnych (*Uniwersytet w smudze Holokaustu*, *Estreicherowie osobliwości Collegium Maius*). W rezultacie powstał zbiór esejów, napisanych stylem narracyjnym, z indywidualną werwą autorską niepozbawioną sentymentu do ludzi i przedmiotów – zbiór o dużej różnorodności chronologicznej, tematycznej, a nawet stylistycznej, który jest świadectwem najstarszej polskiej Alma Mater.



B 311904

II

STANISŁAW
WALTOŚ
NA TROPACH
DOKTORA
FAUSTA
I INNE SZKICE





B 311904

II

NA TROPACH
DOKTORA FAUSTA
I INNE SZKICE



STANISŁAW WALTOŚ

NA TROPACH

DOKTORA

FAUSTA

I INNE SZKICE



Biblioteka Jagiellońska



1000674567

374361

OPRACOWANIE REDAKCYJNE

Anna Szymanowska

OPRACOWANIE
GRAFICZNE I TYPOGRAFICZNE

Andrzej Barecki

DOBÓR ILUSTRACJI I PODPISY

Maria Gajek

ILUSTRACJA NA OBWOLUCIE

COLLEGIUM MAIUS, RYS. J. BRODOWSKI, OK. 1836 R.,
MUZEUM HISTORYCZNE MIASTA KRAKOWA

ZDJĘCIE AUTORA NA SKRZYDEŁKU OBWOLUTY
KONRAD K. POLLESCH

FOTOGRAFIE I REPRODUKCJE

AKG IMAGES/EAST NEWS – STR. 51, 68; J. KOZINA – STR. 14(GÓRA), 23, 24,
25, 77, 78, 130, 132, 143, 152, 169, 182, 233, 235, 236, 237; S. WALTOŚ – STR. 49(DÓŁ), 95;
G. ZYGIER – STR. 14(DÓŁ), 20, 28, 30, 33, 35, 40, 49(GÓRA), 63, 66, 88, 126, 133, 140, 146,
156, 191, 196, 208, 212, 215, 216, 217, 218, 220(PRAWA)

© COPYRIGHT BY WYDAWNICTWA SZKOLNE I PEDAGOGICZNE SPÓŁKA AKCYJNA
WARSZAWA 2004

ISBN 83-02-09056-5

WYDAWNICTWA SZKOLNE I PEDAGOGICZNE SPÓŁKA AKCYJNA
02-305 WARSZAWA, AL. JEROZOLIMSKIE 136
ADRES DO KORESPONDENCJI: 00-965 WARSZAWA, P. POCZTOWA NR 9

www.wsip.com.pl

WYDANIE I

DRUK I OPRAWA
POZNAŃSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE S.A.



Bibl. Jagiell.

2004 EO 380/11

SPIS TREŚCI

- 7 KILKA SŁÓW OD AUTORA
- 11 KRONIKA TRZECH DNI
- 39 DZIWNE LOSY UNIWERSYTECKICH
„STWOSZIANÓW”
- 65 KLOCKI DOKTORA MARCINA LUTRA
- 87 NA TROPACH DOKTORA FAUSTA
- 129 LEGENDA „STAREGO ZEGARA”
Z PANA TADEUSZA
- 155 UNIWERSYTET W SMUDZE HOLOKAUSTU
- 181 ESTREICHEROWE OSOBLIWOŚCI
COLLEGIUM MAIUS

Dorocie – mojej Żonie

KILKA SŁÓW OD AUTORA



biór tych szkiców powstawał jakby na marginesie moich głównych zainteresowań naukowych. Jest on nieuchronnym następstwem przygody muzealnej, w jaką wdałem się ponad 25 lat temu i która trwa do dzisiaj. Nie wykazałem wówczas dostatecznej siły charakteru, aby oprzeć się namowom mojego znakomitego poprzednika w Collegium Maius, profesora Karola Estreichera juniora, jednego z najciekawszych ludzi w Polsce XX wieku. Wszedłem w nowy dla mnie świat, pełny pułapek zastawionych na ignoranta i człowieka spoza środowiska. Dotychczasowe doświadczenia sprzed kilku lat na małym poletku muzealnym miały tylko niewielkie znaczenie. Zaczęło się poznawanie sztuki muzealnictwa i uczenie się proweniencji oraz atrybucji muzealiów, za które miałem ponosić odpowiedzialność. Trwa ono nadal i skończy się dopiero w ostatniej chwili mojej obecności w Collegium. To nauka pokory wobec własnej niewiedzy i erudycji innych.

Znalazłem się pod niedostrzegalną a przemożną presją historii, przekazywanej dzień w dzień przez wszystko, co składa się na Collegium Maius. Historia jest tam wszędzie. Nie tylko Uniwersytetu Jagiellońskiego i nauki, również kultury polskiej i europejskiej. Sama wrywa się do jej odczytywania z każdego kamienia i każdego przedmiotu. Także oczy tylko do połowy otwarte muszą ją dostrzec.

Nawet marny i bezmyślnie namalowany portret przypomina człowieka, zaprasza do wędrowania po szczegółach jego biografii. Jeżeli zaś portret tego samego człowieka jest

odbiciem jego psychiki i zawiera ponadto coś, co nadaje mu cechy wyjątkowości, wycieczka do życiorysu staje się nieuchronna. W Sali Chemii w Collegium Maius wisi duży portret Stanisława Bieżanowskiego, profesora Akademii Krakowskiej, o którym by dziś nikt nie pamiętał, gdyby właśnie nie ten portret. Nieznany cechowy artysta przedstawił go z daszkiem na czole, celowo chroniącym oczy. Są to zresztą oczy człowieka prawie już oślepego. Obraz intryguje, zmusza do postawienia pytania o portretowanego. Był to XVII-wieczny profesor historiografii w Collegium Maius, pisywał panegiryki, nie zostawił po sobie żadnego dzieła, z którego korzystałaby potomność. Cierpiał na chroniczne zapalenie spojówek, które ostatecznie doprowadziło do utraty wzroku. I to wszystko, co można o nim dzisiaj powiedzieć. Nie byłoby jednak nawet tych słów, gdyby nie ów obraz, odbiegający od innych.

Podobnie rzecz ma się z innymi przedmiotami muzealnymi. Wystarczy czasem złożyć kilka razem, aby zaczęły prowokować dyskusję o wydarzeniach historycznych i o tych, którzy w nich udział brali.

W jednym z najpiękniejszych muzeów świata, w słynnej Frick Collection przy Fifth Avenue w Nowym Jorku, po obu stronach wielkiego kominka wiszą dwa portrety malowane przez Holbeina. Po lewej portret Sir Tomasza More'a, słynnego kanclerza króla Henryka VIII, twórcy *Utopii*, który dał głowę w 1535 roku za opieranie się ostatecznemu zerwaniu z Watykanem. Po drugiej stronie portret Tomasza Cromwella, także kanclerza Anglii, który przyczynił się do stracenia More'a. Po pięciu latach sam stanął również na szafocie. Ofiara i prześladowca, który sam stał się ofiarą systemu rządów Tudorów. Oba razem wzięte portrety więcej mówią o czasach Henryka VIII niż niejedno grube i uczone dzieło.

Collegium Maius ma znacznie więcej takich zestawień. Tu tylko dwa przykłady. W szafce narożnej w Drugim Skarbcu

Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego ułożone są koło siebie: kałamarz używany w czasie podpisywania Konstytucji 3 maja, medal wybity dla uczczenia konfederacji targowickiej w 1793 roku i wielki srebrny medal z 1797 roku, tłoczony na polecenie cara ku pamięci zmarłego w Petersburgu króla Stanisława Augusta. Chwile chwały, klęski i upokorzenia.

W Librarii, na barokowym zielonym stole stoi urna do głosowania pochodząca z 1887 roku, gdy oddawano do użytku w okresie autonomii galicyjskiej główny gmach uniwersytecki, Collegium Novum. Urna neogotycka, dziś już ponad stuletni zabytek. Obecność jej w Librarii często otwiera dyskusję nad historią i zakresem autonomii szkół wyższych, cofa myśl do epoki PRL, gdy urna stała bezużytecznie w czasie powoływania rektorów, bo w latach 1949–1958 i 1968–1980 wyborów nie było, wszystkie władze w uniwersytetach pochodziły z nominacji. Jej bezczynność za każdym razem stawała się symbolem pozbawienia społeczności akademickiej prawa do decydowania o losach uczelni. Inna sprawa, że urna ostatnimi laty ponownie wyszła z użytku. Zgodnie z prawem Parkinsona liczba członków Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego powiększyła się do tego stopnia, że urna nie pomieściłaby wszystkich zebranych głosów. A co powiedzieć o wyborach rektora i prorektorów, które przeprowadza się w czasie zebrania kolegium elektorów, liczącego prawie 200 członków?

Punktem wyjścia do każdego ze szkiców były skojarzenia obiektu w Muzeum z wydarzeniami historycznymi i ich bohaterami. Tylko z powodów redakcyjnych, gdy niektóre z nich wcześniej były publikowane, nie pojawiały się te odniesienia. Teraz, gdy mają ukazać się razem w formie książkowej, nie ma powodu, aby ukrywać, że konkretny przedmiot zabytkowy wywoływał równie konkretne skojarzenia historyczne i stawał się punktem wyjścia do wędrówki po ścieżkach historii.

Na pierwszy rzut oka widać znaczną rozbieżność tematyką szkiców. Niektóre poświęcone są wydarzeniom ze

średniowiecza, inne z późniejszych epok. Jeszcze inne dotyczą już czasów prawie współczesnych.

Dlaczego znalazły się w jednym tomie mimo tak wielkiej tematycznej różnorodności, a nawet nie zawsze ze sobą spójnej konwencji stylistycznej? Odpowiedź może być tylko jedna - zawsze inspiracja do pisania tkwiła w czymś, co znajduje się w Collegium Maius. Mówi się, że *habent sua fata libelli*, książki mają swoje losy. To samo można powiedzieć i o obrazach oraz ich twórcach: *habent sua fata picturae et artifices*.

W tym zdaniu jednak tylko połowa prawdy. Zabytek jest zawsze świadectwem historii. Dzieje zaś najstarszej polskiej Alma Mater zajmują w niej okazałe miejsce. Mam wrażenie, że wyraziście scalają te szkice w pewną całość.

Oddając tę książkę w ręce Czytelnika, chciałbym podziękować wszystkim, którzy swoimi uwagami przyczynili się do jej ostatecznego kształtu, a szczególnie moim nieocenionym Współpracownikom w Collegium Maius.

KRONIKA
TRZECH
DNI





TYPUS FOUNDATIONIS, WG DRZEWORYTU Z 1628 R.,
MAL. Z. PABISIAK, TEMP., OLEJ, DESKA, OK. 1955 R., MUZEUM UJ



ypus fundationis Academiae Cracoviensis, obraz założenia Akademii Krakowskiej, tak nazywa się duże malowidło wypełniające całą ścianę niewielkiej zresztą sali poświęconej pamięci Mikołaja Kopernika w Collegium Maius. Z daleka wygląda jakby powstało w XV wieku. Zdają się o tym świadczyć złote tło z tłoczonym ornamentem roślinnym, styl malowania, gotycki program ikonograficzny i czarna, bardzo prosta rama z ćwiekami w rogach, taka, w jakie zazwyczaj obrazy tablicowe oprawiano w średniowieczu.

Centralne miejsce obrazu zajmuje budynek Akademii. Podtrzymują go z obu stron fundatorzy królowa Jadwiga i król Władysław Jagiełło w otoczeniu świętych, Polaków i Litwinów. Na parterze przy mniejszym ołtarzowej modli się św. Jan Kanta. Budynek nie ma ściany frontowej, widać więc salę pierwszego piętra, w której profesor wyklada coś z książki studentom. Na ramie dwa napisy. Na górnej listwie *Fundatio Academiae Cracoviensis A.D. MCD*, na dolnej zaś *Ex Altari & Epitaphio ad Mausolaem Diui Vladislavi Jagellonis*, z ołtarza i epitafium przy grobowcu świętej pamięci Władysława Jagiełły.

Karol Estreicher powiesił obraz w tak zwanym pokoju Kopernika nie dlatego, że w nim była wolna ściana. Zawsze celowo zestawiał ze sobą przedmioty i zawsze dbał o to, by powstawało wrażenie przypadku. Umieszczając przedstawienie fundacji Akademii tam, gdzie postanowił eksponować autentyczne instrumenty astronomiczne z XV wieku,



KRÓLOWA JADWIGA, MAL. S. BIANCHI,
OLEJ, PŁÓTNO, 1. POŁ. XVII W., MUZEUM UJ



TABLICA NA KAMIENICY PRZY PL. WOLNICA 11
WSKAZUJĄCA NA PRZYPUSZCZALNĄ LOKALIZACJĘ
BUDOWANEJ PRZEZ KRÓLA KAZIMIERZA WIELKIEGO
SIEDZIBY UNIWERSYTETU

które najprawdopodobniej kiedyś znajdowały się w rękach Kopernika, chciał chyba tak powiedzieć: założona ponownie Akademia Krakowska w 1400 roku¹, jeszcze w tym samym wieku zdolna była wykształcić jednego z największych geniuszy w nauce.

Zanim będzie kilkanaście słów o autentyczności obrazu, zatrzymajmy się przy jego przesłaniu. Ma on upamiętnić po chrzcie Wielkiego Księstwa Litewskiego drugie wielkie wspólne dzieło królowej Jadwigi i Władysława Jagiełły – ponowne założenie uniwersytetu krakowskiego. Skłania on do krótkiej zatem wycieczki do tamtych czasów.



ROK 1400. Nie był to zły rok w dziejach Królestwa Polskiego. Układ króla Jagiełły z zakonem krzyżackim dwa lata wcześniej zawarty na Wyspie Salińskiej, na mocy którego Krzyżacy uzyskali wprowadzić Żmudź i obietnicę pomocy króla w budowie dwóch twierdz z zamiarem ujarznienia Żmudzinów, gwarantował na kilka lat spokój na północy, mimo nadal niezalutwionych pretensji Polski do ziemi dobrzyńskiej. Zaraz potem, na rok przed tymże rokiem 1400, wojska litewskie pod wodzą księcia Witolda ponoszą nad Worskłą straszną klęskę z rąk Tatarów. Witold musi, mimo że bardzo tego nie chce, szukać porozumienia z Jagiełłą. W roku 1400 dojrzeva więc pomysł ostatecznego uregulowania konfliktu. Stanie się to rok później. Unia wileńsko-radomska zapewni Witoldowi do końca życia status wielkiego księcia litewskiego pod ogólnym zwierzchnictwem Jagiełły. Ówczesne państwo polskie wiedziało jeszcze, jak pomyślny bieg wypadków wywodzić z niepowodzeń. W roku 1400 wygasają zatem, a w każdym razie tracą na ostrości, spory litewsko-polskie.

¹ Akademia Krakowska została założona w 1364 r. przez Kazimierza Wielkiego; po śmierci fundatora upadła.

Spokój panował też na południu i na zachodzie Polski. Węgrzy od trzech lat byli już pogodzeni ze zwierzchnością Polski nad Mołdawią, co dopiero po dziesiątkach lat stanie się jednym z powodów starcia z Turcją. Ale w 1400 roku nikt tego jeszcze nie był w stanie przewidzieć. Upłynę 44 lata zanim pierworodny Jagiełły, jako król węgierski, zginie pod Warną, daleko od Polski, i ciała nikt nie odnajdzie. Dopiero za 53 lata Konstantynopol dostanie się w ręce Turków.

W roku 1400 nie widać śladów jakiejś wyraźnej akcji Zygmunta Luksemburczyka przeciwko Królestwu Polskiemu. W tej chwili ma on sam dość kłopotów w Rzeszy i w kurii papieskiej. Z dalekim zaś i słonecznym Awinionem Polska ma dobre stosunki. Jednym z dowodów przychylności była chociażby bulla papieża Bonifacego IX z dnia 11 stycznia 1397 roku, zezwalająca na otwarcie w Krakowie czwartego wydziału, najważniejszego w świecie uniwersyteckim, wydziału teologicznego.

A sprawy osobiste wielkich świata tamtego? Rok wcześniej owdowiałego króla, jak pisał Jan Długosz, „prałaci i panowie polscy” namówili do małżeństwa z Anną Cylejską. W dniu 16 lipca roku 1400 Władysław Jagiełło powitał bardzo uroczyście przyszłą żonę w Krakowie. Długosz bardzo powściągliwie opisał reakcję Jagiełły na widok Anny. Pisał, że „zamyślał (...) Władysław król Polski przez czas niejaki stargać ten związek, z przyczyny, że Anna nie bardzo była urodną. Jakoż i na swatów swoich Iwana z Obichowa, Hinczka z Rogowa i Jana z Tęczyna gniewał się, że poznawszy onę dziewicę, tak skwapliwie uchwalili związek małżeński; i w gniewie z tej przyczyny powziętym nie dał się ukoić aż po kilku latach, na prośby i namowy wielu radców”². Nie wydaje się więc, aby w pozostałe dni lipca, wśród nich także w tych dniach, które interesują nas najbar-

² *Jana Długosza kanonika krakowskiego Dzieła wszystkie*, Kraków 1868, tłum. K. Mecherzyński, t. 4, s. 507.

dziej, Władysław Jagiełło znajdował się w znakomitym usposobieniu. Sprawy państwowe trzeba było jednak nadal załatwiać, a kłopoty dynastyczne króla dadzą znać o sobie kilkanaście lat później, otwierając drogę pochyłą, a następnie coraz bardziej spadzistą, prowadzącą do złotej wolności szlacheckiej i ostatecznej katastrofy Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Trwał jeszcze ład gospodarczy i społeczny mający swe korzenie w mądrych rządach ostatniego Piasta. Kres jego jednak zbliżał się nieuchronnie. Miasta, szczególnie królewskie są jeszcze silne, mimo że szlachta już zaczyna zdobywać uprzywilejowaną pozycję w stosunkach gospodarczych. Nadal w rękach mieszczan znajduje się handel i to mieszczenie decydują o obrocie pieniądza. Kwitł handel, który dziś nazwalibyśmy zagranicznym, w dużej mierze za sprawą Turków osmańskich, którzy utrudnili żeglugę z Morza Czarne go na Śródziemne. Rozwijało się także i rzemiosło. Ale jeszcze tylko 23 lata upłyną i statut warecki Władysława Jagiełły zapoczątkuje lawinę zmian, których ostatecznym efektem będzie zniszczenie gospodarcze mieszczaństwa. Chłopi w tym czasie nie znali jeszcze pańszczyzny, nie przywiązywano ich bezwzględnie do ziemi, nie pozbawiano ich jeszcze samorządu gwarantowanego przywilejami lokacyjnymi, choć była to już późna jesień ich statusu jeszcze wolnych ludzi. Szlachta właśnie rozpoczynała akcję wykupu sołectw. Nie trzeba będzie długo czekać, gdy zaczną znikać wolni kmiecie, gdy rozpocznie się zniewalanie chłopstwa.

Wniosek z tego jest taki, iż w roku 1400 można było zasadnie oczekiwać, że wszystkie warstwy społeczne Królestwa i Litwy dostarczą chętnych na studia, co więcej, że łaciński uniwersalizm nauki i nauczania oraz ład i zasobność Królestwa przyciągnie do przywracanego do życia i reformowanego Studium Generale także młodzież z zagranicy. Nie bez znaczenia okaże się nadto ulokowanie uczelni

w Krakowie, w mieście położonym blisko granic południowej i zachodniej państwa polskiego. Studentom z zagranicy było bliżej, niż na przykład do Lublina lub Sandomierza. Zbyt znane są przyczyny, dla których najpierw król Kazimierz Wielki i grono jego doradców, a potem królowa Jadwiga i w końcu najbliżsi w otoczeniu króla Władysława Jagiełły tyle wysiłku wkładali w utworzenie uniwersytetu krakowskiego. Zbyteczne jest także rozwodzenie się, dlaczego król Kazimierz zdecydował się na włoski model uniwersytetu i jego prawniczy profil. Tylko kilka słów gwoli przypomnienia: brak gotowej siedziby z konieczności skłaniał do rezygnacji z modelu kolegiального. Cokolwiek powie się o budowie gmachu w mieście Kazimierzu, to nic nie zmieni faktu, że w chwili fundowania Studium Generale w 1364 roku budynek ten, jeżeli nie pozostał w projektach, to nie wyszedł ponad pierwsze zręby murów. Potrzeby zaś dopiero co zjednoczonego państwa, przy braku szans na powstanie wydziału teologicznego, musiały skłonić króla do znaczącej i niestety nie zrealizowanej, aż do ostatniej chwili istnienia Pierwszej Rzeczypospolitej, koncepcji wielkiego wydziału prawa, w którym główny nacisk położony byłby na prawo rzymskie. Dodajmy do tego, że autorzy statusu prawnego uniwersytetu kazimierzowskiego mieli za sobą studia we Włoszech, a nie w Paryżu. Z Bolonii i Padwy brali więc wzory. Tamtejsze uniwersytety były szkołami, w których przede wszystkim uczono prawa, w których rządy należały do studentów.

Inaczej przedstawiała się ta sprawa w roku 1400 i latach bezpośrednio go poprzedzających. Od 50 lat działał już uniwersytet w Pradze i z niego wywodziła się znakomita większość ludzi, którzy sprawili, że krakowski uniwersytet ożył w nowym kształcie. A w Pradze panował system kolegialny i Praga przyjęła model paryski, zgodnie z którym władza w uniwersytecie należała do profesorów i nie prawo, ale

teologia była najważniejsza. Idea chrystianizacji Litwy i walki z prawosławiem na ziemiach wschodnich Królestwa, niezależnie od prestiżu uniwersytetu, nakazywała kłaść nacisk na rozbudowę wydziału artystów, czyli sztuk wyzwolonych, oraz wydziału teologii.

W rękach królewskich już od trzech lat znajdowała się bulla Bonifacego IX, istniał testament królowej Jadwigi, a egzekutorzy testamentu należeli do osób bardzo energicznych i najbardziej wpływowych w królestwie. Niezwykła aura, jaka otaczała pamięć przyszłej świętej, musiała być jednym z rozstrzygających czynników wpływających na uruchomienie wreszcie uniwersytetu. Od śmierci królowej do uruchomienia uniwersytetu upływa tylko rok i w tym czasie udaje się dokonać tego, do czego królowa na próżno dążyła przez dobrych kilka lat. Z myślą o zmarłych nieraz czyni się więcej niż dla żywych.

Mówi się, że w średniowieczu życie pełzło. Nie biegło dzisiejszym rytmem. Pogląd prawdziwy, ale tylko w odniesieniu do czynności i przedsięwzięć odbywających się w dużej przestrzeni geograficznej. Podróże i słanie wiadomości pochłaniały mnóstwo czasu. Inna sprawa z działaniem na jednym miejscu. Jeżeli nie było jakichś szczególnych przeszkód, sprawy załatwiano z reguły szybko. A jeszcze szybciej, gdy na czymś komuś bardzo zależało. Kronika kilku postępujących prawie bezpośrednio dni świadczy o tym najlepiej.



WIGILIA DNIA PIERWSZEGO. ŚRODA 21 LIPCA. Najpóźniej tego dnia dokonano wyboru rektora. Zostaje nim Stanisław ze Skarbimierza (obecnie Skalbmierz), wychowanek uniwersytetu w Pradze, doktor dekretów. Człowiek, którego nazwisko stanie się sławne w nauce światowej niestety dopiero po



NAJSTARSZY MUR DAWNEJ KAMIENICY PĘCZERZA,
OK. 1300 R., OBECNIE W PODZIEMIACH
COLLEGIUM MAIUS

przeszło 500 latach. Jeden z koryfeuszy prawa międzynarodowego publicznego³.

Dzień ten jest też ostatnim, w którym należało wybrać dziekanów wydziałów teologii, prawa i *artium*, czyli sztuk wyzwolonych. Poza tym ktoś musi zarządzać funduszami powstającego uniwersytetu. Wprawdzie obiecane przez króla Jagiełłę 100 grzywien z cła na uposażenia profesorów to pieniądze niewielkie, znacznie mniejsze od przyrzeczonych w przywileju Kazimierza Wielkiego, ale jednak są to jakieś pieniądze. Któremuś z profesorów, ściągniętych do Krakowa w znakomitej większości z Pragi, powierza się więc funkcję

³ L. Ehrlich, *Paweł Włodkowiec i Stanisław ze Skarbimierza*, Warszawa 1954 oraz tegoż autora *Polski rytyk prawny XV wieku. Kazanie Stanisława ze Skarbimierza de bello iustus*, Warszawa 1955; K. Lankosz, *Stanisław ze Skarbimierza*, w: *Złota księga Wydziału Prawa i Administracji*, Kraków 2000, s. 51–56.

prokuratora. Aby utrzymać porządek, zorganizować wpisy i zbierać chesne, zatrudnia się bedla lub kilku bedli.

Siedziba także już jest. Król kupił dom Pęcherza z Rzeszotar przy ulicy Żydowskiej. Umieszczono uniwersytet obyczajem środkowoeuropejskim w dzielnicy żydowskiej, z wyraźnym zamiarem wyparcia w ten sposób ludności żydowskiej z centrum miasta. Tak już postąpiono w Pradze, Wiedniu i Heidelbergu. Od środków zaś zapewnionych w przywileju fundacyjnym, chesnego i spodziewanych beneficjów, zapisów i darowizn zależeć ma przyszłe funkcjonowanie uniwersytetu. Na razie jest więcej jednak ekspektatyw niż walorów w rękę.



DZIEŃ PIERWSZY. CZWARTEK 22 LIPCA. Powstaje pierwsze uniwersyteckie kolegium. W metryce uniwersyteckiej znajduje się zapis: *Sub anno domini millesimo quadragintesimo collegium alme universitatis studii Cracoviensis est institutum per serenissimum invictissimumque principem Wladislaum regem Polonie ipso die sancte Marie Magdalene.* To wcale nie znaczy, że równocześnie król nadał statut pierwszemu kolegium uniwersyteckiemu. Przywilej fundacyjny zastrzegał królowi tylko jego zatwierdzenie. Najpierw trzeba było wydać przywilej, potem można było mówić o statutach. Taki był porządek rzeczy. Wygląda zatem na to, że król najpierw utworzył kolegium, które musiało jeszcze poczekać na swój statut. Odnosi się wrażenie niezwykłego pośpiechu. Tak jakby chciano uporać się w ciągu kilku dni z takimi zadaniami, jakie wykonuje się zazwyczaj spokojnie, przygotowując je rozważnie i skrupulatnie, krok po kroku. Co tak wszystkich pośpieszało? Nie wiemy nic o jakiejś chorobie, konieczności nagłego wyjazdu lub liczenia się z jakimś przyjazdem. Jediną hipotezą, jaką w takim wypadku należałoby wziąć na serio, jest zakończenie

pracy nad przywilejem fundacyjnym, na którym już położono datę – 26 lipca 1400 roku. Data ta miała pokrywać się z oficjalnym ogłoszeniem dokumentu, inaczej mówiąc, organizowanie odnawianego uniwersytetu należało radykalnie przyspieszyć, aby mogła odbyć się ceremonia z udziałem króla.

Upływają więc teraz gorączkowe godziny na przygotowywaniu infrastruktury uniwersyteckiej i uroczystości rozpoczęcia wykładów.



DZIEŃ DRUGI. SOBOTA 24 LIPCA. Chyba rankiem rozpoczęto zapisywanie do metryki uniwersyteckiej. Było lato, dzień zaczynał się wczesnie. O godzinie 6 z reguły wszyscy byli na nogach. Nikt dziś się nie dowie, jak przyjmowano wpisy, innymi słowy, jak odbywała się immatrykulacja, czyli przyjmowanie do metryki. Można tylko przypuszczać, że nowo otwierany uniwersytet miał już bedla, do którego kompetencji właśnie należało przyjmowanie wpisów i zbieranie czesnego. Miejsce wpisywania samo się nasuwa. Mogło nim być tylko dopiero co założone kolegium. Gdy weźmie się to pod uwagę, jasne staje się, dlaczego nie bacząc na brak statutu, król ustanowił pośpiesznie kolegium.

Nie zachował się niestety oryginał metryki. Przetrwała tylko kopia, zresztą niebywale wczesna, bo już z 1404 roku. Nie ma na niej podpisów, nie wiemy, czy metrykę pisała jedna osoba, czy były na niej jakieś poprawki. Trudno, zatracony oryginał dokumentu zawsze niweczy smak bezpośredniości historii. Listę zapisanych otwiera sam król Władysław Jagiełło, po nim następują inni honorowi członkowie społeczności uniwersyteckiej. Są to Piotr Wysz, biskup krakowski, posługujący się tytułem *cancellarius generalis Studii Cracoviensis*, jak pisze Z. Kozłowska-Budkowa, tytułem danym Wyszowi



KRÓL WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO, MAL. S. BIANCHI,
OLEJ, PŁÓTNO, 1. POŁ. XVII W., MUZEUM UJ

tylko *ad personam*. Za nim Mikołaj Kurowski, *magister artium* i biskup wrocławski, Jan z Tęczyna, wykonawca testamentu królowej Jadwigi i wielki dobrodziej uniwersytetu oraz Klemens z Moskarzewa, podkanclerzy Królestwa Polskiego⁴. Na osobnej karcie znajdują się nazwiska dwunastu prałatów i kanoników, a na jeszcze innej nazwiska dwudziestu ośmiu plebanów, którzy złożyli pieniężne dary na rzecz uniwersytetu. Z. Kozłowska-Budkowa przypuszcza, że z tego powodu znaleźli się później na inauguracji⁵. Kończy się lista honorowa, zaczyna się wykaz studentów. Liczy on aż dwieście trzy osoby. Przeważają Małopolanie. Zapisali się również Ślązacy w liczbie czternastu, a nawet dwóch studentów przybyło

⁴ Z. Kozłowska-Budkowa, *Odnowienie jagiellońskie Uniwersytetu Krakowskiego*, w: *Dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1364–1764*, red. K. Lepszy, Kraków 1964, s. 44.

⁵ Tamże, s. 44–45.



BERŁO REKTORSKIE,
WG TRADYCJI UFUNDOWANE PRZEZ KRÓLOWĄ JADWIGĘ,
OK. 1405 R., MUZEUM UJ

z dalekich Prus. Tak dobrze było wszakże tylko na początku. Wkrótce nadejdzie kryzys. Wpisy zmniejszą się dramatycznie. Studenci nie mają bursy, mieszkania w mieście są drogie i niewygodne, mistrzowie zaś otrzymują mizerne uposażenie. W 1409 roku, tym roku, w którym uniwersytet w Lipsku rozpoczyna swą działalność, zapisuje się już tylko trzydziestu pięciu studentów. Na szczęście w tym samym roku powstaje pierwsza bursa, stopniowo poprawia się status materialny mistrzów. I dopiero od tej chwili bytowi krakowskiego Studium Generale nic już nie grozi. W tym też czasie Akademia Krakowska już posiada insygnia.



NIEDZIELA 25 LIPCA. Dzień w kronikach uniwersyteckich nieliczony, bez żadnych oficjalnych zaszłości uniwersyteckich. Msza święta, jakieś symboliczne śniadanie, obiad, wieczorne nabożeństwo, i chyba lepsza niż zwykle wieczerza. I nic ponadto nie da się powiedzieć o tym dniu.



DZIEŃ TRZECI I OSTATNI. PONIEDZIAŁEK 26 LIPCA. Miejsce głównej akcji – Lectorium Theologorum, na pierwszym piętrze, dzisiejsza aula Collegii Maioris, choć z pewnością

znacznie mniejsza. Chyba jeszcze pachnąca wapnem po niezbędnych przeróbkach. Nie wielkie i skromne musiało być jej wyposażenie. Czasu na urządzenie auli brakowało. Z pewnością musiały być jakieś ławki z pulpitemi, nie mogło nie być w niej tradycyjnej katedry. W tej sali będą odbywać się wykłady dla studentów teologii aż do końca Pierwszej Rzeczypospolitej. W XV wieku sala zostanie rozbudowana, otrzyma kunsztowny wystrój. Ale to wszystko stanie się w przyszłości. Michał Wiszniewski, profesor literatury polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego i niefortunny dyktator rewolucji krakowskiej w 1848 roku, opublikował w 1842 roku długą opowieść wspieraną różnymi przypisami, powołującą się na Radywińskiego i Putanowicza, profesorów Akademii Krakowskiej, jak to uroczysty pochód w tym dniu opuścił wzgórze wawelskie, pochód z dworem królewskim na samym początku, z rektorem w todze purpurowej aksamitnej i mucetem „złotym galonem obwiedzionym”, profesorami teologii, ich dziekanem, innymi profesorami, którzy byli „gęstym orszakiem królewskich halabardników otoczeni”, pochód, w którym kroczył senat, biskupi, wojewodowie i kasztelani, a nawet marszałek koronny. A potem, jak chce nam wmowić Wiszniewski, „długi szereg książąt, nadwornych urzędników, konsulowie krakowscy z całym urzędem miejskim i smutna kazimierskich mieszczan garstka”⁶. Ten ogromny orszak,



MICHAŁ WISZNIEWSKI,
MAL. P. CZAMAŃSKI, GWASZ,
KOŚĆ, 1818 R., MUZEUM UJ

⁶ M. Wiszniewski, *Historia literatury polskiej*, t. 4, Kraków 1842, s. 232–233.



DOM PĘCZERZA W 1400 R., RYS. W. ZIN, PRZED 1967 R.

którego jak wywodził Wiszniewski, „nawet ogromny rynek krakowski ogarnąć nie mógł”⁷ zmierzał do dzisiejszego Collegium Maius. Piękny opis, ale wiele z niego włożyć trzeba między romantyczne, apokryficzne opowieści, znamienne dla pierwszej połowy XIX wieku.

Jego zdaniem inauguracja odbyła się w dopiero co oddanym do użytku budynku Collegium Maius. Faktem jest, że podstawowe roboty adaptacyjne dawnego domu Pęczerszów zostały zakończone. Budynek posiadał na piętrze dość dużą salę, zwaną tamtymi czasy „palatium”, wspomniane już Lectorium Theologorum. Była ona jednak znacznie mniejsza od dzisiejszej auli. Dopiero z początkiem XVI wieku otrzymała obecne rozmiary⁸. Nie była wobec tego w stanie pomieścić wszystkich zaproszonych. Można by zaryzykować zatem hipotezę, że inauguracja odbyła się na Wawelu, w katedrze, gdyby nie to, że w mowie Stanisława ze Skarbimierza znajduje się

⁷ Tamże, s. 234.

⁸ K. Estreicher jun., *Collegium Maius. Dzieje gmachu*, Kraków 1968, s. 54 i 91.

zwrot: „Bo oto w małym domu tego collegium mądrość całego świata jest zamknięta”. Skarbimierz jednoznacznie wskazywał, gdzie się w tamtej chwili on i jego słuchacze znajdowali. Zebrani byli w małym – czas na rozbudowę dopiero nadejdzie – domu, w którym umieszczono collegium. Nie bacząc więc na ścisk, zaduch chyba niebywały – mycie się w tamtych czasach nie było codzienną czynnością, a upał był może prawdziwie lipcowy – inauguracja odbywała się w murach dopiero co kupionego domu Pęcherza z Rzeszotar, przy ówczesnej ulicy Żydowskiej, dzisiejszej św. Anny. W rachubę nie wchodziła zaś uroczystość w kościele św. Anny z tego powodu, że dopiero w 1418 roku król Władysław Jagiełło przekaże ten kościół pod patronat Akademii Krakowskiej.

Poza wszelką wątpliwością jest natomiast to, że w sali zabrakło miejsca dla wszystkich, przede wszystkim dla studentów, do których formalnie skierowana była większość słów wówczas wypowiedzianych.

Czy można wyobrazić sobie inaugurację bez mszy świętej? Nie można. Taki był już utrwalony w średniowiecznych uniwersytetach obyczaj. Pojawić się on musiał w Krakowie najpóźniej razem z tymi, którzy, aby tu nauczać, przybyli z zagranicy.

Prawie z pewnością można twierdzić, że mszę świętą odprawiono rano i że po niej odbyła się inauguracja. Trudno wyobrazić sobie, aby nie brali udziału w inauguracji profesowie sprowadzeni do uczelni krakowskiej, którzy pracowali w tym samym roku nad redakcją pierwszego statutu uniwersyteckiego. Byli wśród nich więc Jan Isnerowicz, doktor teologii, jedyny zresztą w tym czasie w uniwersytecie krakowskim, przyszły fundator pierwszej bursy studenckiej, Mikołaj Gorzkowski, doktor dekretów, pierwszy dziekan wydziału prawa, Jan Szczekna, pierwszy dziekan wydziału filozoficznego, Mikołaj Pyser, w przyszłości profesor teologii, i Bartłomiej z Jasła, bakałarz teologii, zasłużony bardzo nauczyciel



PRZYWILEJ FUNDACYJNY KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY,
REKONSTRUKCJA T. PRZYPKOWSKI, 1953 R., MUZEUM UJ

*artium*⁹. Oprócz biskupa Piotra Wysza, pełniącego funkcję kanclerza uniwersytetu i rektora Stanisława ze Skarbimierza, a także licznych dostojników, którzy wpisali się do metryki, mógł być król Władysław Jagiełło. Jego obecność jest wysoce prawdopodobna. Nie tylko dlatego, że przebywał w tym czasie w Krakowie. Była to uroczystość, w czasie której pojawienie się monarchy jeszcze bardziej podkreślało jego rolę przy

⁹ Z. Kozłowska-Budkowa, *op.cit.*, s. 56–59.

odnawianiu uniwersytetu. Miała też charakter swoistego pokłonu pamięci tej, która rok temu odeszła z tego świata. Rola króla w tym posiedzeniu była zresztą trochę osobliwa. Król był analfabetą i nie znał łaciny, w której odbywała się cała uroczystość. Nie rozumiał zatem i dokumentu wydanego w jego imieniu, za chwilę odczytanego.

Tak więc w tym dniu, 26 lipca roku 1400, został wydany drugi przywilej fundacyjny krakowskiego Studium Generale. Przywilej tym razem króla Władysława Jagiełły.

Sam porządek uroczystości mógł w ogólnym bardzo zarysie przypominać ten, jaki przedstawił Michał Wiszniewski. Ceremonię najprawdopodobniej rozpoczął Mikołaj Kurowski, biskup wrocławski i podkanclerzy. Odczytał chyba *in extenso* przywilej fundacyjny. Któż inny był uprawniony do odebrania go w imieniu uniwersytetu, jak nie rektor? Przyjął go więc z rąk króla rektor Stanisław ze Skarbimierza. Wtedy też, zaraz po otrzymaniu dokumentu, wypadałoby rektorowi zabrać głos. Rektor wygłosił taką mowę, szczęśliwie zachowaną, ale dopiero po wykładzie inauguracyjnym Piotra Wysza, biskupa krakowskiego. Drugim mówcą był więc Piotr Wysz, doktor obojga praw uniwersytetu w Padwie, bliski współpracownik królowej Jadwigi, od siedmiu lat biskup krakowski. Wysz od razu swym wykładem nadał wysoką rangę poziomowi nauczania w powstającej uczelni. To zaś, że nie kto inny jak sam biskup krakowski wygłosił ten wykład, niewątpliwie przysparzało jakże potrzebnego uniwersytetowi prestiżu. Wykład był poświęcony prawu kanonicznemu. Z mowy Stanisława ze Skarbimierza można jedynie wnioskować, że biskup snuł wywód o prawie rzymskim i kanonicznym oraz o związku moralności z prawem.

Na koniec wygłosił mowę Stanisław ze Skarbimierza. Zachowała się ona razem z wieloma innymi. Długa, pełna zwrotów bardzo retorycznych, kunsztownych oratorskich ozdobników. Ówczesny rektor zaczął ją tak: „Z onego tronu



STANISŁAW ZE SKARBIMIERZA,
 PLAKIETA, BRĄZ, PROJ. P. WELOŃSKI,
 1899 R., MUZEUM UJ

wychodziły błyskawice i gromy i głosy, a wszystkie zwierzęta każde z osobna miało sześć skrzydeł w koło, a wewnątrz były pełne oczu. I nie miały odpoczynku we dnie i w nocy mówiąc: Święty, Święty, Święty Pan Bóg Wszechmogący, który był i jest i który ma przyjść. Słowa są wyjęte z Apokalipsy”¹⁰. Mówił między innymi, że „w wielości profesorów akademii krakowskiej rozszerzony jest kościół wojujący i postronki tego namiotu przedłużone zostały; albowiem wiara katolicka otoczona murem niezwyciężonego wojska wytrzyma pociski zewnętrzne”. Stanisław ze Skarbimierza widział więc w uniwersytecie opokę Kościoła. Potem omawiał nauki, które będą wykładane oraz wyjaśniał ich znaczenie. Mówił

¹⁰ M. Wiszniewski, *op.cit.*, s. 244.

o teologii, o prawie i moralności i o poszczególnych sztukach wyzwolonych. Odwoływał się wielokrotnie do słów Piotra Wysza, odnosząc się do niego z najwyższym szacunkiem.

Uroczystość skończyła się. Co działo się dalej, tego już nie wiemy. Wiele wskazuje na to, że potem odbyła się uczta. W malutkim kolegium miejsca na stoły dla tylu gości nie było. Kto wie, czy fantazja Michała Wiszniewskiego nie biegnie tu w zgodzie z prawdą. Napisał, że na koniec król akademikom wspaniałą wyprawil biesiadę.

A potem zaczęły się dni powszednie odnowionego uniwersytetu. Jan Długosz zaś po wielu, wielu latach napisze: „Odtąd ta główna szkoła Krakowska, przez Władysława króla Polskiego i Jadwigę królową pierwotnie założona, a od papieża Jana XXIII, potem Marcina V potwierdzona, zaczęła rozmaitymi naukami i umiejętnościami wsławić się i kwitnąć, i wydawać z łona swojego mężów w nauce biegłych, świątłych i poważnych, szerząc i roznosząc głośno w świecie sławę królestwa polskiego; które lubo z łaski Bożej mnogimi chlubić się może ozdobami i zaszczyty, żadne jednak dzieło, jak mniemam, tyle narodowi Polskiemu nie przynosi chwały i pożytku, żadne nie jest tak płodnym i użytecznym, tak chwalebny i znakomitym, jak szkoła Krakowska (...)”¹¹. Stulecia narastały, dzieje krakowskiego uniwersytetu przeróżnie się układały, ale ocenie Długosza kłamu w ogólnym rachunku nie zadały.

Pamiętano zawsze niemalże o wszystkich tych, którzy staraniami, decyzjami i pieniędzmi przyczynili się do odnowy krakowskiego Studium Generale. Jednym ze śladów tej pamięci jest piękna modlitwa za dobrodziejów uczelni krakowskiej, być może z 1407, najpóźniej z 1409 roku. *Nota modum et ordinem petenti pro benefactoribus Universitatis: primo pro spiritualibus viventibus, secundo pro secularibus, tertio pro defunctis*, porządek modlitwy za dobrodziejów uniwersytetu był jasny: najpierw

¹¹ *Jana Długosza kanonika krakowskiego...*, op.cit., s. 508–509.

za osoby duchowne, potem za świeckie, a w trzeciej kolejności – za zmarłych.

Primo pro unione sancte matris Ecclesie.

Item pro domino nostro archiepiscopo Gneznensi.

Item pro domino nostro episcopo Cracoviensi, cancellario huius alme Universitatis.

W tym porządku należało się zatem modlić za jedność Kościoła dotkniętego w tym czasie wielką schizmą, za arcybiskupa gnieźnieńskiego, za biskupa krakowskiego, kancлера uniwersytetu, a następnie za innych dostojników kościelnych, wymienionych także w modlitwie.

Teraz druga grupa, za którą należy się modlić:

Item pro domino nostro rege fundatore et conservatore Universitatis ac domina regina, ut Deus eorum vitam prolongat pro nostra et eorum salute.

Po modlitwie o zdrowie króla Władysława i królowej Anny Cylejskiej następują modlitwy za innych świeckich dobroczyńców, wśród nich także słowa: *Item pro domina regina pie memorie huius Universitatis renovatrice et benefactrice*, czyli za duszę królowej Jadwigi, która była odnowicielką i dobrodziejką uniwersytetu, oraz za dwóch jakże ważnych profesorów: *Item pro m (agistris) Szczekna et Batholomeo de Jassil, qui fideliter instistebant pro incremento Universitatis*. Ten pierwszy, Szczekna, Czech z pochodzenia, spowiednik królowej Jadwigi, a nie Benedykt z Koźmina, zapoczątkował długą i nie kończącą się serię darów w postaci książek do biblioteki kolegium, ergo, do przyszłej Biblioteki Jagiellońskiej. Drugiemu, Bartłomiejowi z Jasła, zawdzięcza krakowska Alma Mater przypomnienie tradycji kazimierzowskiej i starania o jej odnowienie.

I na koniec, już ogólnie, z myślą też o tych w przyszłości: *Item pro omnibus vivis et defunctis, qui verbo aut facto Universitatem promovent aut promoverunt*¹², czyli za wszystkich żywych i umarłych,

¹² Z. Kozłowska-Budkowa, *op.cit.*, s. 88 i 89.

którzy słowem lub uczynkiem uniwersytet popierają i popierać będą.

Padły słowa „pamiętano niemalże o wszystkich” nie bez powodu. Zabrakło w modlitwie nie kogo innego... jak króla Kazimierza Wielkiego, mimo że nie zatarła się pamięć ani o jego fundacji, ani nawet o samym tekście jego przywileju, z którego Mikołaj Trąba redagując przywilej Władysława Jagiełły brał całe zwroty. Przecież owa Anna Cylejska, niezbyt kochana żona Jagiełły, o której mowa w modlitwie, była rodzoną wnuczką króla Kazimierza. Już chociażby z tego powodu godziło się wspomnieć go osobno. Jeżeli zaś był aż tak wielkim grzesznikiem, to tym bardziej należała się modlitwa za jego duszę.



Minęło 600 lat, nadszedł rok jubileuszu wydarzeń lipcowych w 1400 roku. Rektor Franciszek Ziejka wpadł wówczas na pomysł, aby na pamiątkę inauguracji odnowionego



STUBA COMMUNIS W COLLEGIUM MAIUS, STAN OBECNY

uniwersytetu urządzać co roku uroczyste śniadanie profesorów w Stubie Communis, inaczej mówiąc, w Izbie Wspólnej, kiedyś jadalni. Od 2000 roku rektor zaprasza w dokładną, powiem więcej – precyzyjną rocznicę wydania przywileju królewskiego i inauguracji pierwszego roku akademickiego przypadającą na 26 lipca. Niestety, nic z tej dokładności. W XV wieku obowiązywał jeszcze kalendarz juliański. Licząc od 26 lipca wypadałoby spotykać się za mniej więcej dwa tygodnie. Kalendarzowi astronomicznemu stałoby się zadość, ale czy za tę cenę należy dopiero w sierpniu trzy ważne dni lipcowe celebrować? Dni lipcowe, dokładniej rzecz biorąc – sierpniowe, które ani nie wstrząsnęły światem, ani Królestwem Polskim, ani stołecznym miastem nad Wisłą. A jednak zapadły dobrze w pamięć współczesnych. Dały początek tym razem już niemalże stale kontynuowanej działalności krakowskiej akademii, tworzyły tradycję bez której ani kultura, ani nauka nie są w stanie się obejść.



Pamięć o przywileju jagiellowym musi się obejść dzisiaj bez oryginału. Przez wieki przechowywano w uniwersytecie przywileje Kazimierza Wielkiego z 1364 i Władysława Jagiełły z 1400 roku. Przetrwały wielokrotne pożary, plądrowania, ewakuacje i zaniedbania. W sierpniu 1939 roku władze Uniwersytetu postanowiły na wszelki wypadek zabezpieczyć oba dokumenty przed ewentualnym zniszczeniem w czasie działań wojennych. Sporządzono tubę z blachy cynkowej, włożono do niej oba pergaminy razem z pieczęciami, zalutowano i w największej tajemnicy docent Adam Bochnak złożył je 1 września razem z insygniami uniwersyteckimi w schowku pod posadzką jednej z sal parterowych Collegium Novum, mieszczących zbiory Zakładu Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego.



SZCZĄTKI ORYGINALNYCH PRZYWILEJÓW FUNDACYJNYCH,
MUZEUM UJ

Dokumenty jednak nie oparły się wilgoci. Lut najprawdopodobniej nie był całkiem szczelny. Gdy w dniu 28 lipca 1945 roku komisja z udziałem kierownika Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesora Henryka Barycza i docenta Adama Bochnaka, otwarła tubę, wysypały się z niej tylko zetlałe szczątki¹³. Na szczęście przed wojną zostały wykonane perfekcyjne fotografie obu dokumentów i pieczęci. Dzięki nim w latach 50. Tadeusz Przyppkowski mógł wykonać – na zlecenie Karola Estreichera – znakomite repliki przywilejów, które zostały po raz pierwszy pokazane w czasie słynnej wystawy kopernikowskiej w 1953 roku w Collegium Maius. Od tego czasu nie opuściły one tego gmachu. Dzisiaj są wyeksponowane w gablotach w Pierwszym Skarbcu Collegium Maius. Na półce zaś jednego z magazynów Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego stoi słoik, a w nim smętne resztki oryginałów.

¹³ A. Piskorz, *Silva rerum. Pamiątki akademickie ze zbiorów Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Katalog Wystawy*, Kraków 1998, s. 174 i tam cyt. lit.

TYPVS FVNDATIONIS ACAD: CRACOVIE.
 Ex Altari & Epitaphio ad Mausolæum Diui IAGELLONIS.
 In Ecclesia Cathedrali Vrbs eiusdem.



I N Q V O .

H I N C

DIVS IAGELLO, Rex Poloniæ, alterâ manu trophæa Pruffica, alterâ Academiam tenens, fuosq; Lithuanos ad fidem Catholicam inducens, adstante sibi Sancto STANISLAO, Episcopo Cracouienfi & Martyre:

I N D E

D. HEDVIGIS VLADISLAI Coniunx, Regina Poloniæ, alterâ quidem Collegium Crac. iustitens, alterâ ad idem Polonos quali manu ducens, adimplante sibi D. LADISLAO Vngariæ Rege, ad viuum effigiati conspiciuntur.

A D H Æ C

Sæculi illius ad amissum expresso cultui iuncta est B. CANTII Imago vius, ex antiquis tabulis, quantum fieri potuit, diligentissimè excerpta.

EX PRIVILEGIO FVNDATIONIS.

Siqui autem hæc nostra Erectionis Studij, concessionumq; pro ipso Libertatum & Exemptionum, ac Jurium litterarum, de Successione nostris, aut quibuscunque, violare & infringere presumpserit: iram vindictam districti iudicis, & miserabilem infelicitatis barridam & inopinatum euentum, nonerit se incursum.

TYPVS FVNDATIONIS, DRZEWORYT.

1628 R.



Wróćmy teraz do obrazu. Już na pierwszy rzut oka można zauważyć, że rysunek twarzy nie ma nic wspólnego ze średniowieczem. Jest współczesny, jeżeli współczesnością można nazwać jeszcze to, co się działo w połowie XX wieku. Sam Karol Estreicher przyznaje to w *Dzienniku*: „(...) w tajemnicy Pabisiak wykonał doskonałą replikę – rekonstrukcję obrazu fundacyjnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, który kiedyś wisiał koło grobowca Jagiełły, a niszczał w XVIII wieku. Znamy go tylko ze starego drzeworytu”¹⁴. Przyjmuje się, że obraz został namalowany około 1955 roku¹⁵, gdy Estreicher obawiał się, że nie starczy mu zabytków autentycznych, a zwłaszcza ikonografii, do wypełniania sal muzealnych.

Drzeworyt w pierwszej wersji pochodzi z 1628 roku. Potem był trzykrotnie odbijany, z niewielkimi odchyleniami od pierwotnego wzoru, w latach 1632, 1633 i 1642. Powstał, aby umocnić kult Jana Kantego, XV-wiecznego profesora teologii, o którego beatyfikację ubiegała się w tym czasie Akademia. W połowie XIX wieku Maksymilian Cercha wykonał litograficzną kopię tego drzeworytu, a w 1983 roku ukazało się faksymile drzeworytu, nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej.

Bardzo rzetelna rozprawa Z. Piecha, która ukazała się niedawno, wykazała, że na obrazie, najprawdopodobniej ufundowanym przez wnuka Jagiełły, Zygmunta Starego, nie było Jana Kantego¹⁶. Kult skromnego i świętobliwego teologa

¹⁴ K. Estreicher jun., *Dziennik wypadków*, Kraków 2003, t. 3, s. 405.

¹⁵ Do takich ustaleń doszła w 1986 r. mgr L. Różycka podczas opracowywania karty katalogu naukowego (nr 2591 i 523/1) w Muzeum UJ.

¹⁶ Z. Piech, *Typus Fundationis Academiae Cracoviensis. Interpretacja obrazu z kaplicy grobowej Władysława Jagiełły*, w: *Scripta castos memoriae. Prace historyczne [poświęcone Profesor Brygidge Kąrbis]*, red. D. Zydorek, Poznań 2001 [publikacje Instytutu Historii UAM], s. 389.

mieszkającego na parterze Collegium Maius dopiero się rozwijał. Jeszcze nie nadszedł czas umieszczania jego postaci na obrazach. Na obrazie Zdzisława Pabisiaka, który miał odtwarzać przepadły oryginał, postać św. Jana Kantego nie powinna być się więc pojawić. Trudno, stało się. W zamian pojawił się jeszcze jeden uroczy smaczek kolekcji Collegium Maius.

DZIWNE
LOS
UNIwersYTECKICH
„STWOSZIANÓW”





PROJEKT OLTARZA BAMBERSKIEGO,
RYS. PIÓRKIEM WIT STWOSZ, OK. 1520 R., MUZEUM UJ



o roku 1940 w dawnym Gabinetcie Archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, a później w zbiorach Zakładu Historii Sztuki tego Uniwersytetu, znajdowało się sporo eksponatów związanych z życiem i twórczością Wita Stwosza. Pochodziły z różnych źródeł, rozmaita też była ich wartość artystyczna i naukowa. Były wśród nich również muzealia znacznie mniejszej rangi – rysunki niektórych rzeźb Wita Stwosza, wykonane przez krakowskiego malarza i rysownika Jana Dudraka¹, oraz liczne drzeworyty i litografie przedstawiające sztukę Mistrza. Były to pochodzące z XIX wieku dary dla Gabinetu hrabiego Konstantego Przeździeckiego i barona Edwarda Rastawieckiego², ludzi, którym Uniwersytet Jagielloński zawdzięczał sporo dzieł sztuki i pamiątek historycznych. Miały one znaczenie raczej dokumentacyjne.

Uniwersytet posiadał jednak również dzieła stworzone przez samego Stwosza oraz dokumenty ściśle związane z jego życiem. Tylko te można nazwać obrazowo „stwoszianami”.



Największą wartość wśród nich zawsze miał rysunek Wita Stwosza – projekt ołtarza dziś znajdującego się w Bambergu.

¹ Nr 5035 i 5036 dawnego inwentarza Gabinetu Sztuki i Archeologii UJ.

² Numery 5037–5051 dawnego inwentarza Gabinetu Sztuki i Archeologii UJ.

Na temat tego rysunku powstała bogata literatura³, ściśle związana z tą, która poświęcona jest samemu ołtarzowi bamberskiemu. Ograniczmy się więc tylko do opisanía losów rysunku, niewiele mniej dramatycznych niż życiorys jego twórcy.

Duże znaczenie w wyjaśnieniu genezy projektu ołtarza ma nieszczęsne fałszerstwo weksla popełnione przez Stwosza. W następstwach, jakie ono za sobą pociągnęło, można się doszukać klucza do wielu poczynań Mistrza po 1503 roku.



Zimą roku 1496 Stwosz wrócił z Krakowa do Norymbergi ze sporym majątkiem. Zapłacił bowiem przed 27 lutego tegoż roku aż 3 floreny za obywatelstwo w tym mieście. Wysokość zaś opłaty zależała od majątku, który, jak obliczyli skrupulatni mediewiści, musiał być wart co najmniej 3000 florenów. Wkrótce po powrocie do Niemiec umiera jego żona. W roku 1497 Stwosz żeni się po raz drugi i dwa lata później kupuje od miasta dom po wypędzonych właśnie Żydach, przy Prechtelgasse, za 800 złotych reńskich⁴. Narożnik domu przy Wunderburggasse (tuż obok) po latach ozdobi dzieło Mistrza – drewniana Madonna. Jeszcze przed drugą wojną światową rzeźba trafi do Narodowego Muzeum Germańskiego, dzięki czemu przetrwa wojnę. Ani domu Stwosza, ani domu z Madonną dziś już nie ma – runęły pod bombami podczas nalotu alianckiego.

Stwosz – obok działalności artystycznej, która już nigdy nie osiągnęła takich szczytów, jak za czasów jego dwudzie-

³ Pełne jej zestawienie zawierają prace Z. Kępińskiego (*Wit Stwosz w starciu ideologii religijnych Odrodzenia. Ołtarz Salwatora*, Ossolineum 1969, s. 99–139 i s. 167) oraz G. Brautigama (*Übermaliger Hochaltar der Karmeliterkirche in Nürnberg*, w: *Veit Stoss in Nürnberg*, München 1983, s. 333–350); por. także *Veit Stoss. Vorträge der Nürnberger Symposium*, München 1983.

⁴ List Rady Miejskiej z 1499 r. – do 1939 r. w zbiorach Zakładu Historii Sztuki UJ, tłum. E. Rastawiecki (*Wit Stwosz*, Biblioteka Warszawska 1860, t. 1, s. 7–8).



DOM W NORYMBERDZE PRZY UL. WUNDERBURGGASSE NR 7,
W POBLIŻU MIESZKAŁ WIT STWOSZ.
ZNISZCZONY W CZASIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

stoletniego pobytu w Krakowie – wdawał się w liczne operacje finansowe. Jedną z nich, niestety, zaprowadziła go w ręce kata. Sfałszował bowiem w 1503 roku kwit stwierdzający, że Jakub Boner – znany kupiec norymberski, krewny tych słynnych krakowskich Bonerów – winien był mu 1300 złotych reńskich. Fałszerstwo było nieudolną próbą odzyskania pieniędzy, które Stwosz pożyczył za namową Bonera niejakiemu Hansowi Starzedelowi na wysoki procent. Ponieważ Starzedel oddał natychmiast z tej kwoty dług Bonerowi i zaraz potem umknął z resztą pieniędzy, Stwosz

nie bez powodu zakładał, że padł ofiarą kombinacji Bonera, który wymyślił sobie, że majątek Stwosza może być znakomitym środkiem zaspokojenia jego pretensji finansowych do Starzedela. Stwosz wzięty na męki przyznał się do fałszerstwa i Rada Norymbergi skazała go na piętnowanie na obu policzkach. Dnia 4 grudnia 1503 roku kat wykonał wyrok⁵.

Kara była jak na tamte czasy wyjątkowo łagodna. Sama Rada to stwierdziła w liście do Hermana i Teodora Reitsełów z 2 stycznia 1504 roku:

„(...) tylko na usilne prośby w drodze szczególnej łaski za takie fałszerstwo daliśmy go publicznie ukarać na ciele, jakkolwiek nie tylko uciepieć cieleśnie, ale i gardło utracić zasłużył”⁶.

I tak istotnie było. Za fałszowanie weksla w średniowiecznej Norymberdze, żyjącej z handlu, a więc obrotu pieniędzmi, groziła kara śmierci i taką karę nieraz wykonywano. Dziesięć lat wcześniej jeden z patrycjuszy Norymbergi za taki czyn stracił życie na szafocie⁷.

Nie zmieniło to faktu, że Stwosz przeżył olbrzymią osobistą tragedię. Pamięci o niej nie zatarła rehabilitacja, dokonana dzięki wstawiennictwu jego krewniaków na dworze cesarskim przez cesarza Maksymiliana I. Spadł z wyżyn powodzenia i sławy zdobytej w Krakowie na dno fizycznego upodlenia, które nieszczęsne blizny na policzkach będą mu przypominać do końca życia. Gorycz trwałej niesławy będzie tym silniejsza, że Stwosz nigdy nie zmieni zdania, że padł ofiarą podłej zmywy.

Przez kilka lat obejmował go zakaz opuszczania miasta i sprzedawania dzieł na jarmarkach w innych miastach. Nieustannie wdawał się w spory z Radą, nie respektował zakazu,

⁵ Proces dokładnie opisali: M. Lossnitzer (*Veit Stoss und sein Leben*, Leipzig 1912, s. 94–100) i J. Ptaśnik (*Ze studiów nad Wilem Stwoszem i jego rodziną*, „Rocznik Krakowski”, R. XIII, s. 128–142).

⁶ E. Rastawiecki, *op.cit.*, s. 12.

⁷ H. Knapp, *Das alte Nürnberger Kriminalrecht*, Berlin 1896, s. 260.

w pewnym momencie nawet uciekł z Norymbergi. Wrócił, ale trafił do więzienia, tym razem za ucieczkę. Gdy z niego wyszedł, ponownie wpadł w konflikt z Radą, co zawiadło go jeszcze raz do więzienia, ale zaraz potem, za zgodą Rady, pojawił się na dworze cesarskim w Ulm. Natychmiast po powrocie miał nowe zatargi i z Radą, i z otoczeniem. I tak będzie aż do jego śmierci.

Norymberski życiorys Stwosza, jak mało czyj, można odczytać z ksiąg sądowych. Głównym mu wrogiem była własna psychika. Kłótniwy, porywczy, krnąbrny, uparty... Projekcją osobowości Stwosza jest ekspresywność i bujność plastyki jego rzeźb. Jego charakter przesądzał o stylu jego sztuki.

Poczucie klęski roku 1503 towarzyszyło mu, jak już wspomniałem, do końca długiego życia, choć z czasem wróciło powodzenie na rynku artystycznym – mimo nie byle jakiej konkurencji. Obrazowo i trafnie napisał Michael Baxandall: w Krakowie Stwosz był jak szczupak w stawie pełnym karpia. W Norymberdze musiał konkurować z wielkimi talentami: w rzeźbie z brązu z Piotrem Vischerem i jego synami, w rzeźbie z kamienia z Adamem Kraftem. Michael Wohlgemut stworzył właśnie ołtarz także z polichromowanymi rzeźbami z drewna, a spod ręki młodego Dürera już wychodziły miedzioryty. Większość z nich była młodsza o jedną generację. Wit Stwosz w 1496 roku, w roku powrotu do Norymbergi, miał prawie 50 lat⁸. Wszystko, co go otaczało i co w nim samym tkwiło, było dla niego wyzwaniem.

Z czasem Stwosz wraca na rynek artystyczny. Przyjmuje się, że 10 lat po wyroku był ponownie bardzo zamożnym obywatelem Norymbergi⁹.

⁸ M. Baxandall, *Veit Stof, ein Bildbauer in Nürnberg*, w: *Veit Stof in Nürnberg*, red. R. Kahsnitz, München, 1983, s. 9.

⁹ Niektórzy badacze byli zdania, że poczucie niesławy mimo to towarzyszyło Stwoszowi do końca życia. Bliżej – Sz. Detloff, *Krakowski projekt na ołtarz bamberski Wita Stwosza*, „Rocznik Krakowski”, t. XXVI, s. 94 oraz Eb. Lutze, *Veit Stos*, München 1968, s. 37.

Szczególnie po roku 1513 zaczęły się sypać zamówienia. Właśnie wtedy powstały najlepsze prace norymberskie Stwosza, a w każdym razie takie, jakie powszechnie przyjmuje się za najlepsze. Na pierwszym miejscu wymienia się oczywiście słynny *Różaniec Anielski* w kościele św. Wawrzyńca, powstały w latach 1517–1518. Zdaniem piszącego te słowa dzieło w szczegółach znakomite, w ogólnym wyglądzie, niestety, na krawędzi sztuki jarmarcznej, niemal kiczu. *Różaniec* fundował nie kto inny jak Antoni Tucher, ten sam rajca, który prowadził śledztwo z torturami przeciwko Mistrzowi i któremu tenże co najmniej po części zawdzięczał piętnowanie. A może tylko piętnowanie?

Kulminacja twórczości norymberskiej Stwosza przypada jednak na rok 1520. Alfred Schädler zauważył, że w tym albo około tego roku wyrzeźbił on aż trzy z pięciu krucyfiksów zachowanych w Niemczech¹⁰, a mianowicie krucyfiks fundowany przez Andrzeja Wickela w kościele św. Sebalda w Norymberdze, krucyfiks w głównym ołtarzu kościoła św. Wawrzyńca w Norymberdze i krucyfiks w Jengen¹¹, a nadto relief *Wskrzeszenie Łazarza*¹², figurkę drewnianą *Święty Wit w Oleju*, obecnie własność Germańskiego Narodowego Muzeum w Norymberdze¹³, zespół figuralny – znajdujący się kiedyś na zewnętrznej ścianie kościoła św. Wawrzyńca – dziś również w Germańskim Narodowym Muzeum¹⁴ i przechowywaną od 1893 roku w tymże Muzeum drewnianą rzeźbę Madonny, która do tego czasu zdobiła narożnik domu nr 7 przy ulicy Wunderberggasse, tuż obok domu artysty¹⁵. Nieco

¹⁰ A. Schädler, *Stetigkeit und Wandel im Werk des Veit Stos*, w: *Veit Stoß in Nürnberg*, op.cit., s. 43.

¹¹ Tamże, s. 44–45.

¹² J. Rasmussen, *Auferweckung des Lazarus*, 1520, w: *Veit Stoß in Nürnberg*, op.cit., s. 171.

¹³ R. Brandl, *Heiliger Veit im Ökessel*, 1520, w: *Veit Stoß in Nürnberg*, op.cit., s. 165.

¹⁴ R. Schoch, *Schmerzmann zwischen Maria und Johannes an der inneren Sakristeinwand*, um 1520 i tego autora: *Heiliger Laurentius und Stephanus an der inneren Sakristeinwand*, um 1520, obie prace w: *Veit Stoß in Nürnberg*, op.cit., s. 162–165 i 165–171.

¹⁵ L. von Wilckens, *Hausmadonna von der Wunderberggasse Nr 7*, w: *Veit Stoß in Nürnberg*, op.cit., s. 156–161.

wcześniej Stwosz wykonał wspaniałą tablicę z reliefem w postaci wieńca róż (*Rosenkranztafel*), także w tej chwili w Germańskim Narodowym Muzeum¹⁶.

Do tego już bardzo długiego wyliczenia wypada dodać jeszcze jedno dzieło powstałe w 1522 roku – świecznik w kształcie smoka (*Drachenleuchter*) splecionego z rogami jeleni. Projekt świecznika narysował Albrecht Dürer, a wyrzeźbił go Wit Stwosz po mistrzowsku, z niebywałą fantazją a zarazem precyzją¹⁷.

Unosiła Stwosza więc fala powodzenia. Artysta dwoił się i troił, tworzył coraz to nowe dzieła w bardzo krótkim okresie, jakby chciał swym dorobkiem zatrzeć wszystko, co się wydarzyło kilkanaście lat temu. Świadczyć miały o nim jego rzeźby, nie piętno lub czyjeś słowa.

W tym samym czasie wreszcie pojawia się okazja wykonania dzieła wielkiego – takiego, które będzie na ustach i w oczach wszystkich, które może dorównać znaczeniem ołtarzowi w dalekim, na krańcach cywilizacji zachodniej Krakowie. A czas już jest ostatni. Wiek Mistrza był już dobrze podeszły. Mówi się o nim nie bez racji w Norymberdze – „stary Stwosz”¹⁸. Liczy sobie dobrze ponad 70 lat. Urodził się bowiem najpóźniej w 1447 roku, choć niektórzy datują jego urodzenie na 1438 rok¹⁹. Okazję, jaka się nadarzyła i jaka później będzie przyczyną nowych kłopotów, zawdzięcza najbardziej klasycznemu kumoterstwu.

Gdy syn Mistrza Andrzej Stwosz został powołany wiosną roku 1520 na stanowisko przeora zakonu karmelitów w Norymberdze, niezwłocznie zwrócił się do ojca z propozycją wyrzeźbienia ołtarza dla jego klasztoru. Jeżeli porówna się jednak ogrom pracy czekającej Mistrza z warunkami płatności, to

¹⁶ H. Stafski, *Rosenkranztafel*, w: *Veit Stofß in Nürnberg*, *op.cit.*, s. 149–158.

¹⁷ K. Pechstein, *Drachenleuchter*, w: *Veit Stofß in Nürnberg*, *op.cit.*, s. 172–175.

¹⁸ Tamże, s. 174.

¹⁹ U. Schneider, *Die wichtigsten Daten zu Leben und Werk des Veit Stofß*, w: *Veit Stofß in Nürnberg*, *op.cit.*, s. 351.

musi uderzyć niezwykle niska cena, jaką syn zaproponował ojcu. Stwosz zgodził się na sumę wynoszącą tylko 400 florenów, i to w rocznych ratach, płatnych na św. Małgorzatę – czyli 13 lipca. Za podobnych rozmiarów ołtarz w Schwarzwaldzie dostał grubo dwa razy więcej, bo 1166 guldenów²⁰. U szczytu sławy, gdy sypią się zewsząd zamówienia, mógł dyktować inne warunki. Ołtarz miał być jednak wykonany dla klasztoru, w którym ukrywał się w czasie procesu, klasztoru, którego przeorem był jeden z jego synów. Poza tym pojawiła się wreszcie okazja wykonania głównego ołtarza w kościele, najbardziej prestiżowego dzieła, jakiego nie danym mu było do tej pory stworzyć w Norymberdze.

Najprawdopodobniej do kontraktu został dołączony rysunek, gdyż o nim jest mowa w tym dokumencie:

„(...) obiecał nam, że dołoży możliwie całej staranności, bo chce to zrobić jak najlepiej to, co ma być zrobione za rzeczoną sumę i co mu wskażemy oraz co pokazane jest w rysunku (*Visirung*) i co chce nam zrobić według naszych żądań”²¹.

Jest to właśnie ów słynny projekt ołtarza, dziś bamberckiego, projekt, który wszyscy badacze – poza jedynym Szczęsnym Detloffem – zgodnie łączą z kontraktem²².

Detloff uważał, że rysunek powstał około 1517 roku i nie miał żadnego związku z późniejszym ołtarzem. Przemawiałyby za tym rozbieżności między rysunkiem a wyrzeźbionym ołtarzem²³. Miał jednak rację Zdzisław Kępiński, gdy pisał, że ta różnica wcale nie jest taka wielka. Wystarczy porównać oba dzieła. Dzięki rysunkowi, stanowiącemu jakby generalną koncepcję, od której Mistrz potem poczynił wiele odstępstw, udało się ustalić, jak wyglądały brakujące części ołtarza, a więc między innymi predella i zwieńczenie szafy²⁴.

²⁰ Bliżej Z. Kępiński, *op.cit.*, s. 19–20, a szczególnie M. Lossnitzer, *op.cit.*, s. LXI.

²¹ Cyt. za M. Lossnitzer, *op.cit.*, s. LXI (tłum. S. Waltoś).

²² M. Lossnitzer, *op.cit.*, s.140; Z. Kępiński, *op.cit.*, s. 16 i n.; G. Brautigam, *op.cit.*, s. 345.

²³ Sz. Detloff, *op.cit.*, s. 95 i n.

²⁴ Z. Kępiński, *op.cit.*, s. 10–11.



OCIEMNIAŁY WIT STWOSZ Z WNUCZKĄ,
LITOGRAFIA WG OBRAZU J. MATEJKI, 1868 R., MUZEUM UJ



GRÓB WITA STWOSZA W NORYMBERDZE



Wróćmy do roku 1517. Wprawdzie wbrew temu, co pisał Szczęsny Detloff, Stwosz jeszcze w tym roku nie zabierał się do pracy nad ołtarzem dla kościoła Karmelitów w Norymberdze, ale wielka historia w tymże roku daje znać o sobie, najpierw w Wittenberdze, zaraz potem w całym świecie zachodniego chrześcijaństwa. Marcin Luter ogłasza słynne 95 tez, wybucha reformacja. Mijają trzy lata i akurat w chwili, gdy stary Wit Stwosz zawiera umowę o wykonanie ołtarza dla kościoła Karmelitów, w Norymberdze zaczynają się gorące spory religijne. Rok 1520 nie był więc najlepszym czasem na propagowanie kultu maryjnego, a – jak się wydaje – temu miał służyć ołtarz zamawiany przez Andrzeja Stwosza, głównego obrońcę katolicyzmu w tym mieście²⁵.

Jeżeli nawet program teologiczny ołtarza nie miał na celu walki z protestantyzmem, to w ten sposób można go było odczytywać. Zwolenników reformacji zaś w Norymberdze było sporo, tak wielu, że w końcu w roku 1525 Norymberga opowiedziała się po stronie reformacji. Andrzej Stwosz z grupką swoich zwolenników musiał opuścić miasto, w którym pozostał niechciany teraz ołtarz, z którym nie wiadomo było co zrobić i z którym nikt nie chciał mieć cokolwiek do czynienia. Nikt więc nie poczuwał się do zapłaty twórcy pozostałej części należności. Samo dzieło też nie odpowiadało nowym upodobaniom, choć zdradzało niewielkie wpływy renesansu. Były one jednak powierzchowne, ograniczone do ornamentyki. Koncepcja i rysunek rzeźb pozostały gotyckie.

Daremnie starał się Mistrz o wypłatę należności. Karmelici dali mu tylko 158 zamiast 400 florenów, mimo że już w 1523 roku ołtarz był gotowy, o czym świadczy data „523”

²⁵ Tamże, s. 87–135. Innego zdania, choć nieprzekonująco – H. Stafski i R. Hausherr, *op.cit.*, s. 348.



OLTARZ WITA STWOSZA W KATEDRZE
W BAMBERGU (GŁÓWNA SZAFKA OLTARZOWA),
1523 R.

i gmerk na małym łuku, u stóp klęczącego po prawej stronie anioła²⁶. Zakonnicy zresztą w sporze z Mistrzem nigdy nie kwestionowali, że ołtarz jest ukończony²⁷. Także Rada Miejska nie chciała mieć nic wspólnego ze sprawą i – z jakiegokolwiek punktu widzenia na sprawę nie spojrzeć – miała rację. Ołtarz był przedmiotem niechcianym i przez Radę, i przez znakomitą większość protestanckiego już wówczas społeczeństwa Norymbergi.

Wit Stwosz umiera w 1533 roku. Do końca swych dni nie doczekał się tego, co mu się należało za największe i niewątpliwie najdoskonalsze dzieło wykonane po wyjeździe z Krakowa.

Dopiero w roku 1542 Rada wyraziła zgodę na wydanie ołtarza spadkobiercom. Było ich wielu, bo rodzina była bardzo

²⁶ Tamże, s. 19–22.

²⁷ E. Rastawiecki przytacza w tłumaczeniu na język polski pełny tekst wykrętniej odpowiedzi karmelitów (*op.cit.*, s. 31–35).

liczna. Stwosz z obu małżeństw miał aż 13 synów. Linia męska Stwoszów wygaśnie, gdy ostatni męski potomek odejdzie z tego świata w Ulm, w dniu 21 maja 1882 roku²⁸. Z chwilą gdy ołtarz znalazł się w rękach rodziny, trzeba było szukać nabywcy. Po różnych pertraktacjach spadkobiercom udało się w końcu sprzedać ołtarz do górnego kościoła parafialnego w Bambergu²⁹.

Tuż przed drugą wojną światową ołtarz został przeniesiony do katedry w Bambergu. Ustawiono go na końcu lewej nawy – niepolichromowany, pozbawiony, jak już wspominałem, predelli i zwieńczenia. Szczęśliwie przetrwał wojnę i nadal jest jedną z głównych atrakcji świątyni.



Gdzie podziewał się tymczasem rysunek? Jakie były jego losy? Do drugiej połowy XIX wieku nic o nim nie wiadomo. Można tylko przypuszczać, że albo znajdował się w rękach rodziny Stwosza i jeszcze przed wygaśnięciem rodu zmienił właściciela, albo jako załącznik trafił razem z umową najpierw do klasztoru, a potem do archiwum miejskiego w Norymberdze. Mienie wypędzonych karmelitów stało się bowiem własnością miasta.

Jeżeli kiedyś znajdował się w miejskim archiwum, to ktoś musiał go stamtąd wynieść. Najprawdopodobniej stało się to w latach trzydziestych lub czterdziestych XIX wieku, gdy zaczęło się „odkrywanie” twórczości Stwosza. Rysunku nie było tam w latach pięćdziesiątych, kiedy Edward Rastawiecki przeglądał skrupulatnie akta miejskie Norymbergi – nie zaniedbałby bowiem ogłoszenia o tym znalezisku. Nikt z ówczesnych badaczy nie wiedział w ogóle, że on istnieje.

²⁸ Bliżej A. Jaeger, *Veit Stoß und sein Genblecht. Aus dem Nachlass herausgegeben von Otto Puchner*, Neustadt/Aisch 1958.

²⁹ Z. Kępiński, *op.cit.*, s. 22.

Rysunek pojawił się dopiero na aukcji Aumüllera w Monachium. Oznaczono go numerem 1787 w katalogu aukcyjnym. W dniu 12 października 1871 roku kupił go Antoni Zaleski, ilustrator *Przygód Paska* wydanych w 1882 roku, od Josepha Entresa, rzeźbiarza stale mieszkającego w Monachium. Prawie zaraz potem odkupił go książę Władysław Czartoryski i najprawdopodobniej przywiózł do pałacu w Sieniawie. Stamtąd rysunek wkrótce powędrował dalej, jako dar księcia, do zbiorów Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dlaczego rysunek nie stał się eksponatem Muzeum Czartoryskich, a подарowany został Uniwersytetowi Jagiellońskiemu? Odpowiedź na to pytanie jest raczej prosta. Muzeum Czartoryskich powstanie w Krakowie dopiero w 1876 roku³⁰. Ponadto tak się składało, że profesor Józef Łepkowski, twórca Gabinetu Archeologicznego, zaczątku dzisiejszego Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, powstałego w 1867 roku, był równocześnie zarządcą biblioteki Czartoryskich w Sieniawie³¹. Dar księcia Władysława Czartoryskiego mógł być więc wynikiem sugestii, a może i gorącej namowy blisko związanego z nim człowieka. Czasem opłacało się Uniwersytetowi, gdy jego profesorowie mieli dwa etaty...

Na podstawie pewnych faktów można ustalić przynajmniej przybliżony czas, w którym rysunek został darowany uczelni. W inwentarzu, niestety, nie odnotowywano daty akcesji. Wiemy jednak, że w roku 1872 książę Czartoryski ofiarował Gabinetowi Archeologicznemu bogaty zbiórabytków etruskich i rzymskich. Mógł zatem włączyć do darowizny również rysunek Stwosza. Wskazywałaby na to sygnatura. Po numerze 5065 (rysunek Stwosza) dalsze zapisy w zachowanej księdze inwentarzowej Gabinetu Archeolo-

³⁰ M. Sokołowski, *Muzeum XX Czartoryskich w Krakowie*, odbitka z „Kwartalnika Historycznego”, Lwów 1892, s. 4.

³¹ *Polski Słownik Biograficzny*, t. XVIII, s. 342.

gicznego odnoszą się już do roku 1874³² i są to wpisy niektórych publikacji, jakie ukazały się w tym roku.

Ani profesor Józef Łepkowski, ani jego następca profesor Marian Sokołowski, również blisko związany z Czartoryskimi, gdyż od 1884 roku kierował Muzeum Czartoryskich, nie zdążyli wydać żadnej pracy na temat rysunku. Wiadomo jednak, że Sokołowski bardzo się nim interesował, przygotowywał rozprawę, ale w jej publikacji przeszkodziła mu śmierć w roku 1911. Pierwszą pracę poświęconą rysunkowi oraz jego fotografię ogłosił dopiero Stanisław Tomkowicz³³.

Również Max Lossnitzer dużo pisał o projekcie ołtarza w głośnej książce o Stwoszu, która ukazała się w tym samym roku co praca Tomkowicza³⁴. Kilkanaście lat później rysunek stał się przedmiotem rozprawy Szczęsnego Detloffa³⁵.

Aż do 1940 roku projekt ołtarza znajdował się w Zakładzie Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego mieszczącym się w salach parterowych Collegium Novum. Niestety, w tymże roku padł ofiarą grabieży hitlerowskiej.

Rabunek zorganizował sekretarz stanu doktor Kai Mühlmann, pełniący wówczas funkcję *Sonderbeauftragte für die Sicherung der Kunst – und Kulturgüter Polens*. Podstawą „prawną” były rozporządzenia wydane przez Hansa Franka, generalnego gubernatora, w dniu 15 grudnia 1939 roku o konfiskacie mienia dawnego państwa polskiego w Generalnym Gubernatorstwie³⁶ i 16 grudnia 1939 roku o konfiskacie dzieł sztuki w Generalnym Gubernatorstwie³⁷.

³² Niestety, ani w Archiwum UJ, ani w Muzeum UJ nie zachowały się żadne dokumenty dotyczące darowizny.

³³ S. Tomkowicz, *Krakowki szkic ołtarza Bambińskiego*, Sprawozdanie Komisji Historii Sztuki, t. VIII, 1912, s. 375–376.

³⁴ M. Lossnitzer, *op.cit.*, s. 140.

³⁵ Sz. Detloff, *op.cit.*, s. 91–107.

³⁶ *Verordnung über die Beschlagnahme des Vermögens des früheren polnischen Staates innerhalb des Generalgouvernements*, Dz. Rozp. GG, nr 6 z 1939 r.

³⁷ *Verordnung über die Beschlagnahme von Kunstgegenständen im Generalgouvernement*, Dz. Rozp. GG, nr 12 z 1939 r. Urzędnik niemiecki decydował o fakcie „publicznego posiadania” dobra kultury, który uzasadniał konfiskatę. W. Kowalski, *Likwidacja skutków II wojny światowej w dziedzinie kultury*, Warszawa 1994, s. 23.



STRONA TYTUŁOWA „KATALOGU” J. MÜHLMANNA,
BRESLAU 1940 R.(?)

Mühlmann zagarniał dzieła sztuki głównie na rzecz Hermanna Göringa, drugiej po Hitlerze osoby w Niemczech hitlerowskich. Oprócz niego sporo było innych rabusiów z tytułami i godnościami. Wśród nich wyróżniali się brat Mühlmann – Józef, profesor Dagobert Frey z Wrocławia, doktor Hans Vosse, działający na osobiste zlecenie Hitlera, oraz niejaki Palezieu, występujący w imieniu Franka³⁸.

Jak dobrze wiadomo, akcja była zaplanowana jeszcze przed wojną. Według list – przygotowanych przed 1 września 1939 roku przez niemieckich historyków sztuki, penetrujących polskie zbiory sztuki – wybierano przedmioty najcenniejsze.

Dowodem pozostawionym przez grabieżców był kwit konfiskacyjny, którego fotografię posiada Muzeum Uniwer-

³⁸ R. und M. Seydewitz, *Die Dame mit dem Hermelin. Der grösste Kunstraub aller Zeiten*, Berlin (NRD) 1963, s. 108.

sytetu Jagiellońskiego³⁹. Z kwitu tego wynika, że rysunek wynieśli 17 marca 1940 roku niejaki Kreisel i doktor Kudlich. Drugim dowodem rabunku stał się osławiony katalog dzieł sztuki „zabezpieczonych” na podstawie rozporządzenia z 16 grudnia 1939 roku⁴⁰.

Pod numerem 229 katalog wymieniał:

„Veit Stoos (około 1440–1533). Projekt ołtarza bamberckiego, około 1520. Rysunek piórkciem. Ołtarz został wykonany dla kościoła Karmelitów i znajduje się dzisiaj w Bambergu. Wyrysowany piórem do pisania projekt pokazuje w środkowej szafie narodziny Chrystusa i pokłon pasterzy. Na prawym skrzydle pokłon trzech króli świętych i nauczanie w Świątyni. Na lewym skrzydle zwiastowanie i nawiedzenie. Na nastawie nad środkową szafą przedstawienie zmartwychwstania Chrystusa i stworzenia Ewy, wypędzenia z raju i ofiarowania Izaaka. Wykonany ołtarz różni się znacznie od projektu. Na odwrocie rysunku stara notatka: *Altar vom Kalenberg in der Oberen Pfarre zu Bamberg von Veit Stoos, das Hauptbild und die zwei Türen sind noch in dieser Kirche*. Rysunek pochodzi z aukcji Aumüllera (Kat. Nr 1787) i został wówczas prawdopodobnie nabyty przez księcia Czartoryskiego, który go później przekazał Instytutowi Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie”⁴¹.

Rysunek najpierw znalazł się we Wrocławiu, pozostawiony do dyspozycji Mühlmanna. Tam bowiem drukowano

³⁹ Oryginał był w posiadaniu K. Estreichera jun. Dziś w zbiorach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Ostatnio został opublikowany w: K. Estreicher jun., *Straty kultury polskiej pod okupacją niemiecką 1939–1944 wraz z oryginalnymi dokumentami grabieży – Cultural Losses of Poland during the German occupation 1939–1944 with original documents of the looting*, Kraków 2003, s. 721.

⁴⁰ *Sibergestellte Kunstwerke im Generalgouvernement*. Breslau [1940 lub 1941], s. 65–66.

⁴¹ W oryginale: „Veit Stoß (um 1440–1533). Entwurf für den Bamberger Altar um 1520. Federzeichnung. Der Altar wurde die Karmeliterkirche in Nürnberg gearbeitet und befindet sich heute im Dom zu Bamberg. Der mit der Rohrfeder gezeichnete Entwurf zeigt im Mittelschrein die Geburt Christi und die Anbetung der Hirten. Auf den Flügeln rechts die Anbetung der heiligen Drei Könige und die Darstellung im Tempel. Auf den Flügeln links die Verkündigung und die

katalog dzieł „zabezpieczonych” i tam je fotografowano. Przeznaczony był ów projekt ołtarza najprawdopodobniej dla Göringa. W roku 1943 rysunek jednak zmienił posiadacza. Mühlmann osobiście zawiózł rysunek Wita Stwosza Hitlerowi, a Göringowi przypadł w zamian obraz Watteau *La femme polonoise*, wyciągnięty z przygotowywanej kolekcji obrazów do Muzeum Hitlera w Linzu⁴².

Do końca wojny rysunek najprawdopodobniej znajdował się w Berlinie, ale w czasie prac rewindykacyjnych, mimo drobiazgowych, detektywistycznych poszukiwań, nie udało się go odnaleźć. Wydawało się więc, że trzeba się pożegnać z nim na zawsze. Na nic przydało się umieszczenie go jeszcze w 1944 roku w opublikowanym w języku angielsku wykazie dzieł sztuki zrabowanych w okupowanej Polsce⁴³. Na szczęście ocalała w zbiorach Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego klisza fotograficzna Antoniego Pawlikowskiego sporządzona jeszcze przed pierwszą wojną światową. Dzięki niej i reprodukcji w pracach Stanisława Tomkowicza i Szczęsnego Dettloffa wiedzieliśmy, jak wyglądał projekt ołtarza najpierw w kościele Karmelitów, a potem w katedrze w Bambergu.



Gdy celowe i więcej lub mniej metodyczne działania okazują się bezskuteczne i gdy nadzieja rozwiewa się, może pomóc tylko zdarzenie nazywane szczęśliwym przypadkiem,

Heimsuchung. Im Auffaß über dem Mittelschrein die Außerstehung Christi und die Himmelfahrt Marias. In der Staffel ist die Erschaffung der Eva, die Vertreibung aus dem Paradies und Isaaks Opferung dargestellt. Der ausgeführte Altar weicht vom Entwurf ziemlich stark ab. Auf der Rückseite der Zeichnung ein alter Vermerk: *Altar von Kalenberg in der Oberen Pfarre zu Bamberg von Veit Stof, das Hauptbild und zwei Türen sind noch in dieser Kirche*. Die Zeichnung stammt aus Aumüllerischen Auktion (Kat. Nr 1787) und wurde damals wahrscheinlich vom Fürsten Czartoryski erworben, der sie später dem Kunsthistorischen Institut der Jagellonischen Universität überwies. Aus dem Kunsthistorischen Institut der Jagellonischen Universität Krakau”.

⁴² R. und m. Seydewitz, *op.cit.*, s. 108.

⁴³ *Cultural Losses of Poland*, red. K. Estreicher, London 1944, s. 53.

a które jest niczym innym jak włączeniem się innego łańcucha przyczynowego w ten, który jest głównym z naszego subiektywnego punktu widzenia. W roku 1977 zdarzył się właśnie taki przypadek.

W roku tym wybrał się jeden z wrocławskich historyków sztuki do wschodniego Berlina, oficjalnie zwanego wówczas „stolicą Niemieckiej Republiki Demokratycznej”, aby przeprowadzić kwerendę badawczą w Staatliche Museen zu Berlin, czyli w Państwowych Muzeach w Berlinie. Przeglądając katalog w muzealnym Kupferstichkabinett und Sammlung der Zeichnungen, to jest w Gabinetecie Miedziorytów i Zbiorze Rysunków, niespodziewanie natrafił na kartę katalogową informującą, że znajduje się tam rysunek Wita Stwosza będący projektem ołtarza bamberskiego⁴⁴. Ów historyk sztuki zachował się tak, jak każdy przyzwoity i odpowiedzialny uczoney powinien się zachować. Powiadomił natychmiast po powrocie do kraju Ministerstwo Kultury i Sztuki. Rok później toczyły się już rozmowy z władzami NRD. Nie trzeba dodawać, że żądanie zwrotu rysunku nie wzbudziło entuzjazmu w Berlinie. W załatwieniu tej sprawy pomógł pewien fakt. W tym samym roku, w dniu 29 maja, Berlin wschodni odwiedził oficjalnie Edward Gierek, ówczesny pierwszy sekretarz PZPR. Przekazał on wówczas „drogiemu towarzyszowi” Erichowi Honnckerowi, sekretarzowi generalnemu SED, kilka bezcennych rękopisów niemieckich kompozytorów. Były to dzieła najwyższej rangi, perły nad perłami kultury niemieckiej i świata. Wróciły wówczas do Niemiec rękopis: *IX Symfonii d-moll* Beethovena (tzw. autograf 2), *Koncertu c-moll, opus 37* Beethovena, *Czardziejskiego fletu nr KV 620* Mozarta, *Mszy c-moll, KV 427* Mozarta, *Symfonii Jowiszowej, KV 551* Mozarta, *Koncertu c-moll na dwa fortepiany* Jana Sebastiana Bacha i również Bacha *Sonaty a-dur*⁴⁵.

⁴⁴ „Gazeta Krakowska” z 26 stycznia 1981 r.

⁴⁵ Informację zawdzięczam pani mgr Agnieszce Mietelskiej-Ciepierskiej, kierownicce Działu Muzycznego Biblioteki Jagiellońskiej.

Rękopisy te wyjęte zostały z kolekcji stanowiącej część zbiorów Państwowej Biblioteki Pruskiej w Berlinie, przechowywanych od 1946 roku w Bibliotece Jagiellońskiej. Znalazły się one w czasie wojny na Dolnym Śląsku, w klasztorze w Krzeszowie, umieszczone tam przez władze niemieckie w ramach tzw. *die Auslagerung*, inaczej mówiąc – rozmieszczenia niemieckich dóbr kultury na terenach niezagrożonych bombardowaniem. Bardzo ważne miejsce w tych zbiorach zajmują między innymi rękopisy Bacha, Beethovena, Mozarta, Haydna, Schuberta i innych kompozytorów. Od dawna i władze NRD, i władze RFN ubiegały się o zwrot tych zbiorów.

W zamian, ale dopiero w 1980 roku, Honnecker „darował narodowi polskiemu” rysunek Wita Stwosza. W lipcu roku 1980 rysunek był już w Warszawie.

Nie wiadomo jednak, dlaczego nie odesłano go wprost do Krakowa. Złożono go bowiem w formie depozytu w Muzeum Narodowym. Dyrektorem tego Muzeum była znakomitość w świecie muzealnym, profesor Stanisław Lorentz, który nie lubił wypuszczać z rąk obiektów zabytkowych, które znalazły się w jego posiadaniu... Nie pozostawało nic innego piszącemu te słowa, jak udać się z prośbą do Karola Estreichera, doświadczonego jak nikt inny w bojach o odzyskiwanie muzealiów, także od swoich kolegów po fachu. Jego interwencje sprawiły, że rysunek ostatecznie wrócił do Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego.



W Uniwersytecie Jagiellońskim do drugiej wojny światowej znajdowały się jeszcze trzy dokumenty bezpośrednio związane z Witem Stwoszem, o wielkiej wartości dla badaczy. Niestety, wszystkie przepadły.

Pierwszym z nich był oryginalny list Wita Stwosza z 1525 roku, ściśle łączący się z losami ołtarza bamberskiego, skiero-

wany do Rady Miejskiej w Norymberdze. W tłumaczeniu Edwarda Rastawieckiego brzmiał on tak:

„Mądrzy, przezorni i mili Panowie! Dowiaduję się, że ojcowie od braci pobożnych wszystkie mienie swe oddali pod rozsądzenie waszej Mądrości, pana przy skrzyni jałmużniczej dla ubogich. Tymczasem pozostali mi dłużni 242 złote za ołtarz (taffel, ołtarz, płaskorzeźba w drzewie), który im sporządziłem, i winni mi corocznie po 50 złotych, dopóki wszystko spłaconym nie będzie. Prowincjał i przeor z kilku ojcami uprosili mnie, żem im ten ołtarz za 400 złotych opuścił; a nikomu innemu nie chciałbym podobnego zrobić za 800 złotych, gdyż mnie samego przeszło 400 złotych kosztował. Upraszam przeto wszystkich Waszmość Panów, żebyście tę rzecz łaskawie rozważywszy, mnie w tym dopomogli, żebym wedle umowy z przełożonymi zapłacony został. Upraszam Wasze Miłości o łaskawe ku mnie rozważenie i wejrzenie. Zachowam się na zawsze dla Was najuniższej. A mam na to i rewers. Veit Stwosz”⁴⁶.

Do XIX wieku list przechowywało Archiwum Okręgowe w Norymberdze, w aktach oznaczonych sygnaturą S.I.L. 103 Nr 3. Ktoś wyniósł go stamtąd, po czym trafił on w ręce niejakiego M.M. Mayera, handlarza dziełami sztuki, ten zaś sprzedał go Rastawieckiemu⁴⁷. Nie ma więc żadnych wątpliwości, że list padł ofiarą kradzieży dokonanej w archiwum. Poza wszelkim prawdopodobieństwem jest bowiem przypuszczenie, że archiwum samo postanowiło pozbyć się jednego z cenniejszych archiwaliów. Tajemnica okryje nazwisko złodzieja na zawsze. Taką samą tajemnicą pozostanie również to, czy Edward Rastawiecki zdawał sobie sprawę, że kupuje dokument wykradzony z archiwum. To, że pośrednikiem był Mayer, pozwala zakładać, iż mógł sądzić, że kupuje przedmiot legalnie. To jednak tylko domysł. Taki

⁴⁶ E. Rastawiecki, *op.cit.*

⁴⁷ M. Lossnitzer, *op.cit.*, s. LXII.

sam, jak dopuszczanie myśli, że Rastawiecki, wszak dobroczyńca Uniwersytetu Jagiellońskiego, co najmniej podejrzewał, iż list ktoś ukradł w archiwum. Nikt nie lubi przyjmować do wiadomości, że dobrodziej zachowywał się niezbyt chwalebnie.

Profesor Józef Łepkowski, twórca Gabinetu Archeologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, który przyjął dar Rastawieckiego, pozostaje poza podejrzeniem. Nic nie wskazuje, że wiedział, skąd list wywędrował. Można zatem zakładać, iż Uniwersytet Jagielloński stał się właścicielem listu *cum bona fide*. Przez 70 lat zresztą nikt nigdy nie podniósł kwestii legalności tytułu do niego.

W dniu 17 marca 1940 roku hitlerowcy zagrabili list⁴⁸ razem z rysunkiem Wita Stwosza i do tej pory nie udało się go odzyskać. Wszystkie poszukiwania okazały się daremne. Wymienia go katalog Mühlmanna pod nr 230:

*Brief von Veit Stoß an der Rat der Stadt Nürnberg. Der Meister fordert darin die Auszahlung des Restes der vereinbarten Summe für den Marienaltar der Karmeliterkirche in Nürnberg. Aus dem Kunsthistorischen Institut der Jagiellonischen Universität, Krakau*⁴⁹.

W zbiorach Uniwersytetu Jagiellońskiego znajdował się także list Rady Miejskiej w Norymberdze, a właściwie akt sprzedaży Stwoszowi domu w Norymberdze w 1499 roku. Dokument kupił Edward Rastawiecki od kolejnych właścicieli wspomnianego już domu przy Prechtelgasse i razem z opisywanym listem Stwosza darował go Uniwersytetowi w 1869 roku⁵⁰. Dzięki opisowi pozostawionemu przez ofiarodawcę wiemy, że był to pergamin z zawieszoną u dołu pieczęcią miasta.

Darem Rastawieckiego dla Uniwersytetu Jagiellońskiego był też list ojców karmelitów z 1525 roku do Rady Miejskiej

⁴⁸ Cyt. kwit konfiskacyjny oraz „Sichergestellte Kunstwerke”, s. 66.

⁴⁹ „Sichergestellte Kunstwerke”, s. 66.

⁵⁰ Nr inw. Gabinetu Archeologicznego 5064.

w Norymberdze, będący odpowiedzią na opisany już list Wita Stwosza⁵¹.

Hitlerowcy nie zagrabili ani listu Rady Miejskiej, ani listu karmelitów 17 marca 1940 roku. Nie wymienia ich katalog Mühlmanna. Przepadły jednak w czasie drugiej wojny światowej. Kto wie, czy nie stało się to z chwilą częściowego rozproszenia zbiorów muzeum uniwersyteckiego po 1940 roku. Mogło dojść do tego i później, pod koniec wojny. Wiadomo, że okupant umieścił lwią część tych zbiorów w gmachu Collegium Maius, który służył za siedzibę nazistowskiego Instytutu Niemieckiej Pracy Wschodniej (Institut für Deutsche Ostarbeit). Być może hitlerowcy wywieźli listy do Bawarii w lipcu 1944 roku, gdy ewakuowali Instytut do tamtejszych zamków w Miltach i Zandt i stamtąd w chwili dobijania reżimu hitlerowskiego ktoś je zabrał. Gdy alianci zajęli Zandt, znaleźli sporo dzieł pochodzących z Krakowa. Obu listów jednak tam nie było. Referent w sekcji historii sztuki w tym Instytucie, doktor Ewald Behrens, mógłby niejedno powiedzieć o zaginionych „stwoszianach” i innych muzealiach, którymi władał Instytut. Któż inny jak nie Behrens wiedział prawie wszystko o dziełach sztuki spoczywających w pomieszczeniach Instytutu? Niestety, nie skorzystano z okazji, aby postawić kilka pytań Behrensowi, gdy w 1961 roku pojawił się niespodziewanie w Krakowie. Nawet Karol Estreicher, którego Behrens odwiedził, nie przepytął go w tym kierunku, o czym świadczą zapiski w jego *Dzienniku*⁵².



Finał tej opowieści jest minorowy. Spośród czterech „stwoszianów” tylko jedno wróciło do Krakowa. Lata upływają i co-

⁵¹ Nr inw. Gabinetu Archeologicznego 5062. Chyba o ten dokument chodzi w zapisie „Dokument tyczący Wita Stwosza” – dar barona E. Rastawieckiego.

⁵² K. Estreicher jun., *Dziennik wypadków*, Kraków 2003, t. 3, s. 458.

raz trudniej będzie znaleźć nowe ślady zagrabionych przedmiotów. Chyba że pewnego dnia jakiś młody uczonec, poszukując materiałów archiwalnych w jakimś archiwum, jakiejś bibliotece, ze zdumieniem stwierdzi, że znajduje się tam list pewnego średniowiecznego rzeźbiarza...



EKSPOZYCJA RYSUNKU WITA STWOSZA W MUZEUM UJ

Pociechą zaś w tej opowieści jest to, że przynajmniej jedno ze „stvoszianów” wróciło na swoje miejsce. Na ścianie Drugiego Skarbca w Collegium Maius wisi jednak nie oryginał, a znakomicie ręcznie wykonana kopia rysunku Mistrza Wita. Kopia, bo światło dzienne zniszczyłoby oryginał. Papier panastwoszowy ma już prawie 500 lat. Rysunek leży więc dobrze schowany w magazynie, dostępny tylko badaczom. Niezmiernie rzadko i tylko na bardzo krótko wypożycza się go także na wystawy.

Odzyskane zaś dzieło poucza o wielkim i niestety raczej daremnym trudzie starego rzeźbiarza, aby znaleźć się w nurcie sztuki renesansu.

KLOCKI
DOKTORA
MARCINA
LUTRA





AWERS MEDALU Z WIZERUNKIEM MARCINA LUTRA
(W 300-LECIE OGŁOSZENIA 95 TEZ, NIEMCY 1817 R.) , BRĄZ,
MUZEUM UJ



zy zapomniany już dziś stolarz, gdy wykonywał przed wielu laty dwie niewielkie drewniane szafy, pełne wymyślnych przegródek, stojące w jednej z sal Collegium Maius, mógł przewidzieć, że pomieszczą one zbiór niezwykle, chyba jedyny w Polsce?

Z pewnością wiedział, że znajdą się w nich drewniane klocki drzeworytnicze i że będzie ich sporo. Szafy są bowiem zrobione „na miarę”. Ale czy zdawał sobie sprawę, że szykuje azyl dla kolekcji tych przedmiotów po przygodach, z których każda mogła je unicestwić, a co najmniej bezpowrotnie rozproszyć, czyniąc straty nie do naprawienia w zasobach dziedzictwa europejskiego?



Historia drewnianych klocków zaczęła się prawie 500 lat temu, gdy doktor Marcin Luter schronił się na zamku Wartburg koło Eisenach i zabrał się do tłumaczenia Nowego Testamentu na język niemiecki. To, co się wówczas stało, nie zdarzyło się nigdy wcześniej. Nie miało także, jak do tej pory, powtórzyć się w przyszłości. Jeden człowiek jednym tłumaczeniem Wulgaty, czyli łacińskiego tekstu Biblii z IV wieku z pomocą greckiego tekstu Biblii opracowanego przez Erazma z Rotterdamu, przyczynił się walnie do powstania nowego języka niemieckiego, owego Hochdeutsch, literackiej i oficjalnej niemieczyny, którą dzisiaj posługują się Niemcy. Tym człowiekiem



MARCIN LUTER,
MAL. L. CRANACH ST., WARSZTAT, 1532 R., OLEJ, DESKA,
GEMÄLDEGALERIE, ALTE MEISTER, DREZNO



FILIP MELANCHTON,
MAL. L. CRANACH ST., WARSZTAT PO 1532 R., OLEJ, DESKA,
GEMÄLDEGALERIE, ALTE MEISTER, DREZNO

był doktor Marcin Luter. Pięć różnych języków niemieckich zastąpiła synteza. Tamte stały się tylko dialektami. Tłumaczenie Lutra zdobyło niezwykłą popularność. Po pierwszym wydaniu Nowego Testamentu we wrześniu 1522 posypały się następne. Tymczasem Luter pisał i pisał – listy, odezwy, katechizmy. Pracował też już nad tłumaczeniem Starego Testamentu. To nie była praca na siły jednego tak bardzo zajętego człowieka. Pomagali mu więc Filip Melanchton, Bugenhagen, Jonas i inni. Słowo „pomagali” jest tu na miejscu. Luter był tym, który przetłumaczył znakomitą większość tekstu i nadał mu jednolitą formę. Praca nad tłumaczeniem Starego Testamentu zabrała Lutrowi co najmniej dziesięć lat. Jeszcze przed ukończeniem całości zaczęły się pojawiać fragmenty Starego Testamentu w oddzielnych odbitkach¹. Zakończył pracę najpóźniej w 1532 roku, gdyż chyba w tym roku rękopis pełnego tekstu Biblii otrzymał drukarz Hans Lufft, również jak sam Luter mieszkający w Wittenberdze. Upływają jeszcze dwa lata i wreszcie w 1534 roku Lufft drukuje Biblię przetłumaczoną przez Lutra. Ukazanie się Biblii Lutra zbiega się w czasie z wydaniem *Act of Supremacy* w Anglii oznaczającym całkowite zerwanie więzów Kościoła w Anglii z Watykanem.

Twórczość translatorska Lutra była walką o sumienia, przekonania, idee, a także i rządy. Drugim obok słowa orężem w tej walce były drzeworyty. Kolejne wydania Nowego Testamentu zdobyły ilustracje drzeworytnicze, pełne jednoznacznych aluzji do papieżstwa jako miejsca grzechu i wszelkich wszeteczeństw. W tym duchu utrzymane musiały zatem znaleźć się także w Biblii z 1534 roku. Nie bez powodu zyskały sobie nazwę „Kampfbilder”, obrazów wojowniczych. Nie trzeba też dopowiadać, że strona przeciwna nie była dłużna i że na walkach religijnych za pomocą drzeworytów konflikt w owych czasach, jak dobrze wiadomo, nie kończył się. Dajmy

¹ G. Wendelborn, *Martin Luther: Leben und reformatisches Werk*, Berlin 1983, s. 291.

jednak spokój tym sprawom. Znacznie mniej istotne w porównaniu z nimi, ale nie mniej ciekawe są zawile drogi, jakimi wędrowały klocki drzeworytnicze, które posłużyły do ozdobienia Biblii doktora Marcina Lutra z 1534 roku.



Klocki drzeworytnicze w tamtych czasach wędrowały od drukarza do drukarza po całej Europie. Ich wędrowki świadczyły o związkach kulturalnych łączących różne społeczności Europy, bez względu na religie, narodowości i władze. Były jednym z podstawowych środków rozpowszechniania nowych idei i stylów artystycznych. Inicjatywę w uruchamianiu ich obiegu wykazywali drukarze w różnych krajach. Nad głębokimi przepaściami religijnymi interesy handlowe tworzyły pomosty, przez które ciągnęły się nici bezwiednej często współpracy kulturalnej. Naturalne dążenie do obniżki kosztów własnych nakazywało rozglądanie się za istniejącymi już drzeworytami. Tańsze było kupno używanych niż zamawianie nowych. Szczególnie gdy dotychczasowy właściciel odbijał je już kilkakrotnie. Wielokrotna zaś ich reprodukcja dawała gwarancję, że zdobędą uznanie także w nowych miejscach.



Wszystkie ilustracje w Biblii z 1534 roku były nowe. Wydrukowano ich, oprócz inicjałów wielkich i małych, aż 124. Siedem z nich jednak powtarzało się. Lufft zamówił więc u drzeworytnika 117 zupełnie nowych klocków drzeworytniczych². Albert Schramm wyciągał z tego faktu wnioski

² A. Schramm, *Die Illustration der Lutherbibel*, Leipzig 1923, s. 22; H. Volz, *Martin Luthers deutsche Bibel*, Hamburg 1978, s. 154–155; K. Krazsch, *Illuminierte Holzschnitte der Luthers-Bibel von 1534*, Berlin 1983, s. 106.



STRONA TYTUŁOWA BIBLIJ MARCINA LUTRA Z 1534 R.



Feinde/ Vnd so jemand sie wil beleidigen / der mus also getödtet werden. Diese haben macht den Himel zuwerschliessen / das es nicht regene in den tagen irer Weissagung / vnd haben macht ober das Wasser / zu wandeln in Blut / vnd zu schlachen die Erde mit allerley Plage / so offft sie wollen.

VND wenn sie jr Zeugnis geendet haben / SO wird das Thier / das aus dem Abgrund auffsteiget / mit jnen einen Streit halten / vnd wird sie vberwinden / vnd wird sie tödten. VND ire Leichnam werden ligen auff der Gassen der grossen Stad / die da heisse geistlich / die Sodomia vnd Egypten / da vnser DERR gecreuziget ist. Vnd es werden ire Leichnam etliche von den Vöckern / vnd Geschlechten / vnd Sprachen / drey tage vnd einen halben sehen / vnd werden ire Leichnam nicht lassen in Greber legen. Vnd die auff Erden wonen / werden sich frewen vber jnen / vnd wolleben / vnd Geschenck vnternander senden / Denn diese zween Propheten / queleten die auff Erden woneten.

VND nach dreien tagen vnd einem halben / fuhr in sie der Geist des Lebens von Gott / vnd sie tratten auff ire Füßte / Vnd eine grosse fürcht fiel vber die sie sahen. Vnd sie höreten eine grosse stim vom Himel zu jnen sagen / Steiget herauff. Vnd sie stiegen auff in den Himel / in einer Wolcken / Vnd es sahen sie ire Feinde. VND zu derselben stund ward ein gros Erbbeben / vnd das zehende teil der Stad fiel / vnd wurden ertödtet in der Erbbebung sieben tausent namen der Menschen / Vnd die andern erschracken / vnd gaben Ehre dem Gott des Himels. DAS ander Weh ist dahin / Siche / das dritte Weh kompt schnell.

XII.



VND der siebend Engel vrsammet / Vnd es wurden grosse stimme im Himel / die sprachen / Es sind die Reiche der Welt vnser DERR vnd seines Christus worden / Vnd er wird regieren von ewigkeit zu ewigkeit. VND die vier vnd zwenzig Ältesten / die für Gott auff iren Stüelen saßen / fielen auff jr Angesicht / vnd beteten Gott an / vnd sprachen / Wir dancken dir DERR allmechtiger Gott / der du bist / vnd warest / vnd künfftig bist / das du hast

(Thier)
Der Welliche
Bapst / Ioh. Ca
p. 13.

Die Kompt der
wellich Bapst /
Aber inuor wöflet
er abermal die
Christen / für falsch
an Giewel.

o niezwyklej operatywności oficyny Luffta³. Może to i prawda, ale warto też pamiętać, że nowe klocki nie powstawały natychmiast, tuż przed drukiem Biblii. Daty wyryte na niektórych z nich (1532, 1533, 1534) dowodzą, że Lufft zamawiał je z dużym wyprzedzeniem w stosunku do druku Biblii⁴. Mogło się to zdarzyć już w roku 1531, z chwilą, gdy Luter zbliżał się już do końca prac translatorskich.

Osobisty wkład Lutra w dobór ilustracji nie budzi wątpliwości w świetle relacji Christopha Walthera, korektora w drukarni Luffta. Wspominał on: „Szanowny pan doktor Marcin Luter sam niektóre figury w biblii wittenberskiej podsunął, zaproponował jak je należy narysować lub namalować i pomógł w staraniach, aby treść tekstu była najdokładniej odmalowana i odrysowana”⁵.

Co wiemy o autorach ilustracji? Właściwie nic albo prawie nic. Dość prawdopodobne jest tylko nazwisko Lucasa Cranacha starszego, być może autora karty tytułowej – *Scrutamini Scriptores*⁶.

Wśród pozostałych drzeworytów można wyróżnić dwie grupy:

1) sygnowane inicjałami M.S. Nie wszystkie z tej grupy posiadają takie inicjały, ale analiza stylistyczna wykazuje jednoznacznie, że są dziełami tego samego artysty, którym – zdaniem Heinricha Röttingera – był Moritz Schreiber, malarz z Lipska⁷. Engelbert Baumeister natomiast sądzi, że pod

³ A. Schramm, *op.cit.*, s. 23.

⁴ Tamże, s. 27; H. Volz, *Bibel und Bibeldruck in Deutschland im 15. und 16. Jahrhundert*, Mainz 1960, s. 46. Obaj autorzy twierdzą, że przygotowanie do druku Biblii zaczęło się w 1532 r. Czas ten można przesunąć o rok wcześniej. Zanim powstały pierwsze klocki, trzeba było przecież wyszukać drzeworytnika i ustalić program ikonograficzny.

⁵ W. Meyer, *Der Buchdrucker Hans Lufft zu Wittenberg*, Leipzig 1923, s. 36 i n.; cytuję on wspomnienia Ch. Walthera, *Bericht von unterschied der Biblien etc.*, Wittenberg 1563, s. 58; J. Muczkowski, *Zbiór drzeworytów w Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie*, Kraków 1849, s. 9.

⁶ J. Strachan, *Early Bible Illustration*, Cambridge 1957, s. 46. H. Volz (*Martin Luthers... op.cit.*, s. 160) sądzi natomiast, że autorem mógł być Mistrz M.S.

⁷ H. Röttinger, *Beiträge zur Geschichte des sächsischen Holzschneits*, Strassburg 1921, s. 67.

tymi inicjałami kryje się Martin Schaffner⁸, a według Georga Kaspara Naglera, autorem ich miał być Melchior Schwarzenberg⁹;

2) znaczone inicjałami S^P₅. Być może autorem ich jest Peter Salzburger¹⁰.

Jak wiadomo, następne wydania Biblii Lutra drukował Lufft w latach 1535, 1536, 1539, 1540, 1541 (dwa wydania), 1543 (dwa wydania), 1544, 1545, 1546 (dwa wydania), 1548, 1549, 1550. Różniły się one częściowo formatami i ilustracjami. Naturalną kolejną losu przybywały nowe drzeworyty, znikaly stare. Między innymi w wydaniu z 1540 roku pojawiły się drzeworyty z sygnaturą H.B. Wcześniej już można było je zobaczyć w Biblii wydanej przez Melchiora Lothera w Magdeburgu w 1536 roku.

Po raz pierwszy klocki drzeworytnicze użytkowane przez Luffta opuściły Wittenbergę w 1536 lub 1537 roku. W roku 1537 Lufft nie drukował bowiem Biblii. W tym samym natomiast roku ukazała się Biblia w tłumaczeniu na język czeski, wydrukowana w Pradze, z drzeworytami pochodzącymi z drukarni Luffta. Drukował je Paweł Seweryn z Kapyhory¹¹. Klocki były chyba tylko wypożyczone, gdyż wkrótce wróciły do drukarni Luffta, gdzie wykorzystano je w następnych wydaniach Biblii, po raz ostatni w wydaniu z 1546 roku¹².

Po raz drugi klocki pojawiły się w Pradze po roku 1546. Teraz już nie wypożyczone, ale sprzedane drukarzom praskim. Ozdobiły czeski przekład Biblii, wydawany w latach 1549, 1557 i 1560, zwany Biblią Netolického albo Melantricha¹³. Transakcje związane z wypożyczeniem klocków

⁸ E. Baumceister, *Martin Schaffner als Zeichner für den Holzschnitt* (cyt. za E. Chojecka, *Deutsche Bibelserien in der Holzstocksammlung der Jagellonischen Universität in Krakau*, w: *Studien zur deutschen Kunstgeschichte*, t. 321, s. 10).

⁹ G.K. Nagler, *Die Monogrammisten* (cyt. za: E. Chojecka, *op.cit.*, s. 10).

¹⁰ E. Chojecka, *op.cit.*, i tamże cyt. lit., s. 10.

¹¹ J. Muczowski, *op.cit.*, s. 2.

¹² E. Chojecka, *op.cit.*, s. 10.

¹³ J. Muczowski, *op.cit.*, s. 2.

Sewerynowi, a potem sprzedażą Netolickiemu, który drukował Biblię w 1549 roku, najprawdopodobniej były zawierane za sprawą Melantricha Rozdalowskiego, współnika Netolickiego. Studiował on kiedyś w Wittenberdze i pozostawał tam w bliskich kontaktach z Melanchtonem¹⁴, te zaś mogły zaprowadzić go do drukarni Luffta. Tak więc przez co najmniej 12 lat klocki znajdowały się w Pradze.

Rezygnacja z drzeworytów Mistrza M.S. w kolejnych, po 1546 roku, wydaniach Biblii, zbiega się ze śmiercią Lutra w 1545 roku. Wygląda na to, że Lufft chciał zmienić ilustracje drukowanych u niego Biblii. Dotychczasowe opatrzyły się, Luter zaś nie był już przeszkodą w dokonywaniu zmiany, a wiadomo dobrze, że dotychczasowe upodobał sobie szczególnie. Luffta stać było poza tym na zamówienie nowej serii drzeworytów. Jego stan majątkowy był – z pewnością w dużym stopniu dzięki drukowi i sprzedaży Biblii doktora Marcina Lutra – bardzo dobry. W roku 1548 stać go było na płacenie wysokich podatków, oprócz drukarni miał i winiarnię, a także drugi warsztat w Królewcu w latach 1549–1553¹⁵.

W roku 1560 otwiera się dalszy etap podróży klocków. Kupują je wówczas krakowscy drukarze Mikołaj i Stanisław Scharffenbergerowie. Trafiają więc tym razem do Krakowa. Posłużą do zilustrowania pierwszego polskiego tłumaczenia Biblii, którego autorem był Jan Nycz ze Lwowa, zwany Leopolitą, profesor teologii Akademii Krakowskiej. To nie było tłumaczenie w duchu reformacji. Przeciwnie, inspiracją jego była kontrreformacja, nabierająca coraz większego impetu. Już wkrótce zapadną uchwały toczącego się od 1545 roku soboru w Trydencie.

Twórcą przedsięwzięcia był zresztą tylko Mikołaj Scharffenberger, gdyż wyłącznie on podpisał dedykację poświęconą

¹⁴ F. Horak, *Pět století českého knižství*, Praha 1968, s. 129–131.

¹⁵ W. Meyer, *op.cit.*, s. 6.

królowi Zygmuntowi Augustowi. Biblia ukazała się w roku 1561. W przedmowie do czytelnika Mikołaj Scharffenberger przeproszał: „Mój miły czytelniku, proszę, by cię to nie obraziło, iż nie jednostajnymi figurami robiono, to jest jedno wielkie, a drugie mniejsze: ażebym tego przyczynę opisać miał, snać by się tym obraźliwie zdało być, którzy tego przyczyną są, wszakoż to Panu Bogu poruczam, a sumieniu ich, którego mało mają, co mi uczynili, ku utracie większej nakładu mnie przywodząc”¹⁶. Reinitzer zwrot „utrata większa nakładu” tłumaczy jako „zniszczona większa część nakładu”¹⁷. Istotnie, Scharffenberger drukował duże drzeworyty, te które znajdowały się w Biblii tłoczzonej u Luffta, i znacznie mniejsze, odbiegające poziomem artystycznym od drzeworytów Lufftowskich.

Jerzy Samuel Bandtkie sądził, że słowa Mikołaja Scharffenbergera wyrażały żal do Luffta, który miał nie dotrzymać słowa, skutkiem czego trzeba było drukować dwa rodzaje ilustracji, odbiegających wyraźnie od siebie urodą¹⁸. Nie całkiem tak rzecz się miała. Jeżeli do kogokolwiek mógłby mieć pretensję Scharffenberger, to do Melantricha, bo od Netolickiego Melantrich przejął interes w 1552 roku. Od Melantricha, a nie od Luffta Scharffenberger kupował klocki.

Blizsze przyjrzenie się Biblii Scharffenbergerów z 1561 roku, zwanej też Biblią Leopolicy, prowadzi do wniosku, że aż 34 klocki dotyczące Starego Testamentu, mimo że znalazły się w Krakowie, nie zostały w niej odbite. Zamiast nich odbijano małe klocki, odznaczające się bardzo oszczędnym, prostym, prawie prymitywnym rysunkiem, dalekim od bogactwa plastycznego drzeworytów Mistrza M.S. Nie jest zatem wykluczone, że klocki dostarczono do Krakowa w dwóch partiach.

¹⁶ Biblia drukowana u Mikołaja Scharffenbergera w Krakowie w 1561 r.

¹⁷ H. Reinitzer, *Biblia deutsch. Luthers Bibelübersetzung und ihre Tradition*, Wolfenbüttel 1983, s. 177.

¹⁸ J.S. Bandtkie, *Historia drukarni krakowskich*, Kraków 1815, s. 305–307.



OCENZUROWANY KLOCEK DRZEWORYTNICZY DWAJ ŚWIADKOWIE I BESTIA
(WIDOCZNY ŚLAD USUNIĘCIA TIARY), MUZEUM UJ

Bibl. Jag.



DRZEWORYT DWAJ ŚWIADKOWIE I BESTIA (JUŻ BEZ TIARY),
PUBL. J. MUCZKOWSKI, ZBIÓR DRZEWORYTÓW W BIBLIOTECE UJ W KRAKOWIE,
KRAKÓW 1849 R., NR 99



OCENZUROWANY KŁOCEK DRZEWORYTNICZY *NACZYNIA GNIEWU BOŻEGO*
(WIDOCZNY ŚLAD USUNIĘCIA TIARY), MUZEUM UJ



DRZEWORYT *NACZYNIA GNIEWU BOŻEGO* (JUŻ BEZ TIARY),
PUBL. J. MUCZKOWSKI, *OP.CIT.*, NR 100

Druga najprawdopodobniej dotarła już po wydrukowaniu pierwszego wydania Biblii w 1561 roku. Niektóre z klocków z drugiej partii znalazły zastosowanie dopiero w następnych wydaniach, w latach 1575 i 1577¹⁹. Poza dyskusją natomiast pozostaje to, że klocki wykonane dla Biblii Lutra posłużyły do zilustrowania Biblii kontrreformacyjnej. I nikt z tego powodu nie podnosił alarmu. Zdaniem Ewy Chojeckiej: „blisko trzydziestoletnie opóźnienie czyniło z serii wittenberskiej w Krakowie zespół nieco przestarzały, z drugiej strony jednak zatarło jej pierwotny innowierczy profil”²⁰.

Nie czas wszakże, ale przezorna ręka ludzka zatarła charakter innowierczy. Stało się to już w Pradze po roku 1546. Trzy najbardziej antypapieskie drzeworyty z Biblii Luffta z 1534 roku zostały tak spreparowane, aby cenzura kościelna nie mogła ich zakwestionować. Wydlubano więc w klockach drzeworytniczych górne partie tiary na łbie żaby (*Naczynia gniewu Bożego*) i bestii (*Dwóch śmiadków i bestia*) oraz na głowie nierządnicy babilońskiej. Znikły zatem tiary, powstały korony, które nie spełniały żadnej funkcji znaczeniowej. Wydrapanie górnej części tiary, szczególnie na łbie bestii, było tak widoczne, że każdy czytelnik – szczególnie baczny cenzor – musiał spostrzec, że coś znikło z drzeworytu. Inne drzeworyty były właściwie neutralne. Tym bardziej że w porównaniu z pierwszymi wydaniem Nowego Testamentu ilustracje Biblii z 1534 roku zawierały znacznie mniej akcentów polemicznych w stosunku do Kościoła katolickiego. W przedstawieniach zniszczenia Babilonu nie można już rozpoznać szesnastowiecznego Rzymu²¹.

¹⁹ Dawid i Achimelech (nr 35 w *Zbiorze drzeworytów...* J. Muczkowskiego) oraz Dawid i Bethseba (nr 38 w *Zbiorze drzeworytów...* J. Muczkowskiego).

²⁰ E. Chojcka, *Znaczenie kulturowe grafiki polskiej XVI wieku*, w: *Dawna książka i kultura*, Wrocław 1975, s. 107.

²¹ H. Grisar, F. Hegge, *Luther Kampfbilder (Der Bilderkampf in der deutschen Bibel)*, Freiburg im Breisgau 1922, t. 2, s. 18.

Posługiwanie się innowierczymi ilustracjami nie należało zresztą do przypadków sporadycznych. Polska grafika renesansowa pełna jest przykładów oddziaływania grafiki obcej, tworzonych w duchu reformacji, na ilustracje dzieł niewątpliwie katolickich²². W Niemczech zaś przejmowanie przez katolickich wydawców tłumaczenia Lutra i drzeworytów je ilustrujących, nawet tych z akcentami antypapieskimi, było na porządku dziennym. Już w roku 1527 Hieronim Emser, drukując tuż przed śmiercią w Dreźnie tzw. katolicki przekład Nowego Testamentu, będący niczym innym jak plagiatem grudniowego (z 1522 roku) wydania Nowego Testamentu Lutra, kupił u Cranacha starszego za 40 talarów również klocki drzeworytnicze do tego wydania. W drukarni wykrojono tiary papieskie z głów bestii w serii *Apokalipsy* i tylko dwa klocki zastąpiono innymi. Podobnie uczynili Johannes Dietenberger w 1534 roku i Görg Krapff w 1537 roku²³.

Naśladowanie ilustracji luterańskich mogło być niebezpieczne. Zwłaszcza w Krakowie, gdzie cenzura kościelna bywała ostra²⁴. Tak na przykład niejaki Jan Hanusz miał 26 listopada 1544 roku proces przed sądem biskupim, gdyż znaleziono u niego pięć ksiąg Marcina Lutra. Hanusz tłumaczył się, że nie przechowywał ich dla lektury, ale po to, aby skopiować ryciny Dürera, które są bardzo piękne i wszystkim bardzo się podobają...²⁵

Zdarzyło się to jednak w roku 1544. Dwadzieścia lat później sprawy miały się nieco inaczej. Koniec panowania Zygmunta Augusta to czasy największego rozkwitu reformacji. Drzeworyty sprowadzone do Polski miały rzucające się

²² Zob. E. Chojecka, *Zbiórki artystyczne polskiego drzeworytu renesansowego z grafiką europejską*, Acta Univ. Wratisl., Nr 364, Wrocław 1978, s. 181 i n.

²³ H. Grisar, F. Hegge, *op.cit.*, s. 37–39.

²⁴ Bliżej na temat cenzury kościelnej wykonywanej przez biskupów krakowskich w XVI wieku – zob. J. Ptaśnik, *Drukarze i księgarze krakowscy w XV i XVI wieku*, Lwów 1922, oraz W. Szelińska, *Drukarstwo krakowskie*, Kraków 1974.

²⁵ J. Ptaśnik (wyd.), *Monumenta Poloniae Typographica XV et XVI Saeculorum*, t. 1, *Materiały źródłowe*, Lwów 1932, s. 210–211.

w oczy ślady akcentów antypapieskich. Czego oko nie zobaczyło, tego rozum bez żadnego trudu się domyślał. Epoka tolerancji wprawdzie wkrótce się skończy, ale jeszcze sprawia, że nie dostrzega się wydrapań w klockach. Gdy nadejdą czasy Stefana Batorego, nie mówiąc już o panowaniu Zygmunta III, fala protestantyzmu zacznie opadać²⁶ i wówczas klocków inspirowanych przez doktora Lutra nikt już nie będzie wyciągał z pudła.

Wróćmy do Biblii Scharffenbergerów (Jana Leopoldy). W dwóch jej następnych wydaniach, z lat 1575 i 1577, pojawiły się zmiany w ilustracjach. Wiele klocków z drukarni Luffta zastąpiono bardzo dobrymi kopiami drzeworytów Josta Ammana, które zdobiły frankfurckie wydanie Biblii z 1564 roku. Wydrukowano także drzeworyty Mistrza M.S., których zabrakło w wydaniu niemieckim z 1561 roku²⁷.

Tymczasem w Wittenberdze, w drukarni Hansa Luffta przypomniano sobie o pierwszych klockach. Lufft postanowił ponowić w wydaniu Biblii przygotowywanej na rok 1574 pierwotne ilustracje. Klocki jednak w tym czasie były w Krakowie. Posłużył się więc doskonale wykonanymi replikami pierwotnych klocków. Niektóre z nich mają sygnatury CE i JC oraz daty wykonania – 1557, 1559 i 1561²⁸. Jak pisała Ewa Chojecka, niewątpliwie drukarz wittenberski zdecydował, że zastosuje ten sam rodzaj ilustracji, który już zyskał uznanie, tak że można było nie obawiać się ryzyka²⁹.

Co jednakże działo się z klockami z Biblii wittenberskiej, znajdującymi się w Krakowie? W roku 1565 bracia Scharffenbergerowie rozdzielają się. Mikołaj Scharffenberger przenosi się do własnego domu przy ulicy Grodzkiej i tam zakłada drukarnię. Najprawdopodobniej przechowuje w niej

²⁶ J. Tazbir, *Reformacja w Polsce*, Warszawa 1993, s. 235 i n.

²⁷ E. Chojecka, *Deutsche Bibelserien...* *op.cit.*, s. 13.

²⁸ Tamże.

²⁹ Tamże, s. 13–14.

także klocki, sądząc po jego osobistym udziale w wydawaniu tłumaczenia Leopolity. Po śmierci Mikołaja w 1606 roku oficynę prowadzi syn Jan, ale interes idzie źle, skutkiem czego musi on w 1616 roku sprzedać drukarnię, z całym wyposażeniem, Franciszkowi Cezaremu. W ten sposób klocki, ongiś własność Hansa Luffta, znowu zmieniają właściciela.

W rękach rodziny Cezarych drukarnia pozostawała aż do roku 1731. Najpierw znajdowała się przy ulicy Grodzkiej, tam, gdzie ją dawniej prowadził Mikołaj Scharffenberger, potem umieszczono ją w kamienicy przy ulicy św. Anny, naprzeciwko Collegium Maius, głównego gmachu Akademii Krakowskiej. W roku 1731 od rodziny Cezarych drukarnię odkupił Marcin Walczyński, profesor Akademii Krakowskiej, po czym w 1734 roku podarował ją Akademii³⁰. Tak więc właścicielem klocków stała się uczelnia, zwana wówczas Akademią Krakowską, a od roku 1818 Uniwersytetem Jagiellońskim. Jeszcze od czasu do czasu, w niektórych drukarniach, Drukarnia Akademicka wykorzystywała stare klocki, ale były to już wypadki sporadyczne.

W roku 1783, w ramach oświeceniowej reformy uniwersytetu, połączono wszystkie drukarnie uniwersyteckie; oprócz dawnej drukarni Cezarych uczelnia posiadała jeszcze dwie inne. Klocki jednak (wszystkich razem pochodzących z różnych drukarni zebrało się tymczasem ponad dwa tysiące) przekazano do biblioteki Szkoły Głównej Koronnej – tak się nazywał wówczas uniwersytet – której siedzibą było Collegium Maius. Tam też leżały nie ruszane przez nikogo aż do roku 1837. Wówczas to Józef Muczkowski, nowy dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej, zainteresował się nimi bliżej. Polecił je uporządkować (wszystkich zachowanych klocków było 2816) i wykonać po 20 odbitek każdego z nich. Trzy lata później, w 1840 roku, Ludwik Kosicki, dyrektor Szkoły Technicznej

³⁰ J. Dobrzyniecka, *Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego 1674–1783*, Zeszyty Naukowe UJ, z. CCCCV, s. 53.

w Krakowie, ogłosił drukiem pierwszy katalog klocków. Był on niestety niekompletny, zawierał tylko 1251 odbitek³¹.

Wkrótce jednak sam Muczkowski opracował pełny katalog wszystkich klocków drzeworytniczych znajdujących się w Bibliotece³². Katalog ten, grupujący klocki nie według tematów, a dzieł, które ilustrowały, został wydrukowany w 1849 roku w Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, mieszczącej się wówczas w budynku dawnego klasztoru Norbertanów przy ulicy Wiślniej³³. Dokładnie *vis á vis* Pałacu Arcybiskupiego. Prawie cały nakład pozostał w drukarni aż do lata 1850 roku. Na szczęście klocki wróciły z powrotem do Collegium Maius.

18 lipca 1850 roku wybuchł największy chyba pożar w dziejach Krakowa. Większość domów była kryta gontem lub strzechą, upał od dawna był wielki, a wiatr od przedmieścia Garbary, gdzie zapaliły się młyny, silnie wiał w kierunku Krakowa. Niósł rozpalone żagwie nad Plantami. Najpierw zapalił się dom na ulicy Gołębiej i potem zaraz sąsiednie, a wśród nich drukarnia uniwersytecka przy ulicy Wiślniej. W pożarze przepadło wszystko, co znajdowało się w drukarni, a więc także prawie cały nakład katalogu Muczkowskiego. Walerian Kalinka, naoczny świadek pożaru, zapisał wówczas, że spaliła się „nowa, zupełna, a nader pracowicie ułożona edycja drzeworytów uniwersyteckich odbita jedynie w 115 egzemplarzach”³⁴. Ocalały zaledwie cztery egzemplarze, które już wcześniej zdążyły opuścić drukarnię³⁵. Zaraz po budynku, w którym była drukarnia, pożar pochłoniął następne. Spaliło się 160 domów³⁶, w zgliszczach znalazła się prawie jedna trzecia miasta.

³¹ L. Kosicki, *Odbicie drzeworytów do najpiękniejszych prawnic i najcenniejszych dzieł polskich w XVI wieku wydanych*, Kraków 1840.

³² J. Muczkowski, *op.cit.*

³³ H. Barycz, *Alma Mater Jagiellonica w latach po 1800*, Kraków 1958, s. 179.

³⁴ W. Kalinka, *Historja pożaru miasta Krakowa*, Kraków 1850, s. 61.

³⁵ Rkps nr 75 w Bibliotece Jagiellońskiej, Przybytki (list J. Bukowskiego).

³⁶ J. Bieniarzówna, J. Małecki, *Dzieje Krakowa*, t. 3: *Kraków w latach 1796–1918*, Kraków 1979, s. 196.

Collegium Maius ocalało. Uratowali je studenci i profesorowie, którzy bez przerwy polewali dach wodą i zrzucali z niego kawałki płonących drewnien niesionych prądem rozpalonego powietrza. Ocalała więc bezcenna Biblioteka i los oszczędził wszystkie klocki. Przechowywane w pakach zabierały miejsce książkom w przeładowanej już Bibliotece. Przeszkadzały tym bardziej, że nadal trwała przebudowa Collegium Maius, która zakończyła się ostatecznie dopiero 20 lat po wielkim pożarze Krakowa.

Przeniesiono więc klocki do odbudowanej drukarni, a pod koniec XIX wieku do nowego gmachu drukarni przy ulicy Czapskich. Tam znajdowały się aż do drugiej wojny światowej.

W marcu 1939 roku Jan Bukowski, artysta-malarz i grafik, ściśle związany z Drukarnią Uniwersytetu Jagiellońskiego, próbował doprowadzić do ponownego wydrukowania odbitek całego zespołu klocków. W liście do Zenona Klemensiewicza artysta pisał: „(...) te drzeworyty dzisiaj w bardzo ograniczonej liczbie i niewielu osobom są znane, ponieważ sporządzony przed 90 laty inwentarz drukowany w kilkunastu czy 20 egzemplarzach ostał się tylko w czterech. Dwa w Bibl. Jag. I dwa w Drukarni uniw. Są to zatem dosłownie unikaty. Czas najwyższy, aby z tych drzeworytów zrobić wydawnictwo”³⁷. Prawem paradoksu stało się jednak bardzo dobrze, że nikt nie zrealizował projektu Bukowskiego.

Podczas okupacji, z chwilą gdy władze niemieckie zaczęły rabować Uniwersytet Jagielloński, inżynier Eugeniusz Tor, dyrektor Muzeum Techniczno-Przemysłowego w Krakowie, zdołał wynieść klocki z drukarni i schować w Muzeum³⁸. Hitlerowcy nie wpadli na ich ślad. Kto wie, czy nie przyczynił się do tego szczęśliwy traf, patrząc z tego punktu widzenia, że prawie cały nakład katalogu Muczkowskiego spalił się

³⁷ Tamże.

³⁸ Relacja ustna K. Estreichera jun. przekazana piszącemu te słowa.

w 1850 roku. Nikt nie wpadł na pomysł napisania rozprawy doktorskiej na ich temat, nikt nie opublikował ani słowa o spuściźnie Lutra w Krakowie. Ani jedno z niemieckich opracowań przed rokiem 1939, poświęconych ilustrowaniu dzieł Lutra, nie wspomina, że klocki znajdują się w tym mieście. Fakt ten badaczom niemieckim był zatem nieznan. W przeciwnym wypadku mogłyby one podzielić los wielu dzieł sztuki zrabowanych przez okupantów w czasie wojny i przepadłyby, być może, na zawsze. Prawdopodobieństwo takie było szczególnie duże właśnie tam, gdzie chodziło o dzieła pochodzące z rąk artystów niemieckich. Tych Niemcy szczególnie gorliwie poszukiwali od pierwszych dni okupacji, o czym najlepiej świadczą opisane już poczynania Mühlmanna i innych.

Klockom jednak nie dane było spokojnie dotrzeć do końca wojny w Muzeum Techniczno-Przemysłowym. Okupant zlikwidował Muzeum i rozproszył zbiory po Krakowie. Podobno klocki ktoś przewiózł do Biblioteki Jagiellońskiej, mieszczącej się od 1940 roku już w nowym gmachu. Stamtąd, w latach 1946–1947, ktoś inny zawiózł je do Collegium Maius, do organizowanego w tym czasie Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie od tego momentu stanowią ważną część jego zbiorów. Tym „kimś innym” był prawie z pewnością Karol Estreicher junior, który ścigał w tym czasie do Collegium z całego Krakowa przyszłe muzealia.

Na zakończenie policzmy jeszcze raz klocki doktora Marcina Lutra z drukarni Luffta, przechowywane dzisiaj przez Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zachowało się ich tam 113. Wśród nich:

- 107 klocków wykonanych przez Mistrza M.S. (numery katalogu Muczkowskiego – 1, 3–79, 80–107, 277, 278 i 813). Brak więc 10 klocków³⁹;

³⁹ E. Chojecka, *Deutsche Bibelverien...*, op.cit., s. 14.

- 2 klocki z sygnaturą S₅^P (numery 60 i 61);
- 4 klocki wykonane przez drzeworytnika używającego inicjałów H.B. z głową gryfa (numery 180–183).

W XVI wieku dojechało zatem do drukarni Scharffenbergerów nie 113 klocków, ale co najmniej 123 klocki, znajdujące się kiedyś w drukarni Luffta. Z tego zespołu przepadło w ciągu prawie 450 lat tylko 12,5%, co w zestawieniu ze stratami dóbr kultury Polski w tym okresie uznać trzeba za niezwykle szczęśliwe zdarzenie losu.

Postulat zaś Jana Bukowskiego został zrealizowany dopiero w 1985 roku, dzięki reprintowi katalogu Muczkowskiego w liczbie współcześnie niebywalej, bo aż 1250 egzemplarzy⁴⁰.

⁴⁰ Wydawca: Krajowa Agencja Wydawnicza, Oddział w Krakowie 1985.

NA
TROPACH
DOKTORA
FAUSTA





VASA D'AMORE, MAJOLIKA. TOSKANIA,
2. POŁ. XV W., MUZEUM UJ



aza jest pękata, nieco przysadzista. Kształtem podobna do kuli wyrastającej z podstawy. Z obu jej boków – ogromne ucha. Ostro rysowane, smoczodiabelskie, zbyt wielkie w stosunku do całości. Dziwne, jakby odjęte głowie jakiegoś monstrum. Autentyczne zresztą jest tylko jedno. Drugie ktoś kiedyś utracił. Potem ktoś inny je dorobił, ale nieudolnie, prymitywnie, ot byle jak. Jeszcze ktoś inny po latach, w roku 1987, ponownie je zrekonstruował. Tym razem przyzwoicie, zgodnie z wszelkimi zasadami współczesnej a neoromantycznej sztuki konserwatorskiej, dzięki której nikt nie ma prawa dowiedzieć się, co jest autentycznym, a co tylko go udaje.

Na brzuścu wazy uderzający banalnością liryki rysunek: serce, przez które przewija się szeroka wstęga i na niej lacińską minuskułą napis *Margarita*. Na odwrotnej zaś stronie łatwo można odczytać: *memento mei – Pamiętaj o mnie*¹.

Dobrych kilka lat temu pokazywałem Collegium Maius jednemu z wielu gości zagranicznych Uniwersytetu. Gdy doszliśmy do tak zwanego Drugiego Skarbca, zatrzymał się przed szafką, potem z wyrazem niedowierzania na twarzy odstąpił o krok, jeszcze raz podszedł, znowu dokładnie obejrzał wazę, pokręcił głową i w końcu wyksztusił – ależ to przedmiot związany z Faustem! Niech pan patrzy, niešťczęna Małgorzata błaga, ofiarując miłość, aby Faust jej

¹ MUJ nr 668/1652/IV.

nie zapomniał. Niesamowity zaś kształt wazy, jej posępne kolory, te okropne smocze ucha, to nic innego jak wspomnienie Mefistofelesa, tego diabła nad diabły, który pomógł Faustowi doprowadzić ją do zguby!

Rzeczywiście uderzające zbieżności. Miłe sercu każdego muzealnika. Przyklejona do zabytku historia, wiążąca go z kimś znanym lub z głośnym wydarzeniem, „rozbłyszcza” przedmiot w muzeum, zwraca nań uwagę, poddaje go swoistej antropologizacji. Unosi on historię, sprawia, że zbliża się na dotknięcie ręki.

Niestety, zbieżności są tylko pozorne. Waza nie ma nic wspólnego z Faustem, choć niewątpliwie sporo łączy ją z Małgorzatą, ale zupełnie inną, nieznaną dziewczyną w Toskanii, żyjącą w XV stuleciu. Styl wazy i technika jej wykonania świadczą bowiem, że jest to okaz majoliki, który powstał w drugiej połowie XV wieku w Toskanii. Może we Florencji albo w Faenzie, a może i w Derucie²?

Była to tak zwana *vasa d'amore*, waza miłości, prezent zaręczynowy dla owej Małgorzaty. Na podobnych jej majolikowych naczyniach wypisywane były imiona dziewcząt, nie zawsze czekających na dowód uczucia, mimo że rodzice już ugodzili się co do przyszłego małżeństwa. A poza tym dopiero w 1774 roku Goethe zwiąże imię Małgorzaty z Faustem w słynnym *Przefauście*, czyli pierwszej wersji *Fausta*, której duże fragmenty odczyta w kręgu przyjaciół³, czyli 300 lat po wyjęciu wazy z pieca ceramicznego. Małgorzata, Margarethe wyłoni się zaś z druku znacznie później, gdy pierwsze zbiorowe wydanie Goethego zawierać będzie utwór *Faust. Ein Fragment*, owoc ponownego zainteresowania wizją Fausta. Jeszcze daleki od słynnego *Fausta*, tragedii

² Por. S. Turczyński, *Włoskie majoliki quattrecento w krakowskich zbiorach*, Prace KHS, Kraków 1917, t. I (X), s. 115; B. Zboińska-Daszyńska, *Majoliki włoskie w zbiorach Czartoryskich w Krakowie*, Kraków 1952; G. Liveroci, *La maiolica italiana*, Milano 1958; G. Conti, *L'arte della maiolica in Italia*, Bramante Editrice 1980, poz. 66 i poz. 81.

³ E.M. Butter, *The Fortunes of Faust*, Cambridge University Press 1979, s. 245.

w dwóch częściach, ostatecznie ukończonego przez Goethego tuż przed jego śmiercią w 1832 roku. Na deskach sceny teatralnej zabrzmiało imię Małgorzaty także dopiero w czasach Goethego, w roku 1829. Wówczas to Karl von Holtei, aktor, dramaturg i dyrektor teatralny wystawił w Königsstädtes Theater w Berlinie swój dramat – osnuty na wątkach prafaustowskich – *Doctor Johannes Faust*, w którym wystąpi przed publicznością Goethowska Margerita, a więc Małgorzata po naszymu. Dramat ukaże się drukiem jeszcze później, za trzy lata, w Wiesbaden⁴.

Ze skojarzeń, poza śladem w pamięci, nic zatem nie pozostało. Były one jednak wystarczającym impulsem do wywołania pytania, które jakakolwiek znajomość Odrodzenia, dziejów Krakowa i jego Akademii stale czyni aktualnym. Czy słynny doktor Faust dotarł kiedyś do Krakowa? Jeśli tak, to czy pojawił się na uczelni? Jak długo tam przebywał? Studiował, wykładał czy też ledwie otarł się o Kraków?

Te wszystkie pytania piętrzą się wokół człowieka, który nie był tylko wymysłem literatury. Żył nie tylko na kartach dramatów Marlowe’a, Lessinga, Goethego. Nie ma sensu kusić się na wyliczanie innych dzieł, aż po twórczość Tomasa Manna. Zrobili już to inni. Powstała nawet kilkutomowa bibliografia utworów, w których pojawia się wątek historii Fausta⁵.



Fausta literackiego zrodził życiorys Fausta autentycznego, człowieka, który żył na przełomie XV i XVI wieku w południowych Niemczech, na obszarze dość niewielkim. Rozciągał się on pomiędzy Erfurtem na północy, małym miasteczkiem

⁴ K. von Holtei, *Doctor Johannes Faust*, Wiesbaden 1832.

⁵ Taką pracą jest np. trzyczęściowa *Faust – Bibliographie*. Bearb. von Hans Hennig, Berlin-Weimar 1966–1976 – druga część opracowania ma 3 tomy.

Staufen w Bryzgowii na południu, tuż przy Szwajcarii, Ingolstadt na wschodzie i mięściną Kreuznach na zachodzie⁶.

Poza tym, że żył w tamtych latach, że przenosił się nieustannie z miejsca na miejsce i nigdzie go nie zagrzewał, że trudnił się magią, wszystko inne jest niepewne, tonie w domysłach, przypuszczeniach, sprzecznych z sobą teoriach i hipotezach, a nawet całkiem pospolitych zmyśleniach.

Zostawmy na razie to, co zasnuwa mgła wątplych dociekań. Poprzestańmy tylko na faktach stwierdzonych przez ludzi współczesnych Faustowi, na dowodach zwanych przez prawników pierwotnymi, czyli takimi, które pochodzą bez żadnych pośredników wprost od ludzi stykających się z opisywanymi zdarzeniami⁷. Są to relacje kilku zaledwie osób i bardzo nieliczne dokumenty. Ryzyko zniekształceń, przekłamań jest tu mniejsze niż przy dowodach pochodzących od ludzi, którzy coś zasłyszeli od innych.

Najwcześniejszą z bezpośrednich relacji jest list sławnego w owych czasach Johanna Tritheima, bardziej znanego jako Trithemius, opata klasztoru w Sponheim koło Kreuznach, na południu Niemiec, żyjącego w latach 1462–1516. Trithemius, humanista, autor prac historycznych i fantastyczno-historycznych, interesował się także magią, czego dowodem jest jego praca *Antipalus maleficiorum*. List Trithemiusa napisany 20 sierpnia 1517 roku do Jana Virdunga w Hasfurcie, matematyka i astrologa, wystawia Faustowi fatalną opinię:

„Człowiek ów, o którym mi piszesz, Georg Sabellicus, który waży nazwać się księciem nekromantów, jest obieżyświatem, oszustem i zwykłym gadułą godnym wychłostania,

⁶ G. Mahal wydrukował nawet mapę z zaznaczeniem wszystkich miejscowości, w których Faust przebywał lub w których mógł się pojawić (*Die Spuren eines geheimnisvollen Lebens*, Bern-München 1980, s. 218).

⁷ Ten sposób krytyki tekstu źródłowego w dziedzinie „faustologii”, czyli historiografii poświęconej Faustowi, po raz pierwszy i chyba jak do tej pory jedyny zastosował F. Bacon (*Doctor Faustus from History to Legend*, München 1978, s. 7 i n.).

aby dłużej nie odważał się głosić publicznie rzeczy budzących odrazę lub wrogich świętemu Kościołowi.

Czymże bowiem innym są tytuły, które sobie przypisuje, jak nie stwierdzeniem głupoty i bezmyślności dowodzącej, że nie jest on żadnym filozofem, lecz błaznem. Przyznał sobie podobający się mu tytuł: Magister Georg Sabellicus, Faustus młodszy, Źródło nekromantów, Astrolog, Drugi mag świata, Chiromanta, Aeromanta, Pyromanta, Drugi Hydromanta świata.

Zauważ głupią pustotę tego człowieka, cóż za głupota nazywać się «Źródłem nekromancji». Kto bowiem nie jest na-

Homo ille de

*quo mihi scripsisti georgius sabellicus qui se prince
nekromanticorum ausus est nominare. gyronagus
battologus et rirturellio est: dignus qui uerboribus
rustigetur: ne temere deinceps tam nephanda et esse
sancte contraria publice audeat profiteri. Quid em
sunt aliud tituli quos sibi assumit: nisi stultissime
ac uesane mentis indicia: quibus se futurum non phm
ostendit. Sic enim titulum sibi conuenienter formauit:
Magister georgius sabellicus faustus iunior. fontis necro
manticorum. astrologus. magus secundus chyromanti
cus aeromanticus pyromanticus in hydra arte scindg.
Vide stultam hominis temeritatem quanta ferat: insana
ut se fontem nekromantie profiteri presumat: qui ve
re anim bonarum trarum ignarus falsum se porus
appellare debuisset qm mgrim. Sed me non laet eiq
nequitia. Cum anno priore de marchia brandenbur
gensi redirem hunc ipm hominem apud zeilenhusen
oppidum inueni de quo mihi plura dicebant in hospiti
o siue: non sine magna eius temeritate ab eo qm
Qui mox ut me adesse audivit fugit de hospicio: et a
nullo poterat persuaderi quod se meis pferendo et
aspectibus. Titulum stulticie sine qualem dedit ad te
quem memorauimus per quendam cinem ad me q
destinauit. Resabant mihi quidam in oppido sacerdotes*

LIST JOHANNA TRITHEIMA (TRITHEMIUSA)

prawdę obeznany ze wszystkimi naukami, winien raczej zwać się błaznem niż magistrem. Lecz mnie jest dobrze znana jego niegodziwość. Gdy przed kilku laty wracałem z Marchii Brandenburskiej, spotkałem tego człowieka w pobliżu miasta Gelnhausen, gdzie opowiedziano mi o wielu jego wybrykach dokonanych z wielkim tupetem. Gdy tylko usłyszał o mojej obecności, uciekł natychmiast z gospody i nikt nie mógł go namówić, aby stanął przede mną. Przypominamy sobie także, że przysłał on nam swe wyżej wymienione głupie tytuły przez jakiegoś człowieka. W pewnym mieście opowiadali mi duchowni, że w obecności wielu ludzi wyznał, iż posiada tak wielką wiedzę i pamięć, że gdyby wszystkie dzieła Platona i Arystotelesa wraz z ich systemami wygasły w ludzkiej pamięci, on jako drugi Hebrajczyk Ezra, dzięki swemu geniuszowi wyda je wszystkie wspanialsze niż przedtem. Gdy później znalazłem się w Spirze, przybył on do Würzburgu i z równą głupotą w obecności wielu ludzi twierdził, że cuda naszego Zbawiciela Chrystusa nie są godne uwagi. Chwalił się, że wszystko, co czynił Chrystus, może czynić tak często, jak tylko zechce. W okresie postu tego roku przybył do Kreuznach, gdzie chwalił się w ten sam sposób, że jest najlepszym z alchemików, jacy dotąd byli i że może dokonać wszystkiego, czego ludzie sobie życzą. W tym czasie w wymienionym mieście było wolne miejsce nauczyciela; to miejsce na wniosek Franciszka z Sickingen, urzędnika twego księcia, człowieka bardzo interesującego się naukami tajemnymi, ofiarowano Faustusowi. Lecz niedługo zaczął on uprawiać z chłopcami hańbiące wszeteczeństwa, a gdy wszystko wydało się, uciekł przed grożącą mu karą. Tyle mogę powiedzieć o człowieku, którego przybycia z taką ciekawością oczekujesz”⁸.

⁸ Tłumaczenie R. Bugaja (*Nauki tajemne w dawnej Polsce – Mistrz Thwardowski*, Ossolineum 1986, s. 77–78). Oryginalny tekst łaciński listu Trithemiusa oraz w pierwotnym brzmieniu teksty wszystkich innych przekazów źródłowych ogłosił G. Witkowski (*Der historische Faust*, „Deutsche Zeitschrift für Geschichtswissenschaft”, Neue Folge 1896/97, Vierteljahreshefte, s. 343 i n.).



GOSPODA W STAUFEN, WIDOK OBECNY

Teraz przez sześć następných lat cisza w przekazach historycznych. Faust pojawia się dopiero 13 października 1513 roku w Erfurcie. Spotyka wówczas w gospodzie humanistę Konrada Mutianusa Rufusa. Píše o tym sam Rufus. Ponowna przerwa. Faust wylania się tym razem w Bambergu w 1520 roku. Otrzymuje wtedy 10 guldenów za horoskop dla Jerzego III, tamtejszego biskupa, o czym świadczy zapis w księgach rachunkowych biskupstwa. Kolejna luka w życiorysie Fausta ciągnie się aż do roku 1528, kiedy to przeor Kilian Leib w Rebdorf odnotowuje, że Faust sporządził prognostyk astrologiczny 5 czerwca tego roku. W tym samym roku, 10 dni później, rada miejska w Ingolstadt nakazuje mu opuścić miasto. Próbuje wówczas wjechać w mury Norymbergi. Bezskutecznie. Rada miejska nie wpuszcza go do miasta, gdyż jest sodomitą i nekromantą. Takie motywy decyzji zapisano w aktach miejskich.

Jeszcze tylko dwa pewne fakty. W roku 1534 Faust sporządza prognozę dla ekspedycji Filipa von Huttena do Ameryki Południowej, który w następnym roku został generalnym kapitanem Wenezueli. Nikt się nie dowie, jaki był prognostyk, czy Faust przewidział, że von Hutten zginie tam w 1546 roku z ręki zawistnego Europejczyka. Za złe wróżby na ogół jednak się nie płaci. Wiadomość o przepowiedni Fausta pochodzi z listu pisanego przez samego Filipa von Huttena, który wspomina, że ktoś w tej sprawie kontaktował się osobiście z Faustem.

W roku 1536 znajdujemy ślady pobytu Fausta znowu w Würzburgu. Joachim Camerarius, zaprzyjaźniony z Filipem Melanchtonem, już w tym czasie słynnym teologiem, współtwórcą protestantyzmu, pisze 13 sierpnia tego roku list do rajcy wüzburgskiego Daniela Stibara, prosząc o informację, jaki Faust przewiduje rezultat konfliktu cesarza Karola V z Franciszkiem I, królem Francji. W tym czasie Faust przebywał właśnie w Würzburgu. Autor listu był, w przeciwieństwie do innych, jak najlepszego zdania o Fauście, a w adresacie upatrywał nawet jego przyjaciela.

Ostatnia wiadomość pochodzi z 8 stycznia 1539 roku i zaliczyć można ją tylko do prawdopodobnych. Doktor Filip Begardi wspomina Fausta w przedmowie do swojej książki *Index Sanitatis*, dając do zrozumienia, że na szczęście nie ma go już wśród żyjących.

Umrzeć miał w Staufen, małej do dziś miejscinie w Bryzgowii, niedaleko Fryburga, na skraju południowych Niemiec. Tak głosi zapis w „Kronice Zimmerskiej”, pochodzący z lat 1564–1566, z którego wynika, że Faust rozstał się z życiem w 1541 roku. Nie przed 1539 rokiem, jak pisał Begardi, ale dwa lata później. Gdzie zatem prawda? Kronikę spisano na bieżąco, więcej zatem przemawia za jej akuratnością. Skąd jednak wziął Begardi wiadomość o śmierci Fausta? Tego już nikt się nie dowie. Z kolei opis okoliczności

śmierci Fausta, jaki znajduje się w „Kronice Zimmerskiej”, w pewnej mierze zgadza się z tym, co pisał pastor Johann Gast w 1548 roku.

Faustowi miał bowiem diabeł kark skręcić i do dziś pokazuje się turystom położoną przy ryneczku w Staufen gospodę, w której szatan w tak okrutny sposób zabrał mu duszę. Wierzyć nie trzeba, ale wysłuchać opowieści na miejscu, wypić dobre wino, jedyne liczące się czerwone wino w Niemczech z pobliskiego Kaiserstuhl, i obejrzeć gospodę, a w niej pokój pana Fausta – zawsze można.

Poszukiwano śladów materialnych, przedmiotów, które przeszły przez ręce Fausta, niewątpliwie po to, aby wzmocnić poczucie autentyczności egzystencji tego człowieka. Kilkanaście lat temu Leif Geiges, miłośnik historii Bryzgowii, rozpisывał się o znalezieniu na strychu jednego z domów w Staufen tzw. klocka, księgi składającej się z kilku pomniejszych, zawierającego między innymi szesnastowieczny astrologiczny traktat *Quadrans Apiani*. Sugerował, że należał chyba do Fausta i że być może ostał się w Staufen po tragicznej śmierci właściciela⁹. Nie znaleziono jednak na klocku żadnych znaków własnościowych, które mogłyby wskazywać na Fausta.

Nie ma żadnych wątpliwości, że już za życia Faust był znaną postacią w Niemczech. Ocierał się o ludzi ważnych w tym kraju, którzy w dodatku pisywali do siebie. Musiały zatem pozostać o nim relacje wiążące się z tymi osobami.

Swymi przechwałkami, bezczelnym nadawaniem sobie przeróżnych, a kuriozalnych dla współczesnych czytelników tytułów i określeń, przypisywaniem sobie zasług, zalet i godności starał się zwrócić na siebie uwagę. Była to reklama tamtych czasów, kierowana do ludzi z myślą, że powściągliwość ludzi pokroju Trithemiusa nie jest powszechna. Skutek często był odwrotny. Faust ściągał na swoją głowę wyzwiska, obelgi

⁹ L. Geiges, *Faust's Tod in Staufen. Sage-Dokumente*, Freiburg i.Br. 1978 (?), s. 30–32.

i posądzenia nawet o pedofilię oraz sodomie, nie mówiąc już o przypisywaniu mu konszachtów z diabłem. To Luter w czasie słynnych „rozmów przy stole” określił go jako czarno-księżnika sprzymierzonego z diabłem¹⁰. Taka opinia człowieka, którego każde słowo liczyło się nie tylko w Niemczech, musiała się znacznie przyczynić do powstania legendy.

Faust próbował zawsze przedstawiać siebie w lepszym świetle; rzadko jednak to pomagało. Krążył więc i krążył po Niemczech, za groszem, bezdomny, gnany z miejsca na miejsce przez ludzi i własną osobowość. Musiał sporo umieć, jeżeli na przykład chwalił się znajomością dzieł Platona, właśnie zyskującego popularność w kręgach akademickich, jeśli mimo niemalże powszechnej niechęci zarabiał na życie horoskopami. Astrologii zaś nauczano na uniwersytetach – niewiedza Fausta szybko zostałaby więc zdemaskowana.

Jego tragizm to znalezienie się na przecięciu dwóch epok: schyłku średniowiecza – z wiarą jeszcze w czarną magię – i początku Odrodzenia, w którym katolicyzm wspólnie z reformacją, odrzucając magię, zatrzaskiwały zarazem drzwi przed myśleniem naukowym.

Przypisywano mu kiedyś autorstwo dzieła *Höllenzwang, Piekielne zmuszanie* (księgi pełnej magicznych zaklęć, będącej w istocie rzeczy jakby podręcznikiem czarnej magii). Dziś już żaden z badaczy nie upatruje w Fauście jej autora. Chyba poza jednym jedynym Ryszardem Bugajem¹¹, który nie zwrócił uwagi, że książka ta ma zapożyczenia od takich autorów jak Johannes Wierus, który publikował swe prace po śmierci Fausta...¹²

Powszechnie znany jest miedzioryt podobno przedstawiający Fausta. Niektórzy, jak na przykład Ryszard Bugaj¹³, całkiem

¹⁰ G. Witkowski, *op.cit.*, s. 346.

¹¹ R. Bugaj, *Nauki tajemne w dawnej Polsce...*, *op.cit.*, s. 81–84.

¹² Tamże, s. 81.

¹³ Tamże, s. 79.



RZEKOMY PORTRET FAUSTA,
MIEDZIORYT WG PORTRETU OJCA REMBRANDTA,
XVII W.

na serio opublikowali ów portret mężczyzny z rzadkimi włosami, wąsami, pelerynką i wąską kryzą. Prawda zaś jest taka, że wszystkie warianty tego portretu są wersjami nie mniej nie więcej tylko portretu... ojca Rembrandta, znajdującego się w Ferdinandeum w Innsbrucku. Kopię graficzną tego portretu wykonał Joris van Vliet w 1633 roku i jej odbitki w pewnym momencie pojawiły się w handlu jako wizerunki Fausta. Jedną z wersji tej podobizny wykonał François Langlois, po czym opatrzył ją podpisem „Doctor Faustus”¹⁴. Powstała więc jeszcze jedna zasadzka czekająca na historyków.

¹⁴ F. Neubert, *Vom Doctor Faustus zu Goethes Faust*, Leipzig 1932, tabl. 2.



Kariere historyczną zapewnił Faustowi chyba jeden z największych bestsellerów wydawniczych drugiej połowy XVI stulecia. W roku 1587 Johann Spiess, drukarz z Frankfurtu nad Menem, wypuścił z druku niewielką książeczkę pt. *Historia doktora Jana Fausta, szeroko okrzyczanego czarnoksiężnika i maga*. Napisał ją nieznaną teolog protestancki, traktując ją jako jeszcze jedno narzędzie do walki z katolicyzmem. Autor chciał ostrzec czytelników, na przykładzie katolickiego czarnoksiężnika Jana Fausta, przed grożącą im karą wiecznego potępienia, która spadnie na nieszczęsnych tkwiących w wierze katolickiej, uprawiających magię za sprawą diabła i oddającym się czczym mrzonkom o poznaniu świata¹⁵.

Historia... od pierwszej chwili miała niebywałe powodzenie. Pierwsze wydanie, sprzedawane na jarmarkach, wykupiono natychmiast¹⁶. Jeszcze w tym samym roku Spiess wydrukował co najmniej dwa następne, choć nie całkiem identyczne z pierwszym. Do końca 1588 roku ukazało się aż siedem dalszych, z coraz większymi różnicami w tekście¹⁷. Wkrótce pojawiają się dwa tłumaczenia angielskie, z których jedno staje się podstawą dramatu Christophera Marlowe'a *Tragical History of D. Faustus*¹⁸ (1604), potem duńskie, dolnoniemieckie, fran-

¹⁵ Bliżej – H. Henning, *Historia von D. Johann Fausten. Neudruck des Faustbuches von 1587*, Leipzig 1982, s. XXXIII i n.

¹⁶ H. Henning, *op.cit.*, s. LX–LXIII i P. Boerner, *Historia von D. Johan Fausten. Mit einem Nachwort von Peter Boerner*, Wiesbaden 1978, s. 5 i n.

¹⁷ Kolejność tych wydań oraz rozbieżności między nimi ustalali liczni badacze, np. A. Kühne (*Das älteste Faustbuch*, Zerbst 1868, s. VII–XX), pierwszy, który wprowadził do literatury kategoryzację zachowanych najstarszych druków *Historii...*, W. Braune (*Das Volksbuch vom Doctor Faust*, Halle a.S. 1878, s. III–XXI), J. Dumcke (*Die Deutschen Faustbücher Nebst einem Anhang zum Widmanschen Faustbuche*, Leipzig-Reudnitz 1891, s. 9–32), R. Petsch (*Das Volksbuch vom Doctor Faust*, Halle a.S. 1911, s. XLVI–LVI), J. Fritz (*Das Volksbuch vom Doktor Faust*, Halle a.S. 1914, s. VI–XLIV), H. Henning (*Historie von D. Johann Fausten. Neudruck des Faustbuches von 1587*, Leipzig 1982, s. LXI–LXIV).



FAUSTBUCH, STRONA TYTUŁOWA
 NAJSTARSZEJ KSIĘGI O FAUSCIE
 WYDANEJ PRZEZ J. SPIESSA
 WE FRANKFURCIE N/MENEM, 1587 R.

cuskie, holenderskie, czeskie w 1611 roku, a więc jeszcze przed bitwą pod Białą Górą.

Krag językowy tłumaczeń jest bardzo charakterystyczny. Tłumaczono i wydawano tę książkę w krajach protestanckich lub też w krajach, w których mniejszość protestancka miała

¹⁸ K. Zimrock był jednak odmiennego zdania. Uważał, że saga o Fauście istniała znacznie wcześniej, przed rokiem 1587. W Anglii ballada o życiu i śmierci doktora Fausta uzyskała prawo druku w 1587 r., a więc wówczas, gdy ukazało się pierwsze wydanie książki drukowanej przez Jana Spiessa. W aktach senatu uniwersytetu w Tybindze, uniwersytetu arcyprotestanckiego, pod datą 18 kwietnia 1587 r. odnotowano, że skazano na karcer dwóch studentów za to, że przerobili traktacik (Träctatälein) o Fauście na komedię (*Faust. Das Volksbuch und das Puppenspiel nebst einem Anhang über den Ursprung der Faustsage*, Frankfurt a.M. 1877, s. 225–226). Traktacikiem tym nie mogła być *Historia...*, która ukazała się na rynku dopiero jesienią 1587 r.; mógł być nim natomiast fragment książki J. Wierusa, o której dalej dokładniej.

zagwarantowane prawa wyznaniowe albo w których układ sił politycznych chronił aspiracje protestantów. W bibliografii Estreichera nie ma natomiast żadnej wzmianki o polskim tłumaczeniu w wiekach XVI i XVII. W Polsce książka o Fauście nie miała większych szans na ukazanie się. Wprawdzie tradycja konfederacji warszawskiej z 1573 roku – jak i poprzedzających ją konstytucji sejmowych z lat 1555 i 1562/65, gwarantujących prawa zwolennikom reformacji – była jeszcze bardzo żywa, ale pamięć o zakończonym właśnie soborze trydenckim i o jego uchwałach była jeszcze świeższa. Kontrreformacja była już w rozstrzygającym ataku.

Polskie wydanie mogłoby się ukazać drukiem najwcześniej w roku 1588 lub 1589. Na tronie, niestety, zasiadał już Zygmunt III, który był gorliwym adherentem kontrreformacji. Tępieno już druki innowiercze niemiłosiernie. Cenzura kościelna zresztą nigdy nie rezygnowała ze swoich prerogatyw. Niczego tu nie zmieniło oddanie w myśl statutu Zygmunta Starego z 1523 roku cenzury także w ręce rektora Akademii Krakowskiej¹⁹. Obok rektora na podstawie edyktu królewskiego z 1535 roku cenzurę sprawowali biskupi, działała również specjalna komisja złożona z dygnitarzy duchownych i kościelnych, która nadzorowała drukarzy i księgarzy²⁰.

Za Zygmunta III druki niekatolickie pojawiały się i utrzymywały na rynku, jeżeli nie miały wyraźnego piętna antykatolickiego²¹, a z biegiem czasu – jeżeli nie stawały się pretekstem do jakiegokolwiek aluzji przeciwko Kościołowi katolickiemu i jego nauce. Książka o Fauście z oczywistych

¹⁹ H. Barycz, *Szkice z dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Biblioteka Krakowska nr 80, Kraków 1933, s. 134 i n.; J. Fijałek, *Początki cenzury staropolskiej w kościele rzymskokatolickim i w Polsce*, w: *Studia staropolskie*, 1928, s. 127–144; J. Dużyk, *Z dziejów cenzury w Krakowie w wiekach XV–XVII*, „Rocznik Biblioteki PAN w Krakowie” 1956, R. 2, s. 38 i n.; J. Keller, *Zakaz i cenzura książek w kościele*, w: *Studia z dziejów Kościoła Katolickiego*, 1960, R. 1, s. 2.

²⁰ B. Szyndler, *Dzieje cenzury w Polsce*, Kraków 1993, s. 19.

²¹ A. Brückner, *Polskie indeksy książek zakazanych*, „Pamiętnik Literacki” 1903, t. 2, s. 64; J. Dużyk, *op.cit.*, s. 38 i n.

powodów do takich nie należała. Ryzyko jej druku w Polsce pod koniec XVI wieku było już zbyt wielkie. Mógłby wprawdzie ktoś twierdzić, że fakt nieodnalezienia do dziś jakiejś książki wcale nie świadczy o tym, że nie została wydana. Po prostu byłby to dowód tylko na to, że jeszcze jej nie znaleziono.

Twierdzenie to jest raczej zawodne, nie ma wiele wspólnego z realiami. Gdyby książka kiedyś istniała, zachowałby się jakiś jej ślad, na przykład w relacji z drugiej ręki, w postaci fragmentu cytowanego przez kogoś. Wymieniałby też ją lub jej autora albo wydawcę wykaz ksiąg zakazanych. *Index librorum prohibitorum*, a w nim *Index autorum et librorum prohibitorum in Polonia editorum* miał trzy wydania. Pierwsze ukazało się w 1603 roku z polecenia biskupa krakowskiego Bernarda Maciejowskiego. Wydrukował je Andrzej Piotrkowczyk w Krakowie. Drugie wydanie zostało wydrukowane w 1604 roku w Zamościu z inicjatywy biskupa Jerzego Zamojskiego, a trzecie – w 1617 roku – ponownie ukazało się nakładem oficyny Andrzeja Piotrkowczyka, w myśl zarządzenia biskupa Marcina Szyszkowskiego. Żaden z tych indeksów ani słowem nie wspomina o *Historii doktora Jana Fausta* – ani w części ogólnej, ani w części dotyczącej tylko druków polskich. Nie miejsce tu na rozpatrywanie przyczyn pominięcia jej w indeksie ogólnym, powszechnym. Brak jej zaś w wykazach zakazanych polskich druków można po części wytłumaczyć tym, że nie było czego zakazywać²².

Pierwsze polskie tłumaczenie ukazało się dopiero w roku... 1875, prawie trzy wieki po pojawieniu się druku Jana Spiessa. Było ono dziełem Józefa Lompy. W kilka lat po nim wydrukowano na Śląsku Cieszyńskim, ziemi protestantów, przeróbki *Historii...* w języku polskim, przeznaczone raczej dla

²² Dlatego tylko po części, bo już A. Brückner stwierdził, że polskie indeksy nie objęły całej zakazanej literatury (*op.cit.*, s. 67).

młodzieży²³. Do mieszkańców północnej Polski, gdzie protestantyzm zapuścił głęboko korzenie i gdzie dostojnicy kościelni inaczej traktowali ludność obcojęzyczną niż polską²⁴, *Historia...* z pewnością trafiała, ale w języku oryginału, w wydaniach pochodzących z Niemiec. Nic dziwnego zatem, że w Gdańsku, w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk, przechowuje się jedno z najstarszych wydań *Historii...*, jeszcze z 1587 roku, pochodzące z drukarni Heinricha Bindera w Hamburgu.



Historia... maluje barwnie i fantastycznie życie doktora Fausta, zmierza do utrzymania umysłów w głębokiej pokorze wobec naturalnego porządku tego świata.

Bohater *Historii...* urodził się w Rodzie koło Weimaru. Studiował teologię w uniwersytecie w Wittenberdze i tam otrzymał tytuł doktora teologii. Nad dociekania teologiczne wkrótce przełożył zabawy w złym towarzystwie. Autor *Historii...* wywodził: „(...) nad to wszystko doktor Faustus znalazł sobie jemu podobnych, którzy przybyli, aby poznać chaldejskie, perskie i greckie słowa, liczby, znaki, zaklęcia, zawołania i podobne do nich formuły zaprzysiężeń oraz czarów”. Sam siebie mianował doktorem medycyny – wyraźnie stwierdza to *Historia...* – stał się astrologiem, matematykiem i oczywiście lekarzem. To mu nie wystarczało. Marzył, aby mieć skrzydła orła i aby dzięki nim każdą piędź ziemi i nieba poznać. Któż mógł mu pomóc w spełnieniu tych marzeń jak nie diabeł? Wzywa więc diabła zaklęciami. Pojawia się on pod postacią mnicha

²³ *Życie, sprawy i wędrówka do piekła doktora Jana Fausta, osławionego czarnoksiężnika, astrologa, astronoma, mistrza magii i humorysty*. Z niemieckiego tłumaczył J. Lompa, W. Pisz, Bochnia 1875; *Doktor Jan Faust słynny czarnoksiężnik i humorysta, jego życie, sprawy i wędrówka do piekła*, Biblioteka Tanich Książeczek dla Ludu i Młodzieży, t. 19, Cieszyn, druk. H. Feitzingera, b.r. [1890]. K. Estreicher sen. wspomina też inne wydania cieszyńskie z drukarni Axmanna w Frysztacie z roku 1888 (*Bibliografia polska*, Kraków 1870–1916).

²⁴ J. Tazbir, *Reformacja w Polsce*, Warszawa 1993, s. 21.



*FAUST I HELENA (MEFISTOFELES PRZYPROWADZA HELENĘ DO FAUSTA),
MIEDZIORYT WG RYSUNKU A. MATHAMA Z OK. 1642 R.*



FAUST I MEFISTOFELES, MIEDZIORYT WG C.V. SICHEMA Z 1600 R.

w szarym habicie. Zaczynają się spotkania z duchami piekieł, coraz częstsze, aż w końcu Faust zgadza się im oddać duszę w zamian za 24 lata spełniania jego wszystkich życzeń. Od tej chwili towarzyszyć i służyć mu będzie Mefostofiles, diabeł – sługa i strażnik kontraktu. Zapewnia Faustowi dostatek i wszelkie uciechy. Biegną lata wypełnione dysputami o świecie i prawach nim rządzących, wędrowkami po nim z opisami miejsc, które widział. Znalazł czas nawet, aby i piekło zwiedzić. Nie zabrakło miejsca też i na kobiety, i na czary. W końcu pojawiają się zwątpienie i skrucha, radość z dotychczasowego życia słabnie. Zbliży się kres 24 lat objętych kontraktem. Gdy Faust biesiaduje z przyjaciółmi w wiejskiej gospodzie w Rimlich, pół mili od Wittenbergi, zjawia się diabeł, pozbawia Fausta życia i zabiera jego duszę.

Klasyczny tekst *Historii...* zawarty w pierwszym wydaniu frankfurckim z 1587 roku w tzw. *editio princeps* tylko raz wspomina Polskę.



WIDOK KRAKOWA OD STRONY PÓLNOCNEJ,
DRZEWORYT W *LIBER CHRONICORUM* H. SCHEDLA, 1496 R.

Fragment opisu jednej z podróży Fausta, w wozie unoszącym się w powietrzu, ciągniętym za sprawą Mefostofile-sa przez dwa smoki tak się przedstawia: „Doktor Faustus o północy jadąc zobaczył jeszcze inne miasto i zniżył się ku niemu, był to Kraków, stolica Polski. Jest tu piękna i uczona szkoła. Miasto to jest siedzibą królewską w Polsce. A otrzymało imię swoje od księcia polskiego zwanego Craco. Miasto to jest otoczone wysokimi wieżami, a także murami i fosami. W niektórych z tych fos pływają ryby. Posiada siedem bram, sporo wielkich, pięknych świątyń, W tamtych okolicach znajduje się także wielka, potężna skała i góra, na którą to doktor Faustus opuścił się, jedna z nich jest tak wysoka, że uważa się, iż niebo podtrzymuje ! Chciał doktor Faustus także i w mieście się rozejrzeć, nie wjechał wszakże do niego, lecz jedynie niespostrzeżony je okrążył”²⁵.

Z przytoczonego fragmentu *Historii...* wynika, że Faust nie zaszczycił Krakowa swoją obecnością. Oglądnął miasto z góry, zatrzymał się przez chwilę chyba na którymś z tatrzańskich szczytów i pomknął w smoczym, powietrznym wozie dalej, w stronę Konstantynopola. Opis zaś Krakowa jest właściwie rzetelny, choć bardzo krótki. Powszechnie przyjmuje się, że wszystkie opisy miast – z wyjątkiem Norymbergi – wzięte zostały ze słynnej kroniki świata Hartmana Schedla²⁶, której pierwsze wydanie łacińskie ukazało się w 1493 roku, a dwa następne, już w języku niemieckim, w latach 1496 i 1500.

Rzeczywiście, porównanie kroniki Schedla z 1496 roku zarówno z tekstem *Historii...*, jak i zachowanym w Bibliotece im. Księcia Augusta w Wolfenbüttel rękopisem *Historii...*, z którego w znakomitej części wywodzi się tekst drukowany

²⁵ Oba fragmenty, przetłumaczone przez autora na język polski, pochodzą z pierwszego wydania *Historii...*, czyli *editio princeps* z 1587 r., przechowywanego w Herzog August Bibliothek w Wolfenbüttel, sygn. 56.3 Ethica.

²⁶ G. Milchsack, *Historia D. Johannis Fausti des Zauberers*, Wolfenbüttel 1892–1897, s. XXV i n.

w 1587 roku²⁷, prowadzić musi do wniosku, że autor *Historii...* skrócił bardzo znacznie obszerny opis Krakowa i zarazem przeniósł do tekstu *Historii...* niemalże dosłownie niektóre zwroty²⁸. Późniejszym wydaniem z roku 1500 nie posługiwał się. Opis Krakowa został bowiem sprowadzony w nim prawie do zera.

W tym samym roku 1587 ukazało się jeszcze inne wydanie *Historii...* Najprawdopodobniej też drukowane przez Spiessa. Zwane tekstem ulmskim, ponieważ jedyny zachowany egzemplarz tego wydania znajduje się w Ulm²⁹. Widoczne są w nim pewne istotne odstępstwa od tekstu pierwotnego, odstępstwa występujące tylko w tej edycji. Tak jakby autor i wydawcy później szybko się z nich wycofali.

Zwrot o poznawaniu zaklęć magicznych, nie mówiący do tej pory, jak i gdzie Faust tę wiedzę zdobywał, o nauce słów chaldejskich i innych, brzmi w edycji ulmskiej zupełnie inaczej: *Er begab sich also gegen Crakow in Polen, an eine der Zauberey wegen vorzeiten berühmte Hochschule, und fand allda seinesgleichen: die gingen um mit chaldäischen, persischen (...)*. Dalsze słowa biegną jak w *editio princeps*.

Zważywszy na poczytność *Historii...*, poszła teraz w świat szeroki wieść, że Faust studiował magię w Krakowie, w tamtejszym słynnym z czarnoksięstwa uniwersytecie. *Historia...* bowiem wyraźnie mówi: „Udał się zatem do Krakowa w Polsce, do słynnej przed laty z czarnoksięstwa akademii i znalazł tamże jemu podobnych, którzy pojawili się

²⁷ Tamże.

²⁸ H. Schedel, *Liber chronicarum (Das buch der chroniken und geschichten...)*, Augsburg 1496, k. 155 b, Herzog August Bibliothek w Wolfenbüttel, sygn. T 354. 2^o Helmst.

²⁹ W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Ulm. Tekst ulmski został opublikowany ponownie przez J. Scheiblego w „Kloster”, Stuttgart 1846, t. 2, s. 933–1072. Tekst ulmski nazywany jest też „edycją B”. Odnacza się ona m.in. wydrukowaną na marginesie, obok informacji „Zy Rod, bey Weinmar bürtig” uwagą „andere schriben von Kundlingen”. Edycję tę wielokrotnie opisywano (W. Braune, *Das Volksbuch vom Doctor Faust*, Halle a.S. 1878, s. XII–XIII; H. Petsch, *Das Volksbuch vom Doctor Faust*, Halle a.S. 1911, s. XLIX; H. Henning, *Beiträge zur Druckgeschichte der Faust- und Wagner-Bücher des 16 und 18 Jahrhunderts*, Weimar 1963, s. 27 oraz tego samego autora *Historia...*, *op.cit.*, s. LXII).

tam, aby poznać chaldejskie, perskie, arabskie i greckie słowa, liczby, znaki, zaklęcia”.

Niektórzy badacze potraktowali wiadomość o tym, że Faust odbywał studia także w Krakowie jako bardzo prawdopodobną. Kazimierz Morawski w monumentalnej historii Uniwersytetu Jagiellońskiego pisał, że w spisach studentów jak dotąd nie znaleziono nazwiska Fausta, ale zostawiał otwarte przypuszczenie, że mógł on studiować w Krakowie³⁰. Wywodził, że: „(...) znamienym jest w każdym razie to, że późniejsi zawsze go do Krakowa na studia prowadzą i twierdzą, iż tu z katedr uniwersyteckich magii publicznie wówczas nauczano”³¹. Karol Estreicher junior zaś wprost powoływał się na ów późniejszy zwrot w *Historii...* jako na koronny argument przemawiający za prawdziwością twierdzenia o pobycie Fausta w Krakowie³². Podobnie dla Ryszarda Bugaja, który w swoim życiu sporo czasu poświęcił dziejom magii w Polsce, passus ten miał znaczenie rozstrzygające³³. Ten sam błąd popełnił także H. Wiemken, wydawca *Historii...* na podstawie tekstu ulmskiego³⁴.

Historia... niewątpliwie jest faktem historycznym, zdarzeniem, które wspólnie z innymi tworzyło epokę, świadectwem ówczesnego widzenia świata w kręgach protestanckich. Nie wolno jej natomiast traktować jako samoistnego źródła wiedzy o faktach w niej opisywanych. Autor z faktami postępował swobodnie, wręcz bezceremonialnie. Mieszał wydarzenia rzeczywiste z fantazją, przekształcał je dowolnie, jeśli było mu to potrzebne do uatrakcyjnienia akcji i zwiększenia dydaktyzmu dzieła. Wiedza o faktach dostarczana przez *Historię...* pochodzi co najmniej z drugiej ręki

³⁰ K. Morawski, *Historia Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Kraków 1900, t. 2, s. 321–322.

³¹ Tamże.

³² K. Estreicher jun., *Collegium Maius, dzieje, obyczaje, zbiory*, Warszawa 1971, s. 92.

³³ R. Bugaj, *Nauki tajemne w Polsce w epoce Odrodzenia*, Ossolineum 1976, s. 69 oraz drugie wydanie, pod zmienionym tytułem: *Nauki tajemne w dawnej Polsce – Mistrz Twardowski*, Ossolineum 1986, s. 80.

³⁴ H. Wiemken, *Doctor Faust Webecklag*, Bremen 1961, s. XIV.

i została odpowiednio spreparowana. Powtarzam, *Historia...* nie jest wiarygodnym źródłem historycznym, wiedzy o faktach w niej opisanych. Niemniej jej faktografii, jeżeli tylko sprowadza się do wydarzeń ziemskich i opisywania świata współczesnego jej autorowi, odrzucać *a limine* także nie można. Zawsze jednak trzeba postawić sobie pytanie – a może inne dowody, inne źródła potwierdzają zawarte w niej stwierdzenia? Brak potwierdzenia musi wszakże nieuchronnie prowadzić do odłożenia tego fragmentu *Historii...* do sfery inwencji literackiej.



Źródeł historycznych, znanych autorowi *Historii...* było wiele. Kto wie, czy nie więcej niż nam dziś dostępnych. Sama wojna trzydziestoletnia spowodowała nie byle jakie spustoszenia w archiwach i bibliotekach. Mimo to sporo z nich ocalało. Szczególnie lata późniejsze, a nawet druga wojna światowa łaskawie obeszły się – w porównaniu z losem polskich bibliotek i archiwów – ze zbiorami niemieckimi. W przeciwieństwie do polskich dóbr kultury niemal wszystkie najznamienitsze księgozbiory i cenne dokumenty zostały przewiezione w latach 1942–1945 w miejsca bezpieczne, gdzie ryzyko bomby lub pożaru było niewielkie. Były one zagrożone i padały pastwą umyślnie wzniesionych pożarów oraz rabunków głównie tam, gdzie wkraczała armia sowiecka. Na tych terenach archiwaliów i starych książek dotyczących losów Fausta w zasadzie nie było. Można więc nadal śledzić losy legendy faustowskiej, biorąc do ręki cymelia i rękopisy, tak jakby studia prowadziło się przed rokiem 1939.

Wiadomość o pobycie Fausta w Krakowie ma pochodzić z ust Filipa Melanchtona, drugiej po Lutrze postaci reformacji w Niemczech. Melanchton sam nie pozostawił żadnego

przekazu pisemnego. W roku 1562 ukazała się natomiast w Bazylei książka Jana Manlius (Mennela) pt. *Locorum communium collectanea*, będąca niczym innym jak zbiorem aforyzmów, przypowieści i anegdot zasłyszanych od Melanchtona podczas jego wykładów na uniwersytecie w Wittenberdze. Znajduje się w niej następujący fragment: „Znałem pewnego człowieka o nazwisku Faustus z Kundling, które jest małym miasteczkiem położonym niedaleko od miejsca mego urodzenia. Gdy był studentem w Krakowie, nauczył się tam magii, która to sztuka jest szczególnie żywo tam uprawiana i gdzie ją publicznie wykładano”³⁵.

Słowa te miał wypowiedzieć Melanchton. Manlius zaś twierdził, że wszystko, co napisał, usłyszał podczas wykładów Melanchtona.

Wszystkie następne relacje o studiach Fausta w Krakowie wywodzą się z opowieści Manlius. Doktor Johannes Wierus (Weier) w słynnej książce zwalczającej wiarę w czarownicę pt. *De praestigis daemonum*, która ukazała się w 1568 roku, a zatem 5 lat po książce Manlius, powtórzył więc informację przekazaną przez niego i odpowiednio ją ozdobił: „Jan Faustus urodzony w miasteczku Kundling, tak się nauczył w Krakowie magii, gdzie ją w owym czasie wykładano publicznie (...)”³⁶.

Obok łacińskich wydań traktatu Johannes Wierusa liczne były wydania w języku niemieckim. W wydaniu z 1586 roku, a więc około 47 lat po śmierci Fausta, a rok przed ukazaniem się *Historii...*, informacja jest nieco bardziej dokładna. Pojawia się w prawie współczesnej już pisowni

³⁵ „Noui quendam nomine Faustum de Kundling, quod est paruum oppidum, patrie meae uicinum. Hic cum esset scholasticus Cracouiensis, ibi fuerunt publicae ejusdem artis professions. Vagabatur passim, dicebat arcane multa” (J. Manlius, *Locorum communium collectanea*, Bazylea 1563, t. 1, s. 43–44).

³⁶ „Joannes Faustus ex Kundling oppidulo oriundus, Cracoviae magiam, ubi olim docebatur palam, didicit...” (J. Wierus, *De praestigis Daemonum*, Frankfurt 1568, t. 2, rozdz. (cap.) 4, s. 142. Wydanie z 1568 r. jest znacznie zmienioną i rozszerzoną wersją książki Wierusa pod podobnym tytułem z lat 1563, 1564 i 1566).

nazwa miasteczka, z którego Faust podobno się wywodził. Można zatem przeczytać: „Gdy przed laty w Krakowie, w Polsce, nauczano i uprawiano w publicznych szkołach czarną magię, przybył tam jeden o imieniu Jan Faustus urodzony w Knüdtlingen. Ten wkrótce tę piękną sztukę tak dobrze pojął, że tuż przed rokiem 1540 ową sztukę wielką zręcznością, licznymi kłamstwami i okropnymi oszustwami od czasu do czasu bez żadnej bojaźni w Niemczech uprawiał”³⁷.

Do 1587 roku, do pierwszego wydania *Historii...*, ukazało się łącznie aż 13 różnych wydań książek Manliususa i Wierusa³⁸. Autor *Historii...* w postaci *editio princeps* nie zwrócił jednak uwagi na te publikacje albo świadomie pominął przekaz o studiach krakowskich Fausta. Trzymał się w tej materii rękopisu przechowywanego w bibliotece w Wolfenbüttel.

Relację Manliususa znalazł także Augustin Lercheimer, z którego pracy o czarach³⁹ z pewnością korzystał autor *Historii...*

Lercheimer mimo że w ślad za Wierusem podał Knüdtlingen jako miejsce urodzenia Fausta, wstrzymał się przed precyzowaniem miejsca jego studiów. W ogóle przemilczał tę kwestię. Tylko na jednej stronie swego uczonego dzieła napisał, że „(...) doszło w końcu do tego, że magię, czyli czarną sztukę, w niektórych uniwersytetach stosowano i jej nauczano”. O jakie uniwersytety chodziło, to już pozostanie tajemnicą Lercheimera. Dopiero w wydaniu z 1597 roku pojawia się zwrot

³⁷ „Als vor zeiten zu Crackaw in Polen die Schwarzkunst inn offentlicher Schullen gelchrt und getrieben worden/ist dahin kommen einer mit namen Joannes Faustus/von Kündtlingen geburtig der hat diese schöne Kunst in kurzem so wol begriffen/dass er hernach kurz zuvor/ehe den man geschrieben tausend fünf hundert und vierzig/dieselbige mitt grosser verwunderung/vielen lügen/und unselighen betrug hin und wieder in Teutschland one Schew zutreiben und offentlichen zu practiciren/angefangen hat” (*Von Teufelgespenst Zauberen und Giffberütern Schwarzkünstlern...*, Nicolaus Bass in Frankfurt a.M., egzemplarz w Herzog August Bibliothek w Wolfenbüttel, sygn. Hr. 4°. 12).

³⁸ K. Engel, *Zusammenstellung der Faust-Schriften vom 16. Jabrbundert bis Mitte 1884.*, Oldenburg 1885, s. 6–9.

³⁹ A. Lercheimer von Steinfeldem (zw. też Wittekindem), *Christlich bedenken und erinnerung von Zauberey*, 1585 (bez m.wyd.), II wydanie – Frankfurt a.M. 1587 (rozdziały: 7, 13, 15, 16 i 19).

studierte die schwarze Kunst auff der hohen schule zu Craco. Wydanie to wykorzystywało już list Trithemiusa, dzieło Wierusa i inne.

Następni informatorzy o pobycie Fausta w Krakowie wiedzę swą czerpali ze wzmianki zawartej w dziele Manlius, a następnie z traktatu Wierusa. Mówiąc inaczej, wszelkie informacje na ten temat pochodzą od jednej osoby, której wiarygodność w tym miejscu zależy od tego, czy potwierdzają ją inne fakty lub dowody. Sam Melanchton nie miał nigdy okazji, aby sprawdzić rzetelność opowiadań Manlius. Zmarł w 1560 roku, przed opublikowaniem książki.

Nawet gdyby Manlius niczego nie dodał i niczego nie przekręcił, daleko byłoby jeszcze do przekonania o prawdziwości jego opowieści. Faust mógł po prostu okłamać Melanchtona. Łatwo sobie wyobrazić następującą sytuację – pewnego dnia w Wittenberdze pojawia się Faust i odwiedza Melanchtona, profesora greki na tamtejszym uniwersytecie, już znakomitość w Niemczech. Powód wizyty dość oczywisty. Chce, aby Melanchton go poznał. Może powtórzy innym jego nazwisko? Może tym sposobem jeszcze inni staną się jego klientami, skoro sam Melanchton z nim się spotykał? Przedstawia się więc uczonemu i opowiada o sobie. Aby zyskać przychylność rozmówcy, mówi, że jest jego krajanem, gdyż urodził się w Knittlingen, niedaleko Bretten, miejsca urodzenia Melanchtona. Miejsce to jest maleńka – sam Melanchton mówi, że to zaledwie miasteczko – taką też pozostała do dzisiaj. Opowiada, że nie tylko studiował magię w Akademii Krakowskiej, ale i ją w Krakowie wykładał. Jest więc człowiekiem wykształconym, partnerem godnym znakomitego Melanchtona. Mógł zatem Faust oba fakty całkiem zwyczajnie zmyślić. Tego zdania był już kiedyś M. Schwenberg⁴⁰, i za nim G. Witkowski⁴¹ i G. Mahal⁴².

⁴⁰ M. Schwenberg, *Das Spiesssche Faustbuch und seine Quelle*, Berlin und Leipzig 1885, s. 43.

⁴¹ G. Witkowski, *op.cit.*, s. 309.

⁴² G. Mahal, *op.cit.*, s. 245.

W samej relacji Manliusu tkwi również coś, co każe powątpiewać w jej sumiennosc. Jak już kiedyś jeden z wybitnych „faustologów” zauważył, dziwnie się składa, iż słynna opowieść ludowa o średniowiecznym Dylu Sowizdrzale, która po raz pierwszy ukazała się w wydaniu książkowym w roku 1515, mówi, iż urodził się on nie mniej nie więcej tylko we wsi Knetlingen, dzisiejszym Kneitlingen⁴³. Uczony ten przypuszczał, że i Faust, i Dyl Sowizdrzał pochodzili z tej samej miejscowości⁴⁴.

Przypuszczenie jednakże ma tylko pozorną podstawę, poza rzeczywiście uderzającym podobieństwem nazw obu miejscowości. Kneitlingen leży bowiem daleko na północy, niedaleko Brunszwiku. Knittlingen natomiast to miejscowość w południowych Niemczech. Wiemy też już, że Faust obracał się tylko na południu, raczej w pobliżu stron rodzinnych. Bardziej prawdopodobna byłaby zatem inna hipoteza. Manlius spisywał po latach to, co usłyszał od Melanchtona. Nie pamiętał dokładnie miejscowości, w której Faust się urodził, wspomnianej przez Melanchtona. Znając zaś sagę o Sowizdrzale, niejako machinalnie sowizdrzałowe Knetlingen włożył w lukę pamięciową. Hipoteza ta ma pozornie słaby punkt. W pierwszych wzmiankach o Fauście Knittlingen nazywano Kundling, Kundlingen, ale już około roku 1585 Lercheimer pisze – Knüdtlingen. Kundling natomiast, w ślad za Manliusem i Wierusem, pojawia się na marginesie wydania *Historiä...* znajdującego się w Ulm⁴⁵. Kto wie jednak, czy ktoś Manliusu nie skorygował, rodząc w ten sposób nazwę Kundling.

Prawdziwe może być coś innego – ogólne określenie

⁴³ K. Zimrock, *op.cit.*, s. 214. Istotnie, w sadze o Sowizdrzale można przeczytać: „Bei dem wald, Melbe genannt, in dem Land zu Sachsen, in dem Dorf Knetlingen, da ward Ulenspiegel geboren” (*Ein Kurtzweilig leu von Dyl Ulenspiegel*, Strassburg 1515; reprint w: *Deutsche Volksbücher in drei Bänden*, t. 2, Berlin-Weimar 1968, s. 8).

⁴⁴ Tamże, s. 214–215.

⁴⁵ Bliżej – F. Baron, *Doctor Faustus from History to Legend*, München 1978, s. 13.

pochodzenia Fausta, to, że urodził się niedaleko Bretten, w stronach rodzinnych Melanchtona. Tylko tyle, że niekoniecznie owym miejscem musiało być Knittlingen. Niedaleko Bretten jest położona inna miejscowość, z której również często wywodzi się Fausta. Jest to Helmstadt. Także maleńka, koło Heidelbergu, oddalona od Bretten tylko o 5 kilometrów. Od wielu lat niejeden z badaczy właśnie w Helmstadt dopatrywał się miejsca urodzenia Fausta. Opierano się na wszystkich pochodzących z czasów Fausta źródłach, które nigdy, powtarzam – nigdy, nie podają Knittlingen jako miejsca urodzenia Fausta. Zawsze mówią o Georgu (Jerzym) albo o Jörgu Faustusie (a nie Fauście), zwanym Helmstetter. Współczesny mu Kilian Leib nazywał go bowiem Georgius Faustus Helmstet (ensis), a protokół rady miejskiej w Ingolstadt odnotował: Doctor Jörg Faustus von Haidlberg⁴⁶.

Zostawmy w spokoju spór o miejsce urodzenia Fausta. Jego przebieg wystarczająco podkopuje wiarę w rzetelność relacji Manlius. Można dopatrzeć się także innych słabych stron jego przekazu. Manlius był pierwszym, który napisał, że Faust miał na imię Jan (Joannes), mimo że wszystkie źródła z epoki Fausta informują, iż miał na imię Georg lub Jörg, co zresztą na jedno wychodzi.

Skrupulatna analiza zestawionych ze sobą tekstów samego Melanchtona i Manlius prowadzi zaś, zdaniem Franka Barona, do wniosku, że wbrew temu, co Manlius twierdził, Melanchton nigdy nie poznał osobiście Fausta⁴⁷.

Czy można, znając tyle ułomności opowiadania Manlius, jedyne źródła wiedzy o pobycie Fausta w Krakowie, cokolwiek z niego wywodzić?

Gdyby mimo wszelkich wątpliwości Faust miał przyjechać do Krakowa, to wcale jeszcze nie wiadomo, w jakich

⁴⁶ Tamże, s. 75–77.

⁴⁷ Tamże.

latach mógłby przebywać w tym mieście. Nie wiadomo nawet, ile mógłby sobie wówczas liczyć lat.

Nie łatwo odpowiedzieć na oba pytania. W „faustologii” mamy bowiem do czynienia z dwiema różnymi wersjami daty urodzenia Fausta. Nazwijmy je: „A” i „B”.

Wersja „A” zakłada, że Faust urodził się około roku 1480 w Knittlingen⁴⁸. Zaraz potem zaczynają się rozbieżności. Są tacy, którzy twierdzą, że Faust studiował na uniwersytecie w Heidelbergu i w 1509 roku uzyskał pod nazwiskiem Johannes Faust ex Simmern tytuł bakałarza teologii⁴⁹. Powołują się przy tym na takowy wpis właśnie w aktach uniwersyteckich. Inni powątpiewają w te studia⁵⁰, a nawet wprost stwierdzają, że Faust nigdy nie siadł na ławie uniwersyteckiej. Powoływał się na wykształcenie akademickie, aby zrobić lepsze wrażenie, zdobyć zaufanie do jego umiejętności, uzyskać dostęp do możnych i wpływowych. To, co umiał, poznał sam, nauczył się poza uniwersytetem⁵¹. Był samoukiem, dyletantem albo za takiego go brali.

Gdyby przyjąć, że urodził się rzeczywiście w 1480 roku i że skończył studia w 1509 roku, to mielibyśmy do dyspozycji następujące okresy, w których mógł przebywać w Krakowie: między rokiem 1509 a 1513 – pamiętajmy, że w tymże 1513 roku Mutianus Rufus spotyka Fausta w gospodzie w Erfurcie⁵² – lub w latach 1513–1520, kiedy to zapłacono mu w Bambergu 10 guldenów za horoskop dla biskupa Jerzego III Schenka z Limburga⁵³. Ten drugi okres wydaje się

⁴⁸ Tak znakomita większość piszących o Fauście, począwszy od J.G. Neumanna (*Disquisitiones Historicae de Fausto praestidigatore*, Wittenberg 1693, cap. Sec. II) poprzez C. Kiesewettera (*Faust in der Geschichte und Tradition*, Leipzig 1893, s. 9), G. Witkowskiego (*op.cit.*, s. 307), K. Theensa (*Doktor Johann Faust. Geschichte der Faustgehalt vom 16 Jahrhundert bis zum Gegenwart*, Messenheim am Glain 1948, s. 18) oraz G. Mahala (*op.cit.*, s. 228–232), a skończywszy na H. Henningu (*op.cit.*, s. XI).

⁴⁹ Reichlin-Weldegg (cyt. za C. Kiesewetterem, *op.cit.*, s. 9), C. Kiesewetter (*op.cit.*, s. 9), K. Theens (*Doktor Johann Faust...*, *op.cit.*, s. 20), H. Wiemken (*op.cit.*, s. XV).

⁵⁰ G. Witkowski, *op.cit.*, s. 309; H. Henning, *op.cit.*, s. XIII.

⁵¹ G. Mahal, *op.cit.*, s. 245–257.

⁵² F. Baron, *op.cit.*, s. 41.

⁵³ Reprodukcyjna wpis do księgi rachunkowej w kurii biskupiej w Bambergu w książce G. Mahala (*op.cit.*, s. 106).

znacznie mniej prawdopodobny. W roku 1523 Faust miałby już 33 lata. Wiek ten klóciłby się z przeciętną wieku, bardzo niską, ówczesnych studentów. Poza tym Faust występuje już jako wróżbita, chiromantus. Praktykował wówczas zatem w swoim zawodzie. Dalsze studia były mu niepotrzebne. Tym bardziej nie do przyjęcia jest przypuszczenie Kiesewettera, że pobyt Fausta w Krakowie mógłby przypadać na lata po roku 1520⁵⁴.

Wersję drugą, „B”, zaproponował Frank Baron⁵⁵. Według niego Faust (w języku niemieckim pięść) nie nosił nigdy takiego nazwiska. Współcześni nazywali go Faustus, czyli szczęśliwy, bo tak sam się nazwał. Przybrał zresztą jeszcze inne miano – Sabellicus, Sabińczyk. Pisał o tym opat Tritheimius. Zwał się tak, ponieważ chciał stworzyć wrażenie, iż pochodzi z obszaru na północ od Rzymu, słynnego z uprawiania okultyzmu jeszcze w starożytności. Oba przybrane nazwiska Faustus Sabellicus, z dodanym do nich nadto przydomkiem junior, miały budzić zaufanie do jego kwalifikacji, zachęcać do korzystania z jego umiejętności magicznych. Możliwe także, że chciał nawiązać do pamięci o znanym humaniście Marku Antonim Sabellicusie, zmarłym w roku 1506⁵⁶.

Nie urodził się w Knittlingen, ale w Helmstadt, a więc w pobliżu Heidelbergu. Tak twierdzi Frank Baron. Na marginesie jego twierdzenia warto odnotować, że Helmstadt jest wprawdzie oddalone od Bretten, miejsca urodzenia Melanchtona, o 50 km, a nie 5 km – jak Knittlingen, ale odległość ta też nie jest znaczna. To tylko jeden dzień konnej jazdy.

Wychodząc z założenia, że źródła współczesne Faustowi mówiły tylko o Jerzym z Heidelbergu lub z Helmstadt, Baron postanowił poszukać Fausta w archiwum uniwersytetu w Heidelbergu.

⁵⁴ C. Kiesewetter, *op.cit.*, s. 61.

⁵⁵ F. Baron, *op.cit.*, s. 14–22 i *Faustus. Geschichte, Sage, Dichtung*, München 1982, s. 18–19.

⁵⁶ F. Baron, *op.cit.*, s. 18.

Znalazł go wśród trzynastu studentów z Helmstadt, zarejestrowanych w latach 1460–1520. Studiował w latach 1483–1487, kończąc studia uzyskaniem tytułu magistra filozofii. Nazywał się Georgius z Helmstadt. Nigdy na zapisano jego nazwiska. W księgach mowa o nim tylko jako o Georgius Helmstetter, Jorio de Helmstat, Jeorius de Helmstat, Georio de Helmstadt, Jeorius Helmstadt. Baron zwrócił przy tym uwagę na interesujący fakt: studenci z reguły podawali swoje nazwiska; na 67 studentów, którzy wpisali się na semestr z Helmstattenczykiem, tylko dwóch nie podało nazwisk, jednym z nich był przyszły Faustus. Młody Helmstetteńczyk już wówczas nie był zbyt skłonny do ujawniania swojej tożsamości, tak jak późniejszy Faustus⁵⁷. Ponieważ zgodnie z statutami uniwersyteckimi świeżo promowany magister miał obowiązek nauczania przez dwa lata na Wydziale Filozofii, musiał przebywać w Heidelbergu do 1489 roku⁵⁸. Sądząc po latach studiów, Faust prawdopodobnie urodził się nie w roku 1480, jak przyjmuje wersja „A”, ale w roku 1466 lub 1467. Aby uzyskać tytuł magistra, trzeba było ukończyć wówczas co najmniej 20 lub 21 lat⁵⁹.

Jeżeli przyjmiemy za bardziej prawdopodobną wersję „B”, a wszystko raczej za nią przemawia, to lata ewentualnego pobytu Fausta w Krakowie przesuwają się na okres od roku 1489 lub 1490 do 1507, a więc na lata między zakończeniem pobytu w Heidelbergu a rokiem, w którym był jeszcze nauczycielem w Kreuznach. Nie wiadomo bowiem, co porabiał w tym czasie. Oczywiście pobyt Fausta w Krakowie nie mógł trwać 17 lat. W ciągu tych lat można tylko starać się znaleźć okres krakowski w jego życiu. Ale i tu trzeba pamiętać, jak w wersji „A”, o uciekających latach życia. W roku 1507 Faust miałby już około 40 lat. Mając ich tyle na karku, było się

⁵⁷ Tamże.

⁵⁸ Tamże.

⁵⁹ Tamże.

wówczas niemal w podeszłym wieku. Nie pora była na uniwersytet, w którym dominowała młodzież w wieku od 14 do 20 lat. Jeżeli realnie mamy mówić o pobycie Fausta w Krakowie, to co najmniej o 10 lat trzeba cofnąć granicę czasową, a więc na rok 1496 lub 1497.

Już w XIX stuleciu poszukiwano śladów Fausta w metrykach Uniwersytetu Jagiellońskiego. Trudzili się tym K. Morawski⁶⁰, M. Schwenberg⁶¹ i G. Bauch⁶². Wszyscy szukali młodego człowieka imieniem Joannes albo Georgius z Knittlingen lub Rody koło Weimaru, a nawet Salzvedel (Sondvogel) koło Magdeburga⁶³. Nic z tego nie wyszło.

Kilkanaście lat temu kilku autorów powołało się na rzekomo odkryte przez Grzegorza Sinkę nieznanne źródła angielskie, które miały jednoznacznie informować, że Faust był w Krakowie⁶⁴. Chyba żadna z tych osób nie miała w ręku jego pracy. Sinko poświęcił ją bowiem źródłom zapożyczeń do angielskiego wydania „historii” z 1592 roku, a zwłaszcza przyczynom powstania różnic między opisami geograficznymi w *editio princeps Historii...* z 1587 roku a tłumaczenia angielskiego, dokonanego przez człowieka kryjącego się pod inicjałami P.F.⁶⁵

Piszącemu te słowa przypadło zatem wrócić jeszcze raz do *Album Studiosorum* Uniwersytetu Jagiellońskiego⁶⁶. Zbadane zostały wszystkie wpisy do *Albumu* w latach 1489–1519. Były to już poszukiwania „na wszelki wypadek”, można powie-

⁶⁰ K. Morawski, *op.cit.*, s. 322.

⁶¹ M. Schwenberg, *op.cit.*, s. 43.

⁶² G. Bauch, *Deutsche Scholaren in der Zeit der Renaissance vom 1460 bis 1520*, „Jahresbericht der Schlessischen Gesellschaft für vaterländische Cultur”, III Abtheilung, Breslau 1901, s. 2–76.

⁶³ K. Morawski, *op.cit.*, s. 322.

⁶⁴ K. Estreicher jun. (*op.cit.*, s. 92), C. Rakowska-Jaillard (*Alchemia w Krakowie*, „Rocznik Krakowski”, t. XLIII, s. 20), R. Bugaj (*Nauki tajemne w Polsce...*, *op.cit.*, s. 69 i *Nauki tajemne w dawnej Polsce...*, *op.cit.*, s. 80).

⁶⁵ G. Sinko, *Dr. Faustus' Travels in Silesia and Poland*, w: *Studies in Languages and Literature in Honour of Margaret Schlauch*, Warszawa 1966, s. 397–411.

⁶⁶ BJ sygn. rkp. 258, 259 oraz *Album Studiosorum Universitatis Cracoviensis*, Kraków, 1889–1956, t. 1–3.

dzieć – z cieniem nadziei, że być może wychyli się Georg lub Jörg Faustus z Helmstadt, wbrew jakimkolwiek racjom. Szczypta irracjonalizmu zawsze podkreśla smak rozważności w badaniach.

To, że Faust najprawdopodobniej ukończył studia z tytułem magistra, nie przeszkadzałoby bynajmniej kolejnym studiom na innym uniwersytecie. Obyczaj przemieszczania się z uniwersytetu na uniwersytet w tamtych czasach był dość powszechny. Krakowskie *Album Studiosorum* pełne jest nazwisk ludzi posiadających już tytuły uniwersyteckie. Na przykład w roku 1489 wpisany został sam Conradus Celtis, który uiścił pełną opłatę. A przecież wybitny humanista był od roku 1485 magistrem uniwersytetu w Heidelbergu, a później – w latach 1486–1487 – nauczycielem retoryki w Lipsku. Przyjechał do Krakowa, aby do końca opanować nauki matematyczno-astro-nomiczne, z których słynęła Akademia⁶⁷. Gdyby Faust tylko przemknął przez Akademię Krakowską, jego nazwisko musia-łoby się znaleźć w *Album Studiosorum*.

Wcale nierzadkie były wpisy różnych Jerzych (pisanych „Georgius” lub „Jorgius”). Wśród nich nie było jednak ani jednego pochodzącego z okolic, z których Faust mógł się wywodzić. Aby dopełnić powinności wszelkiej staranności, poszukiwania objęły także Jerzego lub Jana z Knittlingen albo nawet Jana z Heidelbergu. Równie bezskutecznie.

Nie do wyobrażenia są studia Fausta w Krakowie bez formalnej przynależności do społeczności uniwersyteckiej. Bez wpisu nie mógłby uczestniczyć w zajęciach, nie podlegałby jurysdykcji rektorskiej gwarantującej immunitet w stosunku do władz miejskich, nie mógłby korzystać z przywilejów natury materialnej. Byłby poza środowiskiem, w którym właśnie chciałby się znaleźć. Żadnego sensu nie miałyby wyprawa do odległego Krakowa.

⁶⁷ G. Bauch, *op.cit.*, s. 34.

Ostateczna konkluzja jest jednoznaczna – opowieść o studiach Fausta w Krakowie można między bajki włożyć.



Skąd wzięło się więc opowiadanie o krakowskim uniwersytecie w życiorysie Fausta? Pytanie nie dotyczy tym razem źródła, któremu zawdzięczamy informację. To już wiemy. Teraz chodzi o intelektualną przyczynę bądź bajania samego Fausta, bądź wymysłu Manliusza. Co skłoniło ludzi w środkowych i północnych Niemczech do podawania Krakowa jako miejsca studiów Fausta?

Kraków, tak jak Polska razem z Litwą, to były już rubieże zapatrzonej w siebie, okcydentalocentrycznej Europy. W wieku XV i pierwszej połowie XVI stulecia polityka Jagiellonów wywiera jednak duży wpływ na kształtowanie się stosunków politycznych węgierskich i czeskich, angażuje konfliktem z zakonem krzyżackim politykę cesarstwa i papieżstwa. Polska i Litwa są i będą ostatnimi na wschód obszarami łacińskiej kultury. Kraje to jeszcze majątne i jeszcze bezpieczne. Szczególnie Małopolska. Akademia Krakowska w tym czasie jest jedną z pierwszej jasności gwiazd w świecie nauki.

Już u końca pierwszej połowy XV stulecia Akademia Krakowska zarabiała na późniejszą opinię Jana ze Stopnicy, że była *arte mathematica celebri*⁶⁸. Istniały wówczas dwie katedry astronomii i matematyki, głośne były nazwiska Marcina Króla z Żurawicy, wykładającego matematykę, związanego z słynnym matematykiem Peurbachem w Wiedniu, oraz Marcina Bylicy z Olkusza, pierwszego profesora astrologii, później w bardzo bliskich stosunkach z samym Regiomontanusem i kończącego karierę jako astrolog nadworny na dworze króla Macieja Korwina w Budzie.

⁶⁸ J. Zarębski, *Okres wczesnego humanizmu*, w: *Dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1364–1764*, Kraków 1964, t. 1, s. 181.

Sławę Akademii Krakowskiej zapewnili szczególnie dwaj uczeni – Wojciech z Brudzewa i Jan Schelling z Głogowa zwany też Janem Głogowczykiem. Pierwszy, działający w Akademii do roku 1494, unowocześnił sposób wykładania astronomii, a Jan z Głogowa napisał wiele prac, które czytano w całej Europie⁶⁹ i dzięki którym zdobył miano jednego z najwybitniejszych, chyba nieco na wyrost, astronomów tamtych czasów. Plejada matematyków, astronomów i astrologów – te dwie dyscypliny wówczas przeplatały się – w Krakowie była znacznie szersza. Wystarczy przytoczyć nazwiska jeszcze innych, nie mniej znanych i cenionych profesorów krakowskiej uczelni – Michała z Wrocławia, Marcina Biema z Olkusza, Mikołaja z Szadka, Jana z Stopnicy, Mikołaja z Tuliszkowa, Marcina z Krakowa, Wojciecha z Pajew, Bernarda z Biskupia, Leonarda z Krakowa, Stanisława Seliga z Krakowa, Jakuba z Ilży starszego⁷⁰.

Czy dziwić się, że nauki matematyczno-astronomiczne przyciągały liczne rzesze studentów do Akademii Krakowskiej z całej Europy? Nie podróżowało się na studia na drugi kraniec Europy, mając po drodze albo obok inne uniwersytety, bez pewności, że znajdzie się tam rzetelną wiedzę. Dlatego też w ciągu 50 lat obejmujących najświetniejsze, złote półwiecze krakowskiej Almae Matris, od 1490 do 1520 roku, na 14326 studentów prawie połowa przyjechała spoza Polski i Litwy.

Jednym z takich studentów, przybyłych z daleka, był już wspomniany Jan Virdung z Hassfurtu, powszechnie później znany astronom i astrolog, astrolog nadworny elektora Filipa, księcia Palatynatu. Po studiach w Lipsku przyjechał w 1484 roku do Krakowa i tam w 1486 uzyskał tytuł bakałarza nauk⁷¹.

⁶⁹ G. Bauch, *op.cit.*, s. 21–22; H. Barycz, *Dzieje nauki w Polsce w epoce Odrodzenia*, Warszawa 1957, s. 158 i n.; J. Garbaciak, *Opis nauki i kultury renesansowej*, w: *Dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego...*, *op.cit.*, s. 201–202.

⁷⁰ J. Garbaciak, *tamże*.

⁷¹ G. Bauch, *op.cit.*, s. 30–31.

To on zapytał o Fausta w roku 1507 opata Trithemiusa, mieszkającego wówczas w Würzburgu.

Gdyby Trithemius cokolwiek wiedział o krakowskich studiach – a o Fauście, jak wiemy, wiedział dużo – z pewnością w swoim obszernym liście napisałby o tym do człowieka mającego takie właśnie studia za sobą. Sporo było zaś ludzi w tym czasie w Niemczech z dyplomami uniwersytetu w Krakowie. Chwalenie się przez Fausta takimi studiami mogło szybko narazić go na przykrą rozmowę, w czasie której okazałoby się, że ani tego miasta, ani tym bardziej uniwersytetu nigdy nie widział.

Nie wydaje się więc, aby Faust rozpowiadał dookoła o studiach w Krakowie. Ryzyko ujawnienia prawdy było zbyt duże. I z tego powodu wątpliwa jest hipoteza, że Faust przedstawiał się jako absolwent krakowskiego uniwersytetu. Jeżeli jednak tak czynił, to tylko podziwiać można jego bezczelność.

Przypisanie studiów krakowskich nastąpiło więc raczej na zasadzie pewnego schematyzmu w myśleniu: jeżeli był tak biegły w magii i jeżeli ma tytuł naukowy, to musiał go zdobyć w tym uniwersytecie, w którym magii i astrologii nauczano. Takim uniwersytem była uczelnia krakowska pod koniec XV wieku. Dała temu wyraz kronika świata Hartmana Schedla, która *expressis verbis* powołuje się na liczne tego świadectwa⁷². Zresztą nie tylko nauczanie astrologii w Krakowie było powszechnie znane. Ale o tym dalej.

Opinia taka długo się utrzymywała. Żyła nadal bez względu na to, że już w pierwszej połowie XVI wieku zaczął się stopniowy upadek Akademii Krakowskiej. W chwili gdy ukazały się książki Manliusza i Wierusa, a zwłaszcza w momencie opublikowania *Historii...*, pogląd o świetności Akade-

⁷² W oryginalnej opinii brzmiała: „Astronomiac tamen studium Cracoviae maxime viret. Nec in tota Germania/ ut ex multorum relatione satis mihi cognitum est/ illo clarius reperitur” (H. Schedel, *Liber chronicarum*, Norymberga 1493).



OBLĘŻENIE AKADEMII PRZEZ ZŁĘ MOĆ,

NAJSTARSZY ZACHOWANY RYSUNEK PRZEDSTAWIAJĄCY COLLEGIUM MAIUS,
LIBER PROMOTIONUM, 1647 R., BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA

mii nie miał już pokrycia w faktach. Opinie o faktach mają jednak zawsze dłuższy żywot niż same fakty.



Na parterze Collegium Maius, w jego północno-zachodniej części, znajduje się warsztat alchemików, zwięźle zwany „Alchemią”.

Na drzwiach wypalone ślady diabelskiej dłoni, w ceglanej podłodze odcisk diabelskiego kopyta. W kącie wielki piec z rondlami i innymi mosiężnymi naczyniami. Obok retorty, garnki, szklane galony. Z okapu zwisają wyschnięte żółwie, kości zwierząt, mumie kotów żywcem zamurowanych w murach Collegium Maius w średniowieczu, w czasie jego budowy, aby – jak twierdzą niektórzy – broniły przed złem. I wiele w niej innych dziwnych rzeczy.

Posiadali więc alchemicy swój warsztat w Akademii Krakowskiej? W Collegium Maius, najbardziej szacownym gmachu Akademii?

Nic podobnego. Mój znakomity poprzednik w Collegium Maius, Karol Estreicher junior, wymyślił „Alchemię” w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy końca rekonstrukcji Collegium Maius jeszcze nie było widać. Padło tu słowo „wymyślił”, a nie „zrekonstruował”. Estreicher urządził ją po to, aby w ramach przyszłej ekspozycji poświęconej dziejom Uniwersytetu Jagiellońskiego i nauki pokazać, jak mógł wyglądać warsztat alchemika, miejsce, w którym zrodziły się początki nauk chemicznych. Wspaniała fantazja Estreichera nie była w stanie oprzeć się naciskowi wywołanemu przez obecność w Collegium Maius licznych przedmiotów samorzutnie komponujących wyposażenie kuchni alchemicznej.

Nie ma żadnego śladu w archiwum uniwersyteckim na to, aby istniał kiedyś w Collegium Maius warsztat alchemiczny.



PRACOWNIA ALCHEMICZNA W COLLEGIUM MAIUS,
STAN OBECNY

Nigdy też nie nauczano alchemii jako przedmiotu przewidzianego w programie studiów. Dlaczego jednak władze rektorskie co jakiś czas przypominały treść bulli z 1317 roku papieża Jana XXII, zakazującej zajmowania się praktykami alchemicznymi? Jeżeli przypominano zakaz, to znaczy, że członkowie społeczności uniwersyteckiej zapominali się.

Istnieje bowiem pokażna garść poszlak, że profesorowie Akademii Krakowskiej uprawiali alchemię i przekazywali wiedzę alchemiczną studentom w czasie wykładów.

Dobrych kilkanaście lat temu Włodzimierz Hubicki przypomniał, że profesor Akademii, Kasper ze Skarbimierza napisał traktat pod tytułem *Epistolae alchemicae*. Niestety, dzieło przepadło bezpowrotnie. Spłonęło wraz z pozostałościami dawnej Biblioteki Załuskich w czasie powstania warszawskiego⁷³. Najciekawszym wszakże dowodem zainteresowań alchemicznych profesorów Akademii jest szesnastowieczny kodeks alchemiczny, odkryty przez Hubickiego w bibliotece uniwersyteckiej w Lejdzie. Zawiera on między innymi alchemiczne recepty profesorów Macieja Miechowity, Stanisława

⁷³ W. Hubicki, *Fuitne olim alchimia in Academia Cracoviensi lecta?*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 1964, R. IX, s. 205–209.

z Krakowa, Piotra z Idzikowic i Jana Mellara z Śmigła. Wszyscy byli czynni na przełomie XV i XVI wieku. Receptę Michowity znaczy nawet data – rok 1503.

Ponieważ recepty zachowały się w odpisach pisanych jedną ręką, istnieje pewne prawdopodobieństwo, że mógł je ktoś wymyślić i przypisać profesorom Akademii Krakowskiej. Czyżby więc apokryfy⁷⁴?

Włodzimierz Hubicki sam znajdował odpowiedź na tę wątpliwość. Każdy z tych profesorów był lekarzem, każda z tych recept, obok piętna alchemicznego, świadczy o pewnej praktyce chemicznej i alchemicznej autora. Wszystkie pozostawały w zgodzie z ówczesną wiedzą o przyrodzie. Hubicki przypuszczał, że tylko na wydziale lekarskim trudniono się alchemią i raczej tylko przy okazji praktyk lekarskich⁷⁵. Lekarze profesorowie na ogół mieszkali poza murami kolegów, byli tak zwanymi *extranei non de facultate*. Doświadczenia alchemiczne miałyby miejsce zatem ani nie w Collegium Maius, ani nie w Collegium Minus, a jeżeli wyjątkowo do nich dochodziło – to działo się to po kryjomu w lęku przed sądem rektorskim, za zamkniętymi drzwiami mieszkania profesorskiego. Pracą powstałą w takich warunkach mógł być traktat alchemiczny Jana Adama z Bochynia, profesora Akademii Krakowskiej, przechowywany w Bibliotece Jagiellońskiej⁷⁶. Napisał go w 1489 roku, gdy był jeszcze tylko bakałarzem sztuk. Dotyczył zagadnień przyrodniczo-lekarskich i był w dużej części pracą o alchemii. Autor pouczał, jak przemienia się metale na białe, czyli w srebro, i na czerwone, a więc w złoto. Snuł nieuchronne wywody o kamieniu filozoficznym⁷⁷.

Z praktykowaniem alchemii wśród akademików krakowskich w parze szedł niezwyčajny rozwój regionu. Okolice

⁷⁴ Tamże, s. 209.

⁷⁵ Tamże.

⁷⁶ Rkp. BJ 5465, opublikowany częściowo przez W. Rubczyńskiego w Archiwum Komisji do badania Historii Filozofii w Polsce, Kraków 1917, t. 1, cz. 2, s. 272 i n. oraz W. Hubickiego (*op.cit.*, s. 201–205).

⁷⁷ W. Hubicki, *op.cit.*, s. 203.

Krakowa, jak i sam Kraków, w wieku XV i pierwszej połowie wieku XVI znane były dzięki przemysłowi... chemicznemu. W Krakowie znajdowała się słynna Camera Separatoria, wytwórnia kwasu siarkowego, saletry i wody królewskiej. Pod Krakowem w Mogile były huty miedzi, w Rabsztynie odlewania ołowiu, koło Chęcín – huta żelaza⁷⁸. Dookoła mnożyły się zatem miejsca, w których można było zdobywać praktyczne wykształcenie alchemiczne.

Zupełnie inna sprawa była z czarną magią, zwaną też demoniczną. Wbrew temu, co czasem pisywano, takiej w Akademii Krakowskiej ani nie nauczano, ani tym bardziej nie praktykowano. Nieprawdziwe więc były informacje Manliusza i Wierusa, że zajmowano się w Krakowie magią w sensie czarnoksięstwa, czyli ową czarną magią przeciwstawianą tradycyjnie tak zwanej magii naturalnej, czyli naukom matematyczno-przyrodniczym, przeplatany tylko elementami okultyzmu i zaklęciami⁷⁹.

Obaj grubo się mylili. Manlius wziął opinię o wysokim stanie tych nauk w Krakowie za wiadomość o uprawianiu tu również magii demonicznej. Kraków zażywał zatem sławy w tej materii niezasłużonej. Akademia Krakowska nie mogła się równać XV-wiecznym uniwersytetom w Toledo i Salamance, słynnym właśnie z czarnej magii. Renoma przeważała rzeczywiste zasługi.

Jeżeli ktoś puszczał się w drogę do Krakowa, licząc na naukę czarnej magii, to musiał przeżyć przykre rozczarowanie. Los tego Faustowi oszczędził, bowiem nogi w Akademii Krakowskiej nigdy nie postawił.

⁷⁸ W. Hubicki, *Alchemia i chemia w Polsce w XVI wieku*, Kosmos „B” 190, R. VI, z. 1, s. 36–39; W. Hubicki, *Fuitne...*, *op.cit.*, s. 201; C. Rakowska-Jaillard, *op.cit.*, s. 20 i n.

⁷⁹ C. Kiesewetter (*op.cit.*, s. 61) był zdania natomiast, że Manlius i Wierus mieli na myśli tylko magię naturalną. Zaprzecza temu jednak wyraźnie całokształt ich wypowiedzi, w których element czarnoksięstwa wysuwa się na plan pierwszy.

LEGENDA
„STAREGO ZEGARA”
Z PANA TADEUSZA





ZEGAR Z KURANTEM,
F. BELLAIR, GDAŃSK, 1759-1782 R.,
MUZEUM UJ



egar jest wcale wysoki. Sięga aż 2,59 m. Przyparty do sosnowej, brązem kojącej oczy boazerii stoi w Stubie Communis, czyli Izbie Wspólnej Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego. Szafa jego w stylu barokowym, z politurowanego drewna orzechowego, kształtem i snycerskimi zdobieniami wywodzi się z połowy XVIII wieku.

Przez środek tarczy zegarowej biegnie napis: „François Bellair Dantzig”. Identyczny powtarza się na płycie bocznej mechanizmu zegarowego. Twórca zegara podał więc starym obyczajem swe nazwisko do powszechnej wiadomości. Brzmienie i pisownia nazwiska wskazują, że pochodził on z Francji i że należał do rodziny zapewne niedawno osiadłej w Gdańsku. I w imieniu, i w nazwisku brak jeszcze śladów zgermanizowania. Czyżby potomek któregoś z hugenotów, który musiał opuścić Francję po roku 1685, roku odwołania edyktu nantejskiego? Wielu z nich osiadło w Prusach, w Poczdamie zaś powstała ich zwarta kolonia. Stamtąd z biegiem czasu przenosili się do innych miejscowości w Niemczech.

Przypuszczenie to zamienia się w pewność po zajrzeniu do księgi cechu ślusarzy, rusznikarzy i zegarmistrzów miasta Gdańska. Zanotowano w niej pod rokiem 1757, że Franz (!) Bellair z Poczdamu, czeladnik zegarmistrzowski w zakresie zegarów dużych, podjął z dniem 24 czerwca trzyletnią praktykę w dziedzinie zegarów małych u mistrza J. Henryka Wiegendorfa w Gdańsku. Praktyka zakończyła się egzaminem mistrzowskim na początku roku 1759. W księdze potem długa



PODPIS F. BELLAIRA NA MECHANIZMIE ZEGARA,
MUZEUM UJ

przerwa, aż do roku 1763, kiedy to wpisano nazwisko Bellaira do wykazu mistrzów. W wykazie tym będzie utrzymywać się do 1782 roku. W latach zaś 1763–1772 Bellair należał do starszyny cechowej. Pozostawił po sobie kilku uczniów, wśród nich Goetlieba Mannincka z Wilna i Jakuba Sachta z Węgorzewa. Z księgi wyłania się jeszcze raz nazwisko Bellair w roku 1786. Nie jest to jednakże nasz mistrz, ale jakiś czeladnik zegarmistrzowski. Może syn albo jakiś inny krewny?



FRAGMENT GRAJĄCEGO MECHANIZMU ZEGARA F. BELLAIRA,
MUZEUM UJ

Niewiele zachowało się dzieł jego ręki. W każdym razie wiemy tylko o trzech. Drugim jest zegar w Muzeum Okręgowym w Toruniu, niestety niemal zupełnie zdekompletowany¹. Jürgen Abeler, znawca niepośledni starych zegarów w Wuppertalu, znalazł nazwisko Bellaira na jeszcze jednym przedmiocie – na płycie mechanizmu zegarowego, która ostała się

¹ W. Siedlecka, *Polskie zegary*, Warszawa 1988, s. 109–110.

z całego zegara². Trzy zatem ślady jego działalności i nic więcej. Może jeszcze jakiś zegar tkwi w czyjejs prywatnej kolekcji, ale szanse odnalezienia go tamże zbliżone są do zera. Liczących się prywatnych zbiorów starych zegarów nie ma w Polsce zbyt wielu.



Z tej nikłej pozostałości po Bellairze jeden zegar zrobił karierę – wystarczającą, aby zapewnić sławę nazwisku twórcy, mimo że nie wydaje się, by wiele było w tym jego zasługi. Dziś własność Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, ma za sobą historię równą atrakcyjnością sensacyjnym powieściom kryminalnym. Historię prawdziwą i fantazyjnie mu dopisywaną. Winne temu są zaś dwa fakty.

Pierwszym z nich jest oryginalna konstrukcja zegara. To, że jest to zegar kurantowy, używając języka Adama Mickiewicza, nie byłoby czymś niezwykłym, gdyby nie budowa jego mechanizmu. Jest on wielką rzadkością. Istota jego polega na tym, że obracający się walec z nabitymi w odpowiednim porządku sztyftami popycha młotki, które w zależności od położenia sztyftów uderzają w struny „harfy” ustawionej pionowo w tylnej części szafy zegara. Mechanizm niekiedy tylko spotykany. Od połowy XVIII wieku wyrabiano go coraz rzadziej dla pewnej dość oczywistej przyczyny. „Harfa” rozstrajała się łatwo, wystarczyła niewielka zmiana wilgotności i temperatury, aby zegar zaczął niemiłosiernie fałszować. Trzeba było więc często dostrajać „harfę”. Jeśli taki zegar znajdował się w dworze wiejskim, trudem niemałym stawało się sprowadzenie stroiciela.

Drugim faktem jest historia zegara. Przypisywane mu dzieje przyczyniły się do narodzin jeszcze jednej koncepcji powstania melodii *Mazurka Dąbrowskiego*.

² J. Abcler, *Meister der Uhrmacherkunst*, Wuppertal 1977 („Bellair, François Dantzig. Inschrift auf einer Platine 18 Jhr”), s. 65. Abcler nie znał natomiast obu zegarów w Polsce.



Czytelnika, który nie miał okazji, aby dotrzeć do wcale obszernej literatury poświęconej dziejom polskiego hymnu narodowego, wypada poinformować w największym skrócie o istocie sporu o autorstwo melodii. Padły tu słowa „melodii”, bo Roman Kaleta rozstrzygnął już poza wszelką wątpliwością autorstwo słów *Pieśni Legionów*, dzięki odkryciu jednego z listów generała Henryka Dąbrowskiego do Józefa Wybickiego³.

Nie ma natomiast bezpośrednich dowodów na to, że Józef Wybicki ułożył melodię *Mazurka*. Wybicki na ten temat nigdy się nie wypowiadał, a rozmaicie można tłumaczyć słowa generała Dąbrowskiego w liście do Wybickiego, pisany z Bolonii w dniu 29 sierpnia 1797 roku: „Szkoda, że nie jesteś z nami, Przyjacielu, bez ciebie smutno, z tobą prawdziwa konsolacja. Żołnierze do Twojej pieśni coraz więcej gustu nabierają (...)”⁴. Słowo „pieśń” może bowiem znaczyć słowa z melodią, może jednak znaczyć tylko same słowa. Wybicki miał niewątpliwy słuch muzyczny i – jak większość ludzi porządnie wykształconych w tamtych latach – znał podstawowe reguły kompozycji. Muzykowanie prywatne było elementem kultury codziennej wyższych i średnich warstw szlacheckich. Przypuszczenie, że był on autorem również melodii nie jest zatem niedorzeczne. W powietrzu wisi więc nadal hipoteza i tylko hipoteza jego autorstwa i tak ją trzeba traktować, dopóki nie zostanie odkryty jakikolwiek ślad ją potwierdzający.

Twierdzono także kiedyś, że autorem i słów i melodii był hetman Michał Kleofas Ogiński. Tę hipotezę obalono jednak jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej.

³ R. Kalca, *Oświeceni i sentymentalni. Studia nad literaturą i życiem w Polsce w okresie trzech rozbiorów*, Ossolineum 1971, s. 746–754.

⁴ *Archiwum Wybickiego*, t. 1, s. 265, poz. 166.

Kolejna i najbardziej prawdopodobna brzmi: Wybicki pisał tekst *Pieśni Legionów* pod znaną mu melodię lub zaadaptował starą melodię do gotowego już tekstu. Za tą hipotezą przemawia istnienie przed rokiem 1797 zbliżonych do *Mazurka wątków* melodycznych. Dowodem tego jest piosenka *Po szklaneczce do piosneczki*, napisana w 1780 roku przez Franciszka Bohomolca, oraz muzyka opery *Żółta szlafmyca* Kajetana Gaetaniego, z librettem pióra Franciszka Zabłockiego z 1788 roku⁵.

Najsilniejszym argumentem na rzecz tej koncepcji jest odkryty w 1927 roku przez profesora Lucjana Kamińskiego w Państwowej Bibliotece Pruskiej (Preussische Staatsbibliothek) rękopis z 1800 roku zatytułowany *Diverses Danses pour Violon pour Monsieur Nanke à Leipzig 1800*. Jest to zbiór 86 tańców polskich spisanych, być może, przez jakiegoś pruskiego muzyka mieszkającego w Warszawie po trzecim rozbiore⁶. Taniec nr 41 uderza podobieństwem do melodii *Mazurka Dąbrowskiego*. Zdaniem Kamińskiego *Mazurek* ten ma ludowe pochodzenie. Wybicki zaadaptował więc melodię do słów swojej pieśni.

Rękopis w tece pana Nankego próbowano także zinterpretować inaczej. Stanisław Hadyńska sądził, że nie jest wykluczone, iż zapisana została nie melodia istniejąca przed rokiem 1797, ale powstała dopiero po tej dacie. W rękopisie znalazł się zatem zapis *Pieśni Legionów*⁷. Na pierwszy rzut oka taka wersja wyglądała całkiem sensownie. Jak jednak wytłumaczyć różnice między metrum *Mazurka* pana Nankego (2/4) a *Mazurka Dąbrowskiego* (3/4) oraz pewne różnice w melodii? Gdyby zapis nutowy z 1800 roku był rejestracją

⁵ J. Prosnak, *Kultura muzyczna Warszawy XVIII wieku*, Warszawa 1955, s. 230 i tegoż autora: *Pieśń polska w okresie Sejmu Czteroletniego (w 175 rocznicę Konstytucji Trzeciego Maja)*, „Muzyka” 1996, nr 2, s. 29.

⁶ L. Kamiński, *Pierwsza wersja dzisiejszej melodii do Pieśni Legionów*, Streszczenie referatu wygłoszonego 16 I 1928 r., Sprawozdania Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk za rok 1928, Poznań 1929, s. 3.

⁷ S. Hadyńska, *Droga do hymnu*, Warszawa 1976, s. 125–146.

Mazurka Dąbrowskiego, to chyba byłby znacznie bardziej wierny, nikt nie nazywałby go tańcem. Słowa *Pieśni* też zostałyby odnotowane. I w tym miejscu cała konstrukcja *Hardy* zaczyna się chwiać. Na Boga, czyżby rzeczywiście pruski muzyk i solidny pruski urzędnik interesowali się tekstem i melodią jakiegoś awanturniczego legionu, w dodatku dążącego – z ich punktu widzenia – do przywrócenia pogrzebanej na zawsze owej nieudaczej Polski, a więc jakiejś formacji wojskowej, której istnienie pozostawało w jasnej kolizji z interesami państwa pruskiego? Poza tym czy nie za wcześnie było na notowanie melodii pieśni w roku 1800, którą w dalekich Włoszech brygada Dąbrowskiego zaczęła śpiewać dopiero w lipcu 1797? Wprawdzie pierwsze przeróbki tekstu pojawiają się już około 1800 roku, o czym pisze Kniaziewicz do Wybickiego⁸, ale dokonano je jeszcze za granicą, jeszcze nie w Polsce. Co prawda już w latach wielkiej kampanii rosyjskiej żołnierze wojsk polskich śpiewali *Pieśń Legionów* na ziemiach polskich, ale ciągle była ona nowością. Zapamiętywano ją w Polsce i na Litwie w przekazie ustnym nie w 1800 roku, ale znacznie później – co najmniej 12 lat później. Być może ma rację na przykład Zakrzewski pisząc, że Mickiewicz ją zapamiętał w latach młodości, że poznał *Mazurka* już w dzieciństwie, i to z autopsji, gdy jako 14-letni chłopiec śledził w Nowogródku, pamiętnego roku 1812, barwny przemarsz wojska polskiego i jego kwaterunki⁹. Jest to zresztą tylko przypuszczenie, gdyż nie ma żadnego dowodu na to, iż zapamiętał go w tamtych czasach „na całe życie, tak jak można zapamiętać pacierz”¹⁰. Jeżeli mimo to zgodzić się z Zakrzewskim, to nie zmienia to faktu, iż *Pieśń* śpiewano w roku

⁸ H. Domańska, *Życie w służbie Ojczyzny*, w: *Muzeum Hymnu Narodowego w Będzinie*, 1981, s. 25.

⁹ B. Zakrzewski, *Pan Tadeusz, czyli Jeszcze Polska nie zginęła (W 150-tą rocznicę wydania Pana Tadeusza)*, Wrocław 1984, s. 7.

¹⁰ Tamże, s. 6.

1812, a nie w 1800. Dodajmy, że w 1829 roku Mickiewicz prosi Leonarda Chodźkę o przysłanie mu *Historii Legionów*, w której są wydrukowane tekst i nuty *Pieśni*. Od tego czasu rozpoczyna się w twórczości Mickiewicza nawiązywanie do *Pieśni*, aby później dojść do wielokrotnego wręcz cytowania jej słów w *Panu Tadeuszu*. Ani w roku 1811, ani tym bardziej w roku 1800 czas prawdziwej kariery *Mazurka*, jego narodowej i słowiańskiej popularności, jeszcze nie nadszedł. Sprawią to najpierw rok 1812 na Litwie, potem lata następne w Królestwie Kongresowym, w którym tak żywa była pamięć o Legionach, jak jeszcze żywymi widywano dawnych legionistów, aż w końcu jego popularność utrwali powstanie listopadowe i nieprzerwana od tej chwili jesień smutku popowstaniowego.

Cóż jednak wspólnego ma spór o genezę melodii *Mazurka Dąbrowskiego* z zegarem Bellaira? Nie miałby nic, gdyby nie skrzydlate słowa w „Pierwszej Księdze” *Pana Tadeusza* i nie rozprawa Romana Kalety.

Przypomnijmy sobie, że Tadeusz przyjechał do Soplicowa, wbiegł do salonu:

„I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek”.

Pociągnął sznurek w chwili powrotu do Soplicowa w 1811 roku, po dziesięciu latach pobytu w szkołach. Jeżeli potraktować chronologię *Pana Tadeusza* na serio, zegar grający *Mazurka Dąbrowskiego* znajdował się w dworze sędziego już od 1801 roku. Miałby więc za sobą ponad 10 lat żywota. Teraz już ostatni wniosek, jaki wysuwa się przed oczy. *Mazurek* jest starszy od *Pieśni Legionów*, a więc znany był od dawna w Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Wniosek ten jednak kwestionowano zdecydowanie. Szczególnie sprzeciwiał się mu Stanisław Pigoń, który uważał, że Mickiewicz początkowo umieścił akcję *Pana Tadeusza* w latach dwudziestych XIX wieku, potem zaś czas akcji przesunął

w lata 1811–1812, ale zapomniał o zacytowanym tu 72 dwuwierszu, czyniąc z niego anachronizm¹¹.

Chronologię wiersza wziął jednak dosłownie Roman Kaleta w swojej pracy *Stary Dąbrowskiego Mazurek*¹². Postawił pytanie – a może rzeczywiście taki zegar istniał, może nie był tylko pomysłem literackim? Gdyby bowiem zegar z Mickiewiczowskiego Soplicowa kiedyś rzeczywiście tkwił w jakimś dworze na Litwie, to byłby on niezaprzeczalnym dowodem tego, że melodia *Mazurka* była starsza od słów *Pieśni Legionów*, że Wybicki po prostu podłożył je pod znaną mu już melodię.

Po wykluczeniu kilku znajdujących się kiedyś na Litwie zegarów z kurantem, które mogłyby ewentualnie wchodzić w rachubę, pozostał mu tylko jeden, właśnie zegar Franciszka Bellaira, własność niegdyś rodziny Pusłowskich, pierwotnie osiadłej na Litwie, obecnie w posiadaniu Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Na jego istnienie uwagę Kalety zwrócił Marian Rechorowski, autor pracy o meblarstwie gdańskim¹³. Rechorowskiemu znany był wydany przez Muzeum Narodowe w Krakowie katalog *Wystawy starych zegarów na tle wnętrza pałacu hr. Pusłowskich*. Przeczytać w nim można: „Zegar szafkowy kurantowy (szafka z orzecha) z połowy XVIII wieku, dzieło Franciszka Bellair, zegarmistrza gdańskiego. Mechanizm muzyczny zegara typu rzadko spotykanego (dźwięki powstają przez uderzenia młotków w struny). Zegar wygrywa melodię zaczynającą się od hejnału Mariackiego i przechodzącą następnie w *Mazurek Dąbrowskiego*. Przez długi czas po r. 1863 melodia zegara była umyślnie zatarta wskutek odpowiednich zmian w mechanizmie. Miało to na celu uniknięcie prześladowania i konfiskaty ze strony Rosjan po rozstrzelaniu Adama Pusłowskiego w Nowogródku z rozkazu Murawiewa. Melodię

¹¹ S. Pigoń, *Pierwszy pomysł „Pana Tadeusza”*, „Przegląd Warszawski” 1922, nr 6, s. 333.

¹² W cytowanej książce: *Oświeceni i sentymentalni...*, op. cit., s. 710–761.

¹³ M. Rechorowski, *Meble gdańskie XVII i XVIII stulecia*, Gdańsk 1960.



POPIERSIE FRANCISZKA KSAWEREGO PUSŁOWSKIEGO,
AUTOR NIEZNANY, GIPS PATYNOWANY, 1. POŁ. XX W.,
MUZEUM UJ

zrekonstruował w r. 1926 zegarmistrz – amator, brat Teodor Wrzesień z Zakonu O.O. Reformatów w Wieliczce. Gdańsk – połowa XVIII wieku. Wys. 258 cm. Własność Ksawerego hr. Pusłowskiego”¹⁴.

Tekst wyszedł prawie z pewnością spod ręki Ksawerego Franciszka Pusłowskiego. Co najwyżej zredagował go autor

¹⁴ *Wystawa starych zegarów na tle wnętrza pałacu hr. Pusłowskich*, katalog, Kraków 1938, s. 30–31.

katalogu, doktor Kazimierz Buczkowski, od lat już w zaświatach. Tylko Pusłowski mógł przekazywać tradycje rodzinne.

Do niego więc wybrał się profesor Kaleta. Ksawery Franciszek Pusłowski był już bardzo wiekowy. W 1966 roku miał nie mniej niż 91 lat. Potomek znanej rodziny hrabiów papieskich, której korzenie rodowe sięgały dalekiej Litwy, rezydował od lat w wielkim łożu ustawionym w pokoju pełnym rodzinnych pamiątek. Większość z nich była dziełami sztuki, często dużej wartości. Dumny ze swego pochodzenia arystokratycznego z przyjemnością akceptował tytułowanie go hrabią. Był to klucz do jego przyjaznego nastawienia do rozmówcy, tak jakby niewielkie znaczenie miało 21 lat wzajemnie niechętnego sąsiedowania z ustrojem Polski Ludowej.

Do spotkania doszło 16 maja 1966 roku. Pusłowski skorygował wówczas datę naprawy zegara. W katalogu był błąd. Ojciec Wrzesień naprawiał zegar nie w roku 1926, ale w 1936, gdy pałac przygotowywano na wizytę księżnej Juliany, następczyni tronu holenderskiego, z jej świeżo poślubionym małżonkiem. Potwierdził także informację zamieszczoną w katalogu o rekonstrukcji zapisu melodii. Opowiadał, że ojciec Wrzesień wyjął walec z zegara, przyjrzał się mu bardzo dokładnie i zauważył, że sztyfty były powbijane w drewno byle jak, wśród nich były nowsze i starsze, te drugie pokryte rdzą. Wyjął tylko nowe sztyfty, włożył walec z powrotem do zegara, nakręcił go, pociągnął za sznurek repetiera i zegar zagrał kuranta¹⁵. Kurantem była oczywiście melodia hejnału z kościoła Mariackiego w Krakowie, a po nim – *Mazurek Dąbrowskiego*.

Samego zegara jednak Pusłowski Kalecie nie pokazał. Rozmowa skończyła się tylko na wspominkach, jako że spotkali się dwaj gawędziarze, zakochani w snuciu anegdot, opowieści często tylko dobrze zmyślonych, zamiłowani w wędrówkach

¹⁵ R. Kaleta, *op.cit.*, s. 753.

po zdarzeniach mówiących coś o ludziach. Opowiadał to piszącemu te słowa w 1979 roku profesor Kaleta, gdy po raz pierwszy zjawiał się w Collegium Maius i miał wreszcie sposobność przyjrzeć się zegarowi. Albo czasu na oględziny zegara zabrakło, albo nie miał kto w tamtej chwili zastąpić Pusłowskiego w pokazaniu zegara. A może stary hrabia nie chciał pokazać zegara? Może Kaleta w rozmowie powiedział coś, co zniechęciło Pusłowskiego do popisywania się zegarem i jego historią? A może spostrzegł, że Kaleta ma bystre oko, które zobaczy to, czego nie powinno zobaczyć?

Konkluzja Romana Kalety brzmiała: „Wiadomość o zegarze kurantowym Pusłowskich pozwala na ugruntowanie zgłoszonej rewelacji o istnieniu w Nowogródzkim «starego» zegara wygrywającego melodię dzisiejszego hymnu narodowego. I owszem, pozwala tę melodię podać do wiadomości publicznej w formie pewnika”¹⁶.

Śladem Kalety poszedł Stanisław Hadyna, znany kompozytor, pisarz, twórca i wieloletni dyrektor Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. I jego zafrapowała geneza melodii *Mazurka Dąbrowskiego*.

Spotkał przypadkowo w Instytucie Polskim w Nowym Jorku zatrudnionego tam Franciszka Pusłowskiego, brata stryjecznego Ksawerego. Ów „nowojorski” Pusłowski przekazał Hadynie inną, znacznie odbiegającą od poprzedniej wersję dziejów zegara. W skrócie przedstawiała się tak: zegar istotnie zakupił Wojciech Pusłowski i w 1784 roku sprowadził go razem z innymi gdańskimi meblami do dworu w Pieskach, spodziewając się wizyty króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Już wówczas zegar wygrywał *Mazurka*. Gdy wybuchła insurekcja kościuszkowska, Wojciech Pusłowski skorzystał ze znajomości z Kościuszką, którego był ojcem chrzestnym. Posłał do Krakowa, pod opiekę Naczelnika, najcenniejsze

¹⁶ Tamże.



WOJCIECH PUSŁOWSKI,
MAL. W. WAŃKOWICZ, PASTEL, KARTON,
1. POL. XIX W., MUZEUM UJ

rzeczy, a wśród nich oczywiście nasz zegar. Kościuszko zapewnił gdzieś bezpieczne miejsce tym przedmiotom i posłał kwit Pusłowskiemu. Ten zaś wysłał go swemu bratu, przeorowi klasztoru w Berezie Kartuskiej, który wraz z innymi cennymi dokumentami zamurował w skrytce ołtarza w kościele klasztornym. Po roku 1863 klasztor remontowano i znaleziono skrytkę, a w niej kwit. Przypadkowy znalazca oddał dokumenty policji carskiej. To wystarczyło za pretekst do konfiskaty klasztoru¹⁷.

¹⁷ S. Hadyńska, *op.cit.*, s. 135–136.

Obie relacje Pusłowskich – „krakowska” i „nowojorska” – pozostają w rzucającej się w oczy sprzeczności. Albo zegar znajdował się na Litwie jakiś czas po 1863 roku, albo przybył do Krakowa już w 1794 roku. Albo więc zacieranie na walcu śladów *Mazurka* na Litwie było prawdą, albo trzeba je uznać za czystej wody fantazję.

Piszący te słowa zamierzał znaleźć jakieś rozwiązanie zagadki w papierach pozostałych po ojcu Teodorze Wrześniu, zmarłym w 1954 roku. W klasztorze Reformatów w Wieliczce prowadzona jest wprawdzie kronika klasztoru, ale słowa nie ma w niej o działalności ojca Września. W bibliotece klasztoru przetrwał tylko egzemplarz katalogu wystawy w pałacu Pusłowskich w 1936 roku. Również jego akta osobowe nie zawierają żadnej wzmianki o przeprowadzonej konserwacji zegara Pusłowskich. Tkwią w nich jedynie fotografia ojca Września wśród zwiedzających wystawę i notatka doktora Kazimierza Buczkowskiego, pokrywająca się z tekstem noty katalogowej.

Do 1968 roku zegar był niezmiennie własnością rodziny Pusłowskich i zawsze zdobił wybudowany w latach siedemdziesiątych XIX wieku pałac przy ówczesnej ulicy Kolejowej (dziś ulicy Westerplatte). Stał w salonie przyległym do sypialni, w której Pusłowski w ostatnim dziesięcioleciu swego życia nie opuszczał swego ogromnego łóża. Mało kto za życia Pusłowskiego wchodził do salonu. Chociaż Ksawery już tam nie zaglądał, przynajmniej raz ktoś wytarł zegar z kurzu. Na pudle rezonansowym bowiem zegara łatwo można dostrzec napis: „Naprawiono Włodzimierz Grocholski 15. IV. 1964.” Napis ten świadczy raczej o tym, że bliski krewny Ksawerego Pusłowskiego grzebał we wnętrzu zegara, niż że zdołał go naprawić. Gdyby dwa lata później zegar chodził, prawdopodobnie ktoś z domowników pokazałby go profesorowi Kalecie w czasie jego wizyty u Pusłowskiego. Chyba że Pusłowski miał coś do ukrycia...

W sierpniu 1968 roku umiera bezpotomnie Ksawery Pustowski i wszystkie przedmioty zabytkowe w pałacu stają się – na mocy postanowienia Sądu Powiatowego dla Miasta Krakowa – własnością Uniwersytetu Jagiellońskiego. Weszły w skład inwentarza jego Muzeum w Collegium Maius. Wśród nich także zegar Bellaira. Stan jego w chwili przejścia był opłakany. Mechanizm napędowy był zdekompletowany, nie miał nawet ciężarków. Po roku 1968 tylko szafę zegarową naprawił stolarz z Muzeum, na naprawę mechanizmu nie starczyło środków. Stan zegara wskazywał zaś, że owa naprawa w 1964 roku ograniczyła się chyba tylko do zabiegów przy „harfie”. Wrak zegara, bo tak trzeba go określić, leżał w kącie Muzeum. Wkrótce o nim zapomniano.

Dopiero w 1978 roku zawieziono zegar do Bytomia, do Wilhelma Brisza, specjalizującego się w naprawach starych zegarów grających. W czasie konserwacji zegara okazało się, że na walcu nie ma śladu po jakiegokolwiek melodii. Walec miał sztyfty powkładane byle gdzie, drewno walca przypominało gąbkę, tyle było w nim otworów po sztyftach. Po uruchomieniu wydawał bełkotliwe, bez ładu dźwięki. Czyżby ponownie ktoś zatarł celowo melodię na walcu? Bardzo to prawdopodobne. Kto wie, czy nie stało się to podczas okupacji niemieckiej. Wyglądałoby na to, że znowu ktoś postanowił chronić dom przed następstwami odgrywania *Mazurka*.

Wilhelm Brisz nie był w stanie dopatrzeć się śladów pierwotnego usytuowania sztyftów. Nie pozostało nic innego jak zrekonstruować obie melodie od nowa – hejnał krakowski i *Mazurek*. I tak po długiej, rok trwającej naprawie, w roku 1979 zegar ożył, zaczął grać, oczywiście co chwila rozstrajać się i wówczas niemiłosiernie fałszować. Postawiono go w Stubie Communis, gdzie stał się dużą atrakcją dla zwiedzających. Rok później Jerzy Kowalczyk, znakomity konserwator starych instrumentów w Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, zajął się jeszcze raz sztyftami na walcu.



TARCZA Z INCIPITAMI ZEGARA F. BELLAIRA

Ponownie przełożył sztyfty i od tego czasu melodia biegnie wielogłosowo.



Chwila, w której zegar ponownie się „zmaterializował”, stworzyła okazję do bliższego przyjrzenia mu się. Może jego konstrukcja wyjaśni zagadkę jego losów?

Mosiężna tarcza zegarowa ma nie jeden, ale dwa kręgi. Większy, u dołu, z podziałką godzin, minut i sekund oraz z kalendarzem. Nad nim drugi, mniejszy, którego obwód dzieli się na osiem równych odcinków. W każdym z nich widoczne są tak zwane incipity, czyli pierwsze słowa pieśni, będące zwykle ich tytułami. Wszystkie w języku niemieckim. W środku drugiego, mniejszego kręgu wskazówka, która kiedyś przesuwał się równocześnie z obrotem walca, pokazywała, jaką melodię aktualnie zegar wygrywał. Incipity wygrawerowane na obwodzie mniejszej tarczy były zatem oznaczeniami melodii kuranta zapisanych na walcu przez twórcę zegara.

Treść incipitów jest następująca:

1. *Befiel du deine Wege;*
2. *Wer nur den lieben Gott läst;*
3. *Was Gott thut das ist wohlgetan;*
4. *Ich glaub an Gott der gesch;*
5. *Ich bin ja Herr in deiner macht;*
6. *Wie schön leuchtet der Morgen;*
7. *Jesu meine Zuversicht;*
8. *In allen meinen taten.*

Są to incipity pieśni ewangelickich śpiewanych między innymi w Gdańsku, z którego pochodzi zegar Bellaira. Każda z nich była śpiewana na Pomorzu Gdańskim, na Warmii i w Prusach Książęcych także po polsku. Incipity ich w języku polskim brzmią (w kolejności identycznej z poprzednią):

1. *Zdaj na Pana swe drogi* (melodię podaje *Kancyonał to jest Księgi Psalmów i Pieśni Duchownych*, Gdańsk 1706, s. 240, a pełny tekst *Nowo wydany Kancyonał Pruski*, Królewiec 1738, s. 258, nr 260);
2. *Kto się tylko na Boga zdaje* (słowa – *Kancyonał to jest Pieśni Chrześcijańskie*, Toruń 1697, s. 880, nr 557 i *Kancyonał zamykający w sobie pieśni chrześcijańskie*, Brzeg 1747–1753, s. 186, nr 225);
3. *Wszystko dobrze, co Bóg czyni* (tekst – *Wybrany a zupełny kancyonał gdański*, Gdańsk 1737, s. 291);
4. *W Boga swego wszechmogącego* (incipit i melodia – *Kancyonał*, Gdańsk 1646, s. 411–414; nieco inne słowa, np. *Wierzę w Boga Stworzyciela Nieba* w *Kancyonale to jest Księgach Psalmów i Pieśni Duchownych*, Gdańsk 1706, s. 700–701 i w *Kancyonale Gdańskim*, 1803, s. 333, nr 816);
5. *W Twojej Ci ja mocy Panie* (tekst – *Kancyonał to jest Pieśni Chrześcijańskie*, Toruń 1697, s. 849, nr 533; późniejsze brzmienie: *Wszak ja w Twojej mocy Panie*, w: *Wybrany a zupełny kancyonał gdański*, Gdańsk 1737, s. 365);
6. *Ślicznie śmieci gwiazda z rana* (tekst pieśni określonej jako psalm – *Wybrany a zupełny kancyonał gdański*, Gdańsk 1737, s. 202, nr 45);
7. *Jezus moje ufanie najpewniejsze w mym żywocie* (tekst – *Wybrany a zupełny kancyonał gdański*, Gdańsk 1737, s. 82);
8. *W mych wszystkich sprawach Panie* (tekst – *Wybrany a zupełny kancyonał gdański*, Gdańsk 1737, s. 242, nr 299).

Przytoczone zostały tylko incypity w najstarszym polskim brzmieniu. Można znaleźć je też w sporym stosie innych polskich kancjonałów, już późniejszych. Mamy więc do czynienia z incypitami pieśni kościelnych, nie mających nic wspólnego z tańcami i innymi uciechami tego świata. Popularne były one nie tylko w niemieckiej, ale i w polskiej społeczności

protestanckiej, od co najmniej półtora wieku przed skonstrowaniem zegara Bellaira. Ostatecznym już dowodem religijnego charakteru pieśni są ich melodie, które udało się odnaleźć w kancjonałach znajdujących się w posiadaniu bibliotek w Gdańsku i Szczecinie.

Zapisy nutowe muszą rozwiać ostatnią nadzieję na pierwotny zapis *Mazurka* na walcu zegara Bellaira. Gdy zegar ten opuszczał warsztat Bellaira, wygrywał tylko osiem pobożnych pieśni protestanckich, z których żadna nie otarła się nawet o *Mazurka*.



Wróćmy teraz do obu przekazów rodzinnych Pusłowskich, w których jeden punkt jest wspólny. Zegar miał zakupić Wojciech Pusłowski, twórca świetności rodu, poseł na Sejm Czteroletni, marszałek szlachty powiatu słonimskiego¹⁸. Pusłowsky twierdzili, że kupił go razem z innymi meblami, aby godnie przyjąć w swym dworze w Pieskach króla Stanisława Augusta Poniatowskiego podróżującego po Litwie. Kupiłby go zatem przed rokiem 1784. W tym roku bowiem Sejm odbył się w Grodnie i król wówczas odwiedzał po drodze do i z Warszawy znaczne dwory i rezydencje magnackie. Zachował się opis jego podróży oraz pobytu w Nieświeżu u niedawno pogodzonego z królem księcia Karola Radziwiłła Panie Kochanku¹⁹.

Niestety, nie jest znane dokładnie, dzień po dniu, *itinerarium* królewskie. Nikt nie napisał relacji podobnej do dziennika podróży króla trzy lata później do Kaniowa. Sam król zdążył doprowadzić swoje pamiętniki tylko do 1780 roku. Gdy więc brak dowodu bezpośredniego, trzeba posłużyć się

¹⁸ Bliżej *Polski Słownik Biograficzny*, t. XXIX, s. 423–427.

¹⁹ Opis podróży w: *Obraz Polaków i Polski w XVIII w.*, wyd. E. Raczyński, Poznań 1842, t. 16.

dowodami pośrednimi, wskazującymi na fakty, z których dopiero wynika to, co zamierza się zbadać.

Pierwszym z takich dowodów są mapy dawnego województwa nowogródzkiego i całego dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego²⁰. Mapy te wykazują, że Pieski (rosyjska nazwa – Piaski) są położone nad Jeziorem Czarnym, na południe od Słonimia, w odległości około 80 km od tego miasta. Jadącemu na Sejm do Grodna przez Nieśwież królowi Pieski nie były po drodze. Gdyby chciał tam pojechać, musiałby potężnie zboczyć, a nawet kluczyć po Nowogródczyźnie. Inna sprawa z powrotem. Droga biegła już prosto z Grodna, niedaleko Piesków. Bardziej prawdopodobna byłaby więc wizyta królewska po zakończeniu Sejmu.

Drugim dowodem jest zachowany wykaz pod tytułem *Note des presents donnés pendant le voyage de Grodno du 26 avril 1784*²¹. Jest to szczegółowa lista upominków, którymi król obdarowywał szlachtę i magnaterię po drodze, tych, którzy go gościli niemalym zresztą kosztem, urządzali przeróżne festyny, widowiska, przyjęcia w czasie podróży na Sejm i z powrotem. Spis rozdawanych zegarków, tabakier złotych lub złotonych, pierścieni i koliai – wszystkich z pieczętami wykonanymi wizerunkami Najjaśniejszego Pana – jest zarazem swoistym świadectwem podróży królewskiej.

Podarki w drodze do Grodna sypały się zatem w Białowieży, Szczerszowie, Kobryniu, Korsuniu, Hutorze, Duboju, Pińsku, Pokoście, Telekanach, Kossowie, Różanej, Słonimiu, Myszu, Snowiu, Nieświeżu, Szczorszach, Bilicach, Szczuczynie i Grodnie. W drodze powrotnej natomiast w Białymstoku, Bylsku i Węgrowie. Król rewanżował się za gościnę i uprzejmości, zjednywał sobie potrzebnych mu szlachciców kosztownościami, które urzędnicy kamery królewskiej wyce-

²⁰ *Carte de la Pologne divisée par provinces et palatinats*, par J.A.B. Rizzi Zannoni, 1772, karta nr 10 (BJ) i *Wojenno-topograficzeskaja karta Grodnieńskoj Guberni*, wyd. Petersburg 1886, Rjad XVIII, list 4 (BJ).

²¹ AGAD Warszawa (Archiwum Ks. J. Poniatowskiego i M. Tyszkiewiczowej, nr 393).

nili na łączną kwotę 25 028 dukatów. Ani nazwy Piesków, ani nazwiska Pusłowskiego w wykazie nie ma.

Bez ryzyka popełnienia błędu można stwierdzić – król Piesków nie odwiedził, zegara Bellaira nie oglądał. Jeżeli w ogóle zegar był tam w tym czasie. Nie do pomyślenia byłaby wizyta króla u Wojciecha Pusłowskiego bez jej śladu w spisie prezentów. Król za gościnę zawsze odwzajemniał się szerokim gestem. Niestety, zbyt szerokim jak na możliwości Rzeczypospolitej i zasługi rodaków.

To, że król nie zajechał do Piesków, nie znaczy, że Pusłowski nie liczył się z możliwością wizyty. Mógł on kupić zegar wcześniej z tą myślą. A czasu na zakup było sporo, gdyż Sejm był zwołany 20 maja, a sejmiki odbyły się 16 sierpnia 1783 roku. Jest to jednak tylko „gdybanie” nie mające w faktach żadnego poparcia.



Poza dyskusją jest to, że przed rokiem 1939 zegar wygrywał hejnał krakowski i *Mazurka Dąbrowskiego*. Jeżeli możliwość wgrania w zegar melodii *Mazurka* na dalekiej Litwie jest do pomyślenia, to nie do wiary jest wpisanie tamże na walec melodii hejnału krakowskiego. Drugą melodią byłaby jakaś miła uchu szlachcica kresowego. Gdzie Litwa, a gdzie Kraków? Właśnie obecność hejnału w zegarze Bellaira kompromituje do końca opowieść Pusłowskich. Hejnał w XVIII wieku był prawie zapomniany, zaczęto go grać w Krakowie – dzięki fundacji Tomasza Krzyżanowskiego – ponownie z wieży kościoła Mariackiego dopiero po roku 1810. Na Litwie w tym czasie był nieznany, nie mówiąc już o tym, że poza sferą najśmielszych wyobrażeń było zdobycie na Litwie nut hejnału krakowskiego. Mógł on więc znaleźć się na walcu zegara tylko tam, gdzie jego tradycja jest najbardziej żywa. Takim miejscem byłby zatem tylko Kraków. Najwcześniej też w połowie



ZYGMUNT PUSŁOWSKI, MAL. O. BOZNAŃSKA,
OLEJ, KARTON, 1912 R., MUZEUM UJ

XIX wieku ktoś mógł zastąpić pobożne pieśni protestanckie dwoma patriotycznymi melodiami.

Na tej ostatniej konstatacji skończyły się ustalenia, do których doszedł piszący te słowa w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku. Później czasu zabrakło na dalsze drążenie tej kwestii. Poza tym brak dostępu do jakichkolwiek dokumentów w archiwum rodzinnym Pusłowskich uniemożliwił wyjście poza sferę wątpliwości, bez względu na to, jak były one poważne. Wiadomo dobrze, że powstawaniu zbiorów w XIX wieku musiało towarzyszyć gromadzenie dokumentów. Niestety, całe archiwum rodzinne Pusłowskich

znalazło się w posiadaniu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Karol Estreicher junior obrażony na Uniwersytet Jagielloński, a szczególnie na wszystkich historyków sztuki, skorzystał z tego, że od wielu, wielu lat był prezesem Towarzystwa. Po cichu wywiózł archiwum do dworku Matejki w Krzesławicach, pozostającego w zarządzie Towarzystwa. Zamknął je tam na wszystkie możliwe zamki i zakazał do niego dostępu komukolwiek. Dopiero po śmierci Estreichera w 1984 roku zaczęło się stopniowe udostępnianie archiwum. Papiery najpierw znalazły się w Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, a potem w Bibliotece Jagiellońskiej i tam w połowie lat dziewięćdziesiątych natrafiono na dokument, który sprawę ostatecznie zamknął.

Jest to kwit wystawiony przez niejakiego M. Landsteina, antykwariusza, na kwotę 200 rubli w srebrze za sprzedany Zygmunтови Pusłowskiemu grający zegar gdański. Kwit pochodzi z lat siedemdziesiątych XIX wieku²². W zbiorach Zygmunta Pusłowskiego, odziedziczonych przez Ksawerego, a dziś w dużej części należących do Uniwersytetu Jagiellońskiego, znajdował się tylko ten jeden gdański zegar kulantowy. Legenda patriotycznego zegara, pierwszej notacji melodii Mazurka, dramatycznych losów przedmiotu, tym razem już rozwiązała się ostatecznie.

Wymyślił ją prawdopodobnie sam nabywca zegara. Zegar znalazł się w Krakowie, w czasie autonomii galicyjskiej, gdy utrzymane w granicach lojalizmu demonstrowanie uczuć patriotycznych nie budziło żadnego niebezpieczeństwa. Skoro zegar był w Krakowie, to siłą rzeczy narzucała się sposobność wymiany incipitów protestanckich na melodie chętnie słuchane. Tajemnicą wziętą do grobu przez hrabiego Zygmunta Pusłowskiego pozostanie na zawsze nazwisko zegarmistrza,

²² Biblioteka Jagiellońska w Krakowie, Dział Rękopisów, archiwum Pusłowskich. Por. też poz. 103 katalogu wystawy „Xawery Pusłowski – czas nie stracony”, MUJ, Kraków 1998.

który dokonał stosownej operacji na walcu zegara. Gdy zegar już grał, co trzeba, otwarta była furtka do legendy.

Pusłowski należał więc do wcale dużej grupy kolekcjonerów, którzy dopisując przeróżne historie do posiadanych przedmiotów, tworzyli i tworzą urokliwe legendy. Potem niejeden z takich przedmiotów trafia do zbiorów muzealnych. Legenda wówczas rozchodzi się coraz dalej, utrwala się i staje się pułapką dla nieostrożnych badaczy.

UNIWERSYTET

W SMUDZE

HOLOKAUSTU





*KETER TORA, CZYLI KORONA NA TORĘ,
WIEDŃ(?), 4. ĆW. XIX W., MUZEUM UJ*



dy w latach sześćdziesiątych XX wieku Karol Estreicher urządził sejf w Skarbcu Collegium Maius, wpadł na jeden ze swych genialnych pomysłów. Na najwyższej półce sejfu ustawił koronę, która kiedyś zdobiła tubę chroniącą *sefer torę*, zwój pergaminowy, na którym jest spisany *Pięcioksiąg Mojżesza*, czyli po hebrajsku *Chumasz*, a po grecku *Pentateuchos*, inaczej jeszcze mówiąc – pierwsze pięć ksiąg Starego Testamentu. Niżej, dwa skrzyżowane berła rektorskie. Jedno z około 1405 roku, tradycyjnie łączone z królową Jadwigą. Drugie, o 50 lat późniejsze, z roku 1453, kiedy to Zbigniew Oleśnicki został kardynałem, zapisane uniwersytetowi w jego testamencie. Oba wieńczone koronami, gotyckie, zaliczane do najstarszych berel uniwersyteckich. Tak zestawione ze sobą trzy zabytki równocześnie tworzą kompozycję będącą niczym innym jak herbem Uniwersytetu Jagiellońskiego: skrzyżowane berła, a nad nimi korona, wszystko na tle niebieskim. Takie też zresztą jest aksamitne obicie sejfu.

Nikt nie wie i już chyba nigdy się nie dowie, z której synagogi korona pochodzi. Niemcy skrupulatnie, z dziką premedytacją zniszczyli archiwa kahałów i synagog. Opowiadał mi Karol Estreicher, że znalazł ją w Skarbcu Rzeszy w czasie akcji rewindykacyjnej w latach 1945–1946. Miała do niej być doczepiona karteczka z krótkim napisem „Aus Polen”. Czy tak rzeczywiście było? Bezpośrednio po wojnie nie przywiązywano zbyt wielkiej wagi do pieczołowitej dokumentacji działalności rewindykacyjnej, a ta, którą sporządzono, dzieliła

los papierów przesuwanych w Warszawie przez dziesiątki lat z jednego miejsca na drugie. Fantazja zaś Estreichera dawała znać nieraz o sobie nie wówczas, gdy coś wspominał tak sobie, jakby od niechcenia, ale gdy zabierał się do opowiadania z zamiarem tworzenia trwałego obrazu w pamięci słuchacza.

Korona budzi duże zaciekawienie. Kto wie zresztą, czy nie większe niż berła. Kiedyś uważano, że pochodzi z XVIII wieku. Dziś – po odczytaniu puncy – panuje przekonanie, że powstała w Wiedniu około 1900 roku. Nie jest ona ani szczególnym okazem złotnictwa, ani też nie budzi respektu omszałością. Wśród tych nielicznych, które szczęśliwie zachowały się po spustoszeniach nazistowskich, inne są znacznie bardziej okazałe. A mimo to właśnie ta zwraca na siebie uwagę. Ci, którzy nie są obeznani ze sztuką judaistyczną, pytają najczęściej – po jakim władcy ta korona. Bardzo nieliczni jedynie starają się dociec, skąd się wzięła korona żydowska w Collegium Maius. Za każdym razem przewodnik wyjaśnia, mniej lub bardziej szczegółowo. Wówczas mogłoby, powtarzam – mogłoby paść pytanie, jeżeli taka pamiątka żydowska znajduje się w muzeum uniwersyteckim i została wyeksponowana na tak znaczącym miejscu, to jaki był dawniej udział studentów i uczonych pochodzenia żydowskiego w życiu uniwersytetu krakowskiego? Pytanie to jednak z reguły nie pada. Chyba głównie dlatego, że wir oprowadzania wciąga w dalszy ciąg ekspozycji i uwaga kieruje się w inną stronę.



Przez stulecia, od chwili powstania pierwszych uniwersytetów w średniowiecznej Europie, nie było w nich miejsca ani dla uczonych, ani dla studentów pochodzenia żydowskiego. Wszystkie uniwersytety średniowieczne należały do świata chrześcijańskiego i prawie wszystkie pozostawały pod dominacją Kościoła. Dopowiedzmy rzecz do końca – wszystko,

co składało się na istotę średniowiecznego uniwersytetu, było przeciwne judaizmowi. Co więcej, władze miejskie lub władcy lokowali nowo powstające uniwersytety często w dzielnicach zamieszkałych głównie przez Żydów. Nie po to, aby zainicjować koegzystencję uniwersytetu pozostającego pod bezpośrednim zwierzchnictwem Kościoła z gminą żydowską, ale aby stworzyć przeciwwagę lokalną w stosunku do Żydów, a gdy zdarzy się okazja – aby wyprzeć ich z tego miejsca. Studentów bynajmniej nie wychowywano w miłości do Żydów i w duchu tolerancji judaizmu. Animozje, zamieszki, a nawet pogromy nieraz złowrogo iskrzyły na styku świata żydowskiego i uniwersyteckiego.

Tak było na przykład w Pradze, w Wiedniu i w Heidelbergu, tak też stało się w Krakowie. Dajmy sobie spokój ze sporem o to, gdzie król Kazimierz Wielki chciał wybudować siedzibę swojego Studium Generale. Spór nie ma tu znaczenia, gdyż budowla kazimierzowska nigdy nie stanęła. Inaczej rzecz przedstawia się z fundacją królowej Jadwigi i Jagiełły. Król kupił dom wprawdzie nie znajdujący się w rękach żydowskich, ale tkwiący w środku dzielnicy żydowskiej, która rozciągała się między ulicami Szewską, Wiślną i murami miejskimi. Zakupiony dom Pęcherza z Rzeszotar stał przy samej *platea Judeorum*, czyli ulicy Żydowskiej, dzisiejszej ulicy św. Anny. Potem poszły krok za krokiem następne zakupy sąsiednich kamienic w zamiarze rozbudowy Collegium Maius i budowy Collegium Minus oraz burs dla studentów. Od 1400 roku rozpoczęło się zatem stopniowe wypieranie Żydów z ich dzielnicy. To nie był splot przypadków. Mamy tu do czynienia z realizacją określonej polityki, w której chrześcijańskiej społeczności uniwersyteckiej przypadła rola często bezwiednego czynnika przyczyniającego się do dejudeizacji stolicy państwa.

W XV stuleciu widoczne są trzy fale konfliktów części ludności chrześcijańskiej, przede wszystkim pospółstwa, z miesz-

kańcami dzielnicy żydowskiej, nie licząc wielu pomniejszych zająć antyżydowskich. Silne zamieszki wybuchały w latach 1407, 1453 i 1494. Płonęły domy, rabowano majątek żydowski, padali zabici. Zamożni Żydzi w popłochu opuszczali domy, przed ucieczką chowali kosztowności i pieniądze w skrytkach. Niektórym nie było dane je odzyskać. W roku 1494 król Jan Olbracht w końcu wydaje dramatyczną dla Żydów decyzję. Mają niezwłocznie opuścić Kraków i osiedlić się w sąsiednim mieście Kazimierzu¹. Po latach, w czasie kolejnych prac przy rozbudowie Collegium Maius, gdy będzie się adaptować następne domy po pożarze w 1494 roku, aż sześciokrotnie – ostatni raz w 1523 roku – zostaną znalezione żydowskie skarby. Skorzystają z nich profesorowie i sam uniwersytet, bo pomogą w finansowaniu budowy. Obłowią się murarze, którzy je znajdują, jeszcze bardziej zaś kanclerz uniwersytetu kardynał Fryderyk Jagiellończyk, który zatrzyma dla siebie znakomitą część pierwszego skarbu, najbardziej okazałego². O dawnych właścicielach oczywiście nikt nie wspomni.



Dopiero w pierwszej połowie XVIII wieku pojawiają się w krakowskiej uczelni pierwsi studenci pochodzenia żydowskiego. W *Album Studiosorum* określano ich jako „neofitów”. Byli to Antoni Majowski (1721), Stefan Słomnicki (1724), Franciszek Samuel Przystawski (1725) i Wojciech Wibrański (1751)³. Nie byli jeszcze to frankiści, a więc ci Żydzi, którzy w roku 1759 i latach następnych poszli za Jakubem Frankiem, późniejszym Józefem baronem von Dobruckim

¹ M. Bałaban, *Dzieje Żydów w Krakowie i na Kazimierzu (1304–1868)*, Kraków 1912, s. 39–45; J. Wyrozumski, *Dzieje Krakowa: Kraków do schyłku wieków średnich*, t. 1, Kraków 1992, s. 323–330 i tam cyt. lit.

² K. Estreicher jun., *Collegium Maius. Dzieje gmachu*, UJ, Kraków 1968, s. 96–99.

³ E. Rostworowski, w: *Dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1364–1764*, red. K. Lep-szy, Kraków 1964, s. 376.

i przeszli na katolicyzm, zmieniając także nazwiska na polskie. Na tych przyjdzie jeszcze czas później.

Uczeni żydowskiego pochodzenia wejdą w skład profesury Uniwersytetu Jagiellońskiego dopiero w XIX wieku, wówczas gdy procesy asymilacyjne wśród ludności żydowskiej przestaną być zjawiskami sporadycznymi. Zbiegnie się z tym równoczesne otwieranie się uczelni na coraz dalej idące przemiany społeczne w ówczesnej Galicji. Faktem niezaprzeczalnym jest, że nigdy w składzie profesury ludzie pochodzenia żydowskiego nie stanowili grupy mającej jakiegokolwiek znaczenie statystyczne. Przeciwnie, była ich zaledwie garstka.

Wymienia się więc najczęściej dwóch znakomitych profesorów prawa: Józefa Rosenblatta (1853–1917) i Józefa Reinholda (1884–1928). Obaj nie mieli nigdy szans na to, aby zostać kierownikami Katedry Prawa Karnego. Mimo tytułów profesorskich i poważnych osiągnięć naukowych obaj żyli z adwokatury⁴. Do tej niewielkiej grupy profesorów pochodzenia żydowskiego, czynnych głównie w XIX wieku, a zatem przed wybuchem pierwszej wojny światowej, można jeszcze zaliczyć czterech medyków – Leona Blumenstocka-Halbana (1838–1897), najpierw profesora nadzwyczajnego medycyny sądowej i policji lekarskiej w jedynej do tej pory w dziejach polskich uniwersytetów nadzwyczajnej Katedrze Medycyny Sądowej, nie na Wydziale Lekarskim, ale na Wydziale Prawa, a dopiero później, od 1881 roku, profesora zwyczajnego i kierownika Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej na Wydziale Lekarskim⁵; Adolfa Becka (1863–1942), znakomitego neurofizjologa, który jednak po habilitacji

⁴ M. Patkaniowski, *Dzieje Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego od reformy Kollatajowskiej do końca XIX stulecia*, Zeszyty Naukowe UJ, Kraków 1964, z. LXXIX, Prace Prawn., s. 13, s. 392–394; S. Waltoś, *O dziejach paradoksach w dziejach nauki i nauczania prawa karnego w Uniwersytecie Jagiellońskim*, w: *Ustrój i prawo w przeszłości dalszej i bliższej: Studia historyczne o prawie dedykowane Prof. Stanisławowi Grodzkiemu*, Kraków 2001, s. 469–470.

⁵ J. Widacki, *Stulecie knokonskich detektywów*, Warszawa 1987, s. 42–44.

przeniósł się na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, jednego z założycieli Stowarzyszenia Polaków Wyznania Mojżeszowego⁶; Antoniego Rosnera (1831–1896), profesora dermatologii; jego syna Aleksandra Rosnera (1867–1930)⁷, profesora położnictwa i ginekologii; oraz Władysława Natanson (1864–1937), profesora fizyki, znakomitego humanistę, rektora Uniwersytetu⁸. Natanson zresztą pochodził z rodziny mieszanej i na dobrą sprawę należałoby go pozostawić poza zakresem tego szkicu.

W okresie międzywojennym udawało się tylko sporadycznie osobom pochodzenia żydowskiego wejść do społeczności nauczycieli akademickich – używając współczesnej terminologii – Uniwersytetu Jagiellońskiego. Rysowała się uderzająca w oczy dysproporcja między stosunkowo dużym odsetkiem studentów pochodzenia żydowskiego na niektórych wydziałach, szczególnie na wydziałach Prawa i Lekarskim, sięgającym nawet 30% ogółu studentów, a znikomą obecnością osób tego pochodzenia wśród pracowników naukowych.



W dniu 1 września 1939 roku zespół pracowników naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego składał się z 529 osób⁹, wśród których było 141 profesorów (między nimi 11 profesorów honorowych, 72 profesorów zwyczajnych, 32 nadzwyczajnych oraz 20 profesorów tytularnych). W grupie profesorów zwyczajnych 12 było profesorami Wydziału Teologicznego.

⁶ R. Bilski, *Adolf Beck (1863–1942)*, w: *Złota Księga Wydziału Lekarskiego UJ*, red. J. Grochowski, Kraków 2000, s. 308–316.

⁷ M. Mazanek-Mościcka, R. Klimek, *Aleksander Rosner (1867–1930)*, w: *Złota Księga... op.cit.*, s. 334.

⁸ B. Średniawa, *Władysław Natanson (1864–1937)*, w: *Złota Księga Wydziału Matematyki i Fizyki UJ*, red. B. Szafirski, Kraków 2000, s. 448–458.

⁹ „Skład osobowy UJ na rok 1938/1939”, nakładem UJ, Kraków 1938. J. Dybiec podaje liczbę 537 pracowników naukowych, ale oblicza on inaczej skład osobowy. Nie wymienia w nim profesorów honorowych, a uwzględnia wszystkie osoby prowadzące zajęcia zlecone (*Uniwersytet Jagielloński 1918–1939*, Kraków 2000, s. 115).

Uniwersytet miał także 87 docentów, z których wielu – formalnie należąc do społeczności uniwersyteckiej – faktycznie zatrudnionych było gdzie indziej, tradycyjnie wyczekując zwolnienia się etatu profesorskiego. Dodajmy, że profesorami honorowymi byli profesorowie już emerytowani, którym nadano ten zaszczytny tytuł. Profesorowie nadzwyczajni natomiast to profesorowie z reguły mający tylko częściowe zatrudnienie, również ustawieni w kolejce do katedry oraz tak zwanego głównego wykładu kursowego. Tak więc liczba pracowników posiadających formalnie tak zwane *veniam legendi* (w sumie było ich 248) była znacznie większa od liczby profesorów, w najszerszym tego słowa znaczeniu, faktycznie naukowo i dydaktycznie czynnych w Uniwersytecie Jagiellońskim. Aby zamknąć statystyczne wywody, w tym miejscu porównajmy ową przytoczoną liczbę 529 wszystkich pracowników naukowych Uniwersytetu w dniu 1 września 1939 roku z liczbą 3386 wszystkich nauczycieli akademickich, wliczając w nią także pracowników naukowych Collegium Medicum, w dniu 31 grudnia 2003 roku¹⁰, w chwili nadawania ostatecznej formy temu szkicowi. Okazuje się zatem, że Uniwersytet Jagielloński w 1939 roku liczył 6,3 razy mniej pracowników naukowych niż 63 lata później. Mam jednak wrażenie, że znaczenie naukowe i społeczne tej uczelni przed wojną było odwrotnie proporcjonalne do roli, jaką odgrywa Uniwersytet Jagielloński w czasach, w których żyjemy.

Ilu zatem pracowników naukowych pochodzenia żydowskiego w 1939 roku zatrudniał Uniwersytet?

Odpowiedź na to pytanie wcale nie jest łatwa. Szperanie w życiorysach i w aktach personalnych po to, aby ustalić takie pochodzenie, budzi przede wszystkim zupełnie zrozumiałe opory natury etycznej. Gorzkie doświadczenie, za sprawą antysemityzmu we wszystkich jego odcieniach i formach,

¹⁰ Informacja otrzymana z Działu Spraw Osobowych UJ.

powstrzymuje przed zaglądaniem pod podszewkę tożsamości człowieka, przed śledzeniem pochodzenia, które może łatwo sprawić wrażenie dociekań rasowych. Jedynym usprawiedliwieniem może być chęć poznania faktów historycznych, badanie ich z nadzieją, niestety czasem tylko bardzo nikłą, że nie powtórzy się to, co kiedyś było złe i obmierzłe. Nie byle jaką trudność stwarza także metoda ustalania faktów. Akta personalne z okresu międzywojennego są bardzo skąpe, adnotacja o wyznaniu mojżeszowym pojawia się bardzo rzadko, brzmienie zaś nazwiska często może być mylące. Dopiero relacje o losach konkretnej osoby w połączeniu z innymi faktami mogą stanowić podstawę do zaliczenia kogoś do grupy osób pochodzenia żydowskiego.



W 1939 roku w składzie osobowym Uniwersytetu Jagiellońskiego było zaledwie 14 osób pochodzenia żydowskiego:

1. Leon Sternbach (1864–1940), profesor zwyczajny filologii klasycznej w latach 1892–1935, już na emeryturze, obdarzony tytułem profesora honorowego, członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie i Akademii Nauk w Pradze, członek korespondent Instytutu Archeologii w Wiedniu, światowej sławy hellenista i bizantynista, uważany był za najwybitniejszego, obok Karla Krumbachera, bizantynistę na świecie¹¹, doktor *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego.

2. Rafał Taubenschlag (1881–1958), profesor nadzwyczajny prawa rzymskiego w latach 1919–1921, profesor zwyczajny od roku 1921. Członek Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, Akademii Nauk w Bolonii i Turynie, Societé Jean Bodin

¹¹ A. Śródka, P. Szczawiński (red.), *Biogramy uczonych polskich*, cz. I: *Nauki społeczne*, z. 3: P–Z, Polska Akademia Nauk, Ośrodek Informacji Naukowej, Ossolineum 1985, s. 317.

w Brukseli. Dwukrotnie dziekan Wydziału Prawa, autor licznych monografii i artykułów poświęconych problematyce prawa rzymskiego oraz prawa antycznemu w świetle papirusów. Zajmował się również historią prawa polskiego, bardzo często z przekory, na złość Stanisławowi Kutrzebie, z którym pozostawał w nieustannym konflikcie. Słynny postrach studentów kolejnych pierwszych roczników Wydziału Prawa.

3. Józef Feldman (1889–1946), syn słynnego krytyka literackiego, Wilhelma Feldmana, uczeń Władysława Konopczyńskiego. W wieku zaledwie 23 lat uzyskał stopień doktora, w 1927 roku habilitował się – mimo nieskrywanej niechęci Wacława Sobieskiego. Do 1939 roku opublikował 150 prac, głównie poświęconych wiekowi XVII, choć nie stronił od zajmowania się i późniejszymi epokami, zawsze w sposób nowatorski. Od 1937 roku profesor nadzwyczajny historii nowożytnej Uniwersytetu Jagiellońskiego. W roku 1938 ukazało się dzieło jego życia, książka *Bismarck a Polska*, w której polemizował z ówczesną historiografią niemiecką¹².

4. Ferdynand Zweig (1896–1969), doktor praw, od 1928 roku tytularny profesor ekonomii politycznej. Mimo że był od pierwszej chwili znakomitością w swojej dyscyplinie, mimo że cieszył się dużym uznaniem również za granicą, przysłała go osobowość Adama Krzyżanowskiego, kierownika Katedry Ekonomii Politycznej. Zweig był czołowym przedstawicielem tak zwanej Szkoły Krakowskiej, która pozostawała pod wyraźnym wpływem angielskiej ekonomii neoklasycznej. Autor wielu świetnych prac z zakresu ekonomii politycznej, m.in. *The Economics of Consumers Credit* (Londyn, 1932), *Die vier Systeme der National-Ökonomie* (Berlin, 1932), *Economics and Technology* (Londyn, 1936).

5. Alfred Rosenblatt (1880–1947), doktor filozofii, profesor tytularny matematyki, członek korespondent Royale

¹² M. Frančić, *Józef Feldman (1899–1946)*, w: *Złota Księga Wydziału Historycznego UJ*, red. J. Dybiec, Kraków 2000, s. 382.

Societ  des Sciences w Li ge, cz lonek honorowy Stowarzyszenia Geograficznego w Limie w Peru i wielu innych towarzystw naukowych. Syn wspomnianego ju  na wst pie wybitnego profesora prawa karnego. W 1936 roku wyjechał do Peru i tam osiadł a  do śmierci jako profesor uniwersytetu w Limie.

6. Wiktor Rudolf Ormicki (1898–1941), syn Fryderyka Wilhelma Nussbauma i Salomei Ameisen. Rodzice jego przeszli na chrześcijaństwo, ale pozostali przy nazwisku. Dopiero on sam zmienił nazwisko w 1924 roku. Był docentem geografii gospodarczej od roku 1930. Posiadał jednak tylko etat adiunkta, podobnie jak Zweig i Rosenblatt. Był pierwszym uczniem z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który odczuł fizycznie zwierzęca nienawiść hitlerowc w do Źyd w i Polak w. Stało si  to w 1928 roku, w Bytomiu, gdzie zaproszony celem wygłoszenia wykład w został dotkliwie pobity przez nazist w. Autor wielu ksi żek, wsr d nich takich prac jak: *Struktura zawodowa ludnościi rolniczej w Polsce* (Kraków, 1936), *O polski program ludnościiowy* (Warszawa, 1939). Był te  autorem okoł  stu artykuł w, recenzji, esej w itp.

7. Joachim Metallman (1889–1942), od roku 1933 docent filozofii przyrody, maj cy za sob  ukończone studia z zakresu fizyki i chemii. Nie miał etatu w Uniwersytecie Jagiellońskim. Był nauczycielem w IX Gimnazjum w Krakowie. Autor wielu monografii, m.in. *Zasady ekonomii myślenia* (Kraków, 1914), *Elementy determinizmu przyczynowego* (Kraków, 1928).

8. Hilary Lachs (1881–1942 lub 1943), od roku 1920 docent chemii fizycznej i elektrochemii. Głównym jego obszarem badań była chemia koloid w. Jego zwi zki z Uniwersytetem miały charakter wył cznie formalny. Mieszkał bowiem w Warszawie, gdzie był kierownikiem Katedry Chemii Nieorganicznej i Fizycznej Wolnej Wszechnicy Polskiej.

9. Laura Kaufman (1889–1972), od roku 1930 docent zoologii doświadczalnej. W roku 1935 osiadła w Puławach, w tamtejszym Instytucie Rolnictwa, gdzie została kierownikiem Zakładu Biologii Rozwoju.

10. Benzion Katz (1907–1968), od roku 1935 młodszy asystent w Seminarium Filologii Orientalnej, a jeszcze wcześniej, bo od 1929 roku, lektor języka hebrajskiego, który podawał zresztą już wówczas za swój język macierzysty. Uzyskał stopień doktora filozofii w 1929 roku na podstawie pracy *De natura descriptionibus apud Homerum et Quintum Smyrneum*.

11. Zofia Ameisenowa (1897–1967), doktor filozofii w zakresie historii sztuki, zatrudniona jako bibliotekarz w Bibliotece Jagiellońskiej.

12. Maria Einhorn (1915–1998), magister filozofii z zakresu pedagogiki, asystentka w Katedrze Psychologii, której kierownikiem był Stefan Szuman. Wątpliwe jednak jest, czy miała etat na Uniwersytecie. Z pewnością więcej czasu spędzała w rodzinnych Gorlicach, utrzymując się z korepetycji¹³.

13. Józef Birkenfeld (1904–1993), doktor medycyny, starszy asystent w Klinice Chirurgicznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, najpierw pod kierunkiem profesora Maksymiliana Rutkowskiego, a potem profesora Jana Glatzla.

14. Julian Aleksandrowicz (1908–1988), doktor medycyny, od 1933 roku asystent Szpitala św. Łazarza w Krakowie, na Oddziale I u profesora Tadeusza Tempki. W 1934 roku obronił rozprawę doktorską na temat badań bioptycznych szpiku. Cztery lata później wynalazł i opatentował przyrząd do pobierania i konserwowania krwi, dzięki akcji informacyjnej dotyczącej oznaczania grup krwi przyczynił się jeszcze przed wybuchem wojny do usprawnienia pobierania i konserwacji krwi w Wojskowej Służbie Sanitarnej¹⁴.

¹³ J.K. Gierowski, A. Szymusik, *Maria Einhorn-Susulowska - twórczyni polskiej psychologii klinicznej*, „Psychoterapia” 2000, nr 4 (115), s. 83.

¹⁴ A. Skotnicki, *Julian Aleksandrowicz (1908–1988)*, w: *Złota Księga Wydziału Lekarskiego...*, *op.cit.*, s. 614.



Wykaz jest więc bardzo krótki, zawiera jedynie 14 nazwisk. Być może, gdyby pójść śladami plotek i przypuszczeń, znalazłoby się w nim kilka więcej. Takie śledzenie bliskie byłoby poddawaniu czającemu się antysemityzmowi, trąciłoby odkrywaniem Żydów, wyłuskiwaniem ich ze społeczeństwa, z którym chcieli się utożsamić. Żadna z osób wymienionych w tym wykazie nigdy nie negowała swego pochodzenia. Nawet jeżeli niekóra z nich zmieniła nazwisko.

Owe 14 osób stanowiło jedynie 2,64% całego składu pracowników naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Gdyby zestawić ze sobą tylko osoby pochodzenia żydowskiego, które posiadały *veniam legendi*, a więc mające uprawnienia co najmniej równe dzisiejszemu doktorowi habilitowanemu – takich osób było 9, z wszystkimi profesorami Uniwersytetu – było ich 207, po wyłączeniu z tej grupy, ze względów oczywistych, profesorów teologii, to okaże się, że proporcje nieco się zwiększają, osiągając 4,34%.

Warto tu dla jasności obrazu przypomnieć, że obliczano, iż ludność żydowska stanowiła około 10% (3 474 000) całej ludności Drugiej Rzeczypospolitej. I jak już była mowa, odsetek studentów pochodzenia żydowskiego na niektórych wydziałach Uniwersytetu Jagiellońskiego był relatywnie wysoki, sięgał 30% studentów. Porównania tych liczb pozwalają na ostrożne stwierdzenie, że udział liczbowy osób pochodzenia żydowskiego w składzie osobowym pracowników naukowych Uniwersytetu pozostawał – w przeciwieństwie do studentów żydowskich – w istotnej statystycznie dysproporcji do ogólnej struktury społeczeństwa w Polsce przed rokiem 1939. Nie będzie miało nic wspólnego z przesadą przypuszczenie, że ludzi pochodzenia żydowskiego przyjmowano do pracy w Uniwersytecie Jagiellońskim bardzo wstrzemięźliwie.

Szansę ich pełnej kariery uniwersyteckiej były także mniejsze. Liczyły się nie tylko kwalifikacje naukowe i etyczne. Ostatnie badania nad dziejami Uniwersytetu w dwudziestolecium międzywojennym wykazały, że wpływy endeckie – choć nie dominujące w profesurze – były znacząco silne¹⁵.



Jakie były koleje losu owej małej grupki ludzi w czasie Holokaustu?

Szansę przeżycia tych, którzy wpadli w łapy nazistów, były minimalne. Świadczą o tym losy Leona Sternbacha, Joachima Metallmana i Wiktora Ormickiego. Znaleźli się wśród 186



ARESztOWANIE PROFESORÓW UJ W DNIU 6 XI 1939 R.,
MAL. M. WĄTORSKI, OLEJ, PŁÓTNO, 1958 R., MUZEUM UJ

¹⁵ J. Dybiec, *Uniwersytet Jagielloński 1918–1939*, Kraków 2000, s. 144–158.



LEON STERNBACH (1864–1940),
ARCHIWUM UJ

profesorów i innych pracowników naukowych Uniwersytetu i Akademii Górniczej, którzy przybyli 6 listopada 1939 roku do Collegium Novum na podstępne zaproszenie obersturmbannführera SS Müllera, aby wysłuchać wykładu na temat stosunku państwa niemieckiego do nauki. Fakty są zbyt znane, żeby wdawać się w szczegóły. Tylko gwoli przypomnienia – Niemcy prawie wszystkich aresztowali, przewieźli do Wrocławia, a następnie zesłali do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.

Już na stacji kolejowej w Sachsenhausen rozpoczęła się droga na Golgotę Leona Sternbacha. Niemcy wielokrotnie go skopali, spoliczkowali, obrzucili wszelkimi możliwymi wyzwiskami. Zmusili do biegu ze stacji aż do obozu. Do państwa się nad nim zachęcał niewątpliwie jego wygląd semicki, podeszły wiek – miał wówczas 75 lat – i rzucający się w oczy marny stan zdrowia. Zaawansowana cukrzyca, na którą cierpiał, dawała mu się już mocno w znaki.

W obozie oddzielono natychmiast Sternbacha i Metallmana od grupy profesorów krakowskich i umieszczono ich w barakach żydowskich. Niestety, nie dane było im skorzystać ze zwolnienia z obozu w dniu 8 lutego 1940 roku tych profesorów, którzy mieli ukończone 40 lat. Zamęczony Sternbach umiera w dwa tygodnie później, 22 lutego 1940 roku. W Krakowie pozostawił żonę Leontynę i córkę Helenę, po mężu Odrzywolską. Szczęśliwie udało się im przeżyć okupację w Krakowie. Żona zmarła w 1946 roku.

Tragedia Sternbacha była też udziałem Metallmana. Znosił okrucieństwa najpierw w Sachsenhausen, potem w Buchenwaldzie (mówi się też o Mauthausen), dokąd przetransportowano go jeszcze w tym samym roku. Ginie tam, w nieznanych bliżej okolicznościach, w roku 1942. Bezskuteczne były starania, aby go uratować. Nie pomogło nawet zaproszenie go do Meksyku wysłane do władz niemieckich przez tamtejszych uczonych. Metallman nawet nigdy nie dowiedział się o takiej próbie ratunku. Interweniował



JOACHIM METALLMAN
(1889–1942), ZBIORY PRYWATNE

w jego sprawie także Heinrich Scholz, profesor logiki w Münster, którego władze niemieckie zresztą ostrzegły, że jego kolejna próba obrony Żyda skończy się wydaleniem go z służby w szkolnictwie wyższym¹⁶.

Ormicki był jedynym uczonym z żydowskim rodowodem, który miał szanse przeżycia. Niemcy nie wiedzieli nic o jego pochodzeniu. Był dla nich „aryjczykiem”. Po zwolnieniu z obozu profesorów, którzy mieli ukończone 40 lat, pozostałych – chociaż byli wśród nich i tacy, którzy ukończyli 40 lat i do nich należał Ormicki – przewieziono do Dachau. Tam naziści w pewnym momencie poddali całą grupę badaniom antropologicznym. Jakiemuś esesmanowi nie zgadzały się wyniki tych badań z danymi personalnymi Ormickiego. Według relacji zgodnie powtarzanej przez wszystkich krakowian, którzy w tym czasie byli w Dachau,

¹⁶ J. Wolcński, *Joachim Metallman (1889–1942)*, w: *Złota Księga Wydziału Filozoficznego UJ*, red. J. Miklaszewska i J. Mizera, Kraków 2000, s. 228.



WIKTOR ORMICKI (1898–1941),
ARCHIWUM UJ

Ormicki na pytanie, czy nie miał przypadkiem jakichś nie-słowiańskich przodków, miał odpowiedzieć niefrasobliwie, że jego rodzicami byli Żydzi. Takie przyznanie równało się wyrokowi śmierci.

To jest jednak tylko relacja z drugiej ręki. Być może prawda była nieco inna. Przecież wszystkie akta personalne Uniwersytetu w tym czasie znajdowały się w rękach niemieckich. Jeżeli nawet doszło do takiej rozmowy, to Ormicki mógł usłyszeć groźbę, że jego informacja zostanie niezwłocznie sprawdzona w Krakowie. A może Niemcy w Dachau już otrzymali taką wiadomość? A poza tym dlaczego Ormickiego wyłączono z grupy profesorów przewidzianych do zwolnienia, mimo że miał ukończone 40 lat? Nie jest więc wykluczone, że to nie przypadek i nie nieostrożność Ormickiego przesądziły o jego dalszym losie.

Ormickiego wcielono do karnego komanda żydowskiego, po czym wywieziono wkrótce do Gusen, filii obozu w Mauthausen. Ci, którzy przeżyli, opowiadali, że Ormicki nie tracił ducha, uczestniczył w organizowaniu pogadanek naukowych i opiekował się chorym profesorem Jerzym Smoleńskim. Wycieńczonego objęła selekcja. Zamordowano go 17 września 1941 roku. Rodzina jego, żona Maria z Czałczyńskich oraz synowie Andrzej i Jacek, szczęśliwie przeżyła wojnę w Krakowie¹⁷.

¹⁷ A. Jelonek, *Wiktor Ormicki (1898–1941)*, w: *Złota Księga Wydziału Biologii i Nauki o Ziemi UJ*, Kraków 2000, s. 369.

Czwartą osobą, która pochłonął Holocaust, był Hilary Lachs. Zamknięty w getcie warszawskim zginął w lipcu 1942 roku w czasie „wielkiej akcji” względnie nieco później, w 1943 roku.

Wszyscy inni ocalili, choć cena przeżycia bywała tak różna, jak rozległa jest skala dramatu uchodzenia z życiem. Pięciu osobom z tej listy przypadło ukrywać się, żyć pod cudzym nazwiskiem, zmieniać miejsce pobytu, nie wiedząc, skąd i kiedy nadejdzie zagłada. Po wyzwoleniu towarzyszyć im

będzie poczucie winy, że przeżyli, gdy innym to się nie udało.

Profesor Rafał Taubenschlag. W momencie agresji hitlerowskiej znajdował się we Francji. Tam też w grudniu 1939 roku podjął wykłady w organizującym się Uniwersytecie Polskim. Po upadku Francji przedostał się w dramatycznych okolicznościach do Lizbony, skąd udało mu się dzięki pomocy profesora Williama L. Westermanna, doradcy prezydenta Roosevelta do spraw Europy Wschodniej, wyjechać do Stanów Zjednoczonych, gdzie wykładał na kilku uniwersytetach. Wrócił do Polski w 1946 roku. Nie powrócił jednak na Uniwersytet Jagielloński, mimo że w Krakowie otrzymał urlop do 30 września 1947 roku. Przyjął stanowisko profesora prawa antycznego na Uniwersytecie Warszawskim. W Warszawie założył też i redagował aż do śmierci „Journal of Juristic Papyrology”. Ociemniał pod koniec życia, zmarł w 1958 roku, najprawdopodobniej popełniając samobójstwo. Był to niewątpliwie jeden z najwybitniejszych



HILARY LACHS (1881–1943?),
MUZEUM MARII SKŁODOWSKIEJ-
CURIE W WARSZAWIE

humanistów i prawników w dwudziestowiecznym Uniwersytecie Jagiellońskim¹⁸.

Profesor Józef Feldman. Natychmiast po wkroczeniu Niemców do Krakowa zaczęło go poszukiwać gestapo. Ale Feldman na szczęście znajdował się już w tym czasie we Lwowie. Okres okupacji sowieckiej przeżył, pracując w Ossolineum. W lipcu 1941 roku, po zdobyciu Lwowa przez Niemców, ukrył się w klasztorze Franciszkanów w Hanaczowie pod Lwowem, a następnie w klasztorze Urszulanek w samym Lwowie. Gdy otrzymał fałszywe dokumenty na nazwisko Józef Sokołowski, ukrywał się jeszcze do września we Lwowie, po czym wyjechał do Warszawy. Nie bacząc na niebezpieczeństwo dekonspiracji, wykladał pod fałszywym nazwiskiem na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. W czasie powstania pełnił służbę w Wojskowej Straży Ochrony Powstania i ogłaszał artykuły w prasie powstańczej. Po upadku powstania został wywieziony do obozu przejściowego w Pruszkowie, skąd wyprowadziła go nieznaną mu pielęgniarka, której zdążył się zwierzyć, że jest profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i że grozi mu śmierć w razie zdekonspirowania. Dzięki tej kobiecie mógł dotrzeć do klasztoru Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej, gdzie znalazł schronienie. Po wyzwoleniu Krakowa rozpoczął wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale przygotowywał się do przeniesienia na Uniwersytet Warszawski, który zaproponował mu katedrę. Niestety, przeżycia wojenne wywołały ciężką chorobę serca, w wyniku której zmarł w 1946 roku. W ostatnim artykule, opublikowanym dopiero w 1986 roku (!), apelował o polski romantyzm, zbudowany jednak na gruncie realizmu, a więc taki, co nie prowadzi „od klęski do klęski”¹⁹.

¹⁸ J. Sondel, *Rafał Taubenschlag (1881–1958)*, w: *Złota Księga Wydziału Prawa i Administracji UJ*, Kraków 2000, s. 299–304.

¹⁹ M. Frančić, *Józef Feldman (1899–1946)*, w: *Złota Księga Wydziału Historycznego...*, op.cit., s. 384.

Profesor Ferdynand Zweig. Lata wojny spędził w Anglii. Wykładał ekonomię polityczną na Polskim Wydziale Prawa uniwersytetu w Oksfordzie. Jego książka *Poland between Two Wars*, opublikowana w Londynie (1946), przyniosła mu duże uznanie w kręgach naukowych. Pozostał w Anglii do końca życia mimo wielokrotnych nalegań rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, aby objął Katedrę Ekonomii Politycznej.

Profesor Alfred Rosenblatt. Wojnę przeżył, jak już była mowa, w Limie.

Doktor Laura Kaufman. Pierwsze 2 lata i 3 miesiące okupacji przeżyła we względnym spokoju w Instytucie w Puławach. Musiała stamtąd uciec z chwilą wprowadzenia kenkart, niemieckich dowodów tożsamości Polaków w Generalnym Gubernatorstwie. Najpierw schroniła się w majątku ziemskim w Julinie koło Łochowa, potem w Jackowicach koło Zdun, a następnie w wielu innych miejscach, z których często musiała uciekać w środku nocy, gdy nadchodziła wiadomość, że Niemcy są już na jej tropie. Końca okupacji doznała w Głanowie koło Wolbromia, w majątku Novaków. Już w roku 1945 została powołana na stanowisko profesora zwyczajnego Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W okresie najbardziej ostrego stalinizmu nie powstrzymała się przed wykładaniem podstaw genetyki opartej na mendelizmie i publicznym przeciwstawieniem się szarlatanerii naukowej Łysenki. Zmarła w 1972 roku.

Doktor Benzion Katz. W Tel Awiwie znalazł się już z początkiem 1940 roku. Wkrótce zaangażował się w budowę struktur organizacyjnych społeczeństwa żydowskiego. Został m.in. dyrektorem Wydziału Młodzieżowego Agencji Żydowskiej w Jerozolimie. Od roku 1956 był profesorem literatury klasycznej Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, pełnił także funkcję rektora tego Uniwersytetu. Zmarł w 1968 roku.

Doktor Zofia Ameisenowa. 4 września 1939 roku opuściła Kraków, jak tysiące innych uchodząc przed wojskami

niemieckimi. Dotarła do Łucka, gdzie spędziła kilka tygodni. Stamtąd wyjechała do Lwowa, a od 4 kwietnia 1940 roku zamieszkała w Kosowie. Tam przeżyła z mężem koszmar getta, z którego oboje uciekli pod koniec 1942 roku, uchodząc śmierci w ostatniej chwili. Udało się im przedostać do Rumunii i dotrzeć do Bukaresztu, w którym dotrwali do roku 1945. Wrócili wówczas do Polski. Doktor Ameisenowa podjęła ponownie pracę w Bibliotece Jagiellońskiej jako kustosz zbiorów graficznych. W 1955 roku uzyskała tytuł profesora. Cieszyła się sławą jednego z najlepszych historyków sztuki w Polsce. Niektóre z jej prac, na przykład o autorstwie statuetek z brązu zwanych *écorné* lub o autorstwie globusa Marcina Bylicy, zostały uznane za wzorcowe w literaturze światowej – wszystkie te przedmioty znajdują się obecnie w Collegium Maius. Zmarła w 1967 roku. Wszystko co miała, zapisała Uniwersytetowi Jagiellońskiemu.

Doktor Maria Einhorn. Po wojnie profesor psychologii klinicznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wojnę przeżyła we Lwowie, zawsze pod tym samym adresem. Zawdzięczała to swej przyjaciółce Marii Reczek, siostrze działacza PPS Włodzimierza Reczka, po wojnie m.in. prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego i przewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki, która przekazała jej dokumenty z okresu przedmałżeńskiego, na swoje panięńskie nazwisko – Maria Susułowska. Prawdziwa Maria Susułowska przebywała w tym czasie w Rzymie. Tak więc żyła nadal pod tym nazwiskiem, pod baczny okiem sąsiadów, którzy dobrze znali jej pochodzenie. Nikt jednak nie zdradził tej tajemnicy. Mimo to w pewnej chwili znalazła się na krawędzi nieszczęścia. Pod koniec okupacji niemieckiej w mieszkaniu zjawił się ukraiński policjant, który chciał zabrać ją na gestapo. Twierdził, że wie, iż jest Żydówką. Uratował ją tylko szczęśliwy przypadek.

Nazwisko, które pomogło jej wyjść z życiem z wojny, zachowała na zawsze, czasem, zwłaszcza w ostatnich latach

swego życia posługiwała się podwójnym nazwiskiem: Einhorn-Susułowska. W Krakowie znalazła się ponownie już w 1945 roku i z dniem 1 października tego roku rozpoczęła pracę jako asystentka w Katedrze Pedagogiki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Cztery lata później uzyskała doktorat filozofii z zakresu pedagogiki, a habilitowała się w 1960 roku. Od 1961 roku aż do przejścia na emeryturę była kierownikiem Zakładu Psychologii Klinicznej Katedry Psychologii, później Instytutu. Niewątpliwie była twórczynią polskiej psychologii klinicznej. Stworzyła krakowską szkołę psychologii klinicznej i pozostawiła po sobie pamięć człowieka wrażliwego na cudze cierpienia, przyjaznego, o szerokich horyzontach i rozległej wiedzy, z której potrafiła korzystać w sposób nowatorski²⁰. Przeżycia okupacyjne wryły się na trwałe w jej psychikę. We wnikliwym eseju, opublikowanym w 50. rocznicę napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę poświęconym problemom psychologicznym Żydów ukrywających się na aryjskich papierach, pisała: „Konieczność codziennego przez miesiące i lata wcielania się w rolę innego człowieka nie mogła pozostawać bez wpływu na czynnik niezwykle psychologicznie ważny, a mianowicie poczucie tożsamości, niezbędne dla zachowania odrębności, ciągłości i wewnętrznej spójności «ja realnego», będącej jednym z warunków zdrowia psychicznego. W przypadku przejścia na aryjskie papiery mamy, jak sądzę, prawo mówić o szczególnego rodzaju kryzysie tożsamości, powstającym, gdy człowiek pod groźbą utraty życia stara się być kimś innym niż był dotychczas”²¹.

²⁰ D. Kubacka-Jasiecka, P. Słowik, *Profesor Marii Susułowskiej psychologia chorego somatycznie*, w: *Zmagając się z chorobą nowotworową*, red. D. Kubacka-Jasiecka, W. Łosiak, Kraków 1999; J.K. Gierowski, A. Szymusik, *Maria Einhorn-Susułowska...*, *op.cit.*, s. 87–88; W. Łosiak, *Maria Einhorn-Susułowska (1915–1998)*, w: *Złota Księga Wydziału Filozoficznego UJ*, s. 412–415.

²¹ M. Susułowska, *Problemy psychologiczne Żydów ukrywających się w czasie okupacji niemieckiej w Polsce na tzn. aryjskich papierach*, w: *Przetwora przeszłości wskazaniem dla Europy pokoju: Międzynarodowe Sympozjum w 50 rocznicę wybuchu II wojny światowej*, Kraków 1989, s. 65–66.

Doktor Józef Birkenfeld. Zmobilizowany w roku 1939 – był porucznikiem rezerwy Wojska Polskiego – służył jako chirurg na froncie, a po zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną pracował w tamtejszym Szpitalu Wojennym nr 604. Uszedł z Lwowa natychmiast po wkroczeniu Niemców w lipcu 1941 roku. Ukrył się w Warszawie pod nazwiskiem Bogusz. Było to nazwisko pielęgniarki, z którą pozostawał w bliskich stosunkach jeszcze przed rokiem 1939. Dostarczyła mu metrykę na to nazwisko. Zamieszkał z nią, a następnie ożenił się. W Warszawie prowadził przychodnię chirurgiczną i pracował na oddziale neurochirurgii Szpitala im. Dzieciątka Jezus. Podczas powstania był szefem szpitala powstańczego w dzielnicy Ochota. Po kapitulacji pracował w szpitalu w Ursusie pod Warszawą. W marcu 1945 roku Boguszowie powrócili do Krakowa. W roku 1948 Bogusz habilitował się w zakresie chirurgii i w roku następnym został kierownikiem I Kliniki Chirurgicznej, tzw. Białej Chirurgii (nazwa od koloru ścian budynku kliniki), którą kierował aż do przejścia na emeryturę w 1974 roku. Profesor Bogusz – po wojnie pozostał przy okupacyjnym nazwisku – był jedną z najbardziej znaczących postaci krakowskiego świata lekarskiego. Zmarł w 1993 roku.

Doktor Julian Aleksandrowicz. W czasie kampanii wrześniowej walczył w stopniu podporucznika rezerwy w 72. Pułku Piechoty. Wzięty został do niewoli przez Niemców, ale zdołał w 1940 roku szczęśliwie uciec do Krakowa, po to chyba, aby znaleźć się w getcie na Podgórzu. Wrócił wówczas tam do zawodu. Za jego sprawą powstał jeden z trzech szpitali w getcie. Gdy rok później odbywała się likwidacja getta, zdążył z żoną i synem przedostać się kanałami na stronę „aryjską”. Po różnych dramatycznych kolejach losu został wcielony wiosną 1944 roku do Korpusu „Jodła” Armii Krajowej w Kielecczyźnie i na Ziemi Radomskiej. Pod pseudonimem „Dr Twardy” organizował służbę sanitarną oddziałów AK i walczył jako dowódca plutonu. Niezwykłe przygody

wojenne opisał później w świetnie napisanych *Kartkach z dziennika Doktora Twardego*, które cieszyły się wielką poczytnością. Gdy wojna skończyła się, wrócił do Kliniki Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, do swojego mistrza – profesora Tadeusza Tempki. Poświęcił się hematologii, w zakresie której stał się światowej rangi autorytetem. Po habilitacji w 1947 roku, na podstawie rozprawy napisanej w podziemiu, został powołany na stanowisko docenta, wkrótce potem profesora nadzwyczajnego i profesora zwyczajnego. Był jednym z pierwszych, który zwracał uwagę na wpływ chorobotwórczy środowiska, na rolę biopierwiastków w organizmie człowieka²². Wielkiej dobroci i uczynności, gotowości do społecznego działania – tak go zapamiętano w Krakowie. Zmarł w 1988 roku.

Pisząc ten krótki szkic o Julianie Aleksandrowiczu, nie jestem w stanie powstrzymać się od kilku słów bardzo osobistych, mimo że łamią one konwencję tego w założeniu beznamiętnego szkicu. Pamiętam, jak prawie 40 lat temu przyjął mnie niezwykle ciepło w Klinice Hematologicznej przy ulicy Kopernika. Zajął się mną natychmiast. Błyskawiczna diagnoza i natychmiast zaordynowana przez niego bolesna terapia z pewnością uratowała mi życie.

Nie są przesadą słowa, które napisał o nim jeden z jego wybitnych uczniów: „Był człowiekiem, który sercem i umysłem przerastał i wyprzedzał czasy, w których żył”²³.



Pora kończyć. Czas więc na dwie konkluzje. Jak okazuje się, tylko nieco mniej niż jedną trzecią z opisywanych tu osób zamordowali naziści. Byli to ludzie, którzy w zasadzie nie

²² A. Skotnicki, *Julian Aleksandrowicz (1908-1988)*, w: *Złota Księga Wydziału Lekarskiego...*, op.cit., s. 616.

²³ Tamże, s. 617.

mieli szans przeżycia. Wpadli w tryby mechanizmu ludobójczego, który w najwyższym stopniu pozbawiał nadziei uratowania się. Cztery osoby ocalały, bo znalazły się za granicą, poza zasięgiem hitleryzmu. Reszta zawdzięczała ocalenie przyjaciołom, znajomym oraz wielu innym, nie znanym czasem nawet z imienia i nazwiska, ludziom dobrej woli, wielkiej odwagi lub determinacji. Potwierdza się tu powszechnie znana prawidłowość: im bardziej osoba pochodzenia żydowskiego była zasymilowana, im bliższe miała kontakty i różnego rodzaju związki z Polakami, tym większe miała szanse ujęcia z Holocaustu z życiem.

Oblicza się, że około 60 pracowników naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, z ogólnej liczby 529, czyli 11,34%, zginęło z rąk nazistów i bolszewików. W grupie żydowskiej liczba zamordowanych była większa niż w polskiej, w której straty wynosiły 9,10%. Stanowiła bowiem 30,76%. Mimo to odsetek ten jest uderzająco niski, jeżeli porówna się go z liczbą wszystkich zamordowanych Żydów w Polsce. Według najbardziej optymistycznych szacunków ocalało ich zaledwie około 120 000 osób.

ESTREICHEROWE
OSOBLIWOŚCI
COLLEGIUM
MAIUS





ŚW. KAROL BOROMEUSZ Z KAROLEM ESTREICHEREM JUN.,
MAL. Z. PABISIAK, OLEJ, DESKA, 1963 R., MUZEUM UJ



Barokową ścianę szczytową Collegium Maius, mniej więcej na wysokości drugiego piętra, od strony niewielkiego dziedzińca zwanego Hutą, zdobi obraz przedstawiający św. Karola Boromeusza. Aby nikt nie miał wątpliwości, o jakiego świętego chodzi, malarz położył u jego stóp inicjały „K.B.”. Nie trzeba większego wysiłku, żeby obraz zauważyć z drugiej strony ulicy św. Anny. Przydałaby się jednak lornetka. Wtedy będzie można dostrzec na nim szczegóły mające i w historii Collegium Maius, i dla dalszego ciągu tego szkicu duże znaczenie.

Obraz namalowany w konwencji późnobarokowych obrazów wotywnych, a więc u stóp świętego modli się fundator obrazu. Inaczej jednak niż na obrazach wotywnych, postać fundatora jest nieproporcjonalnie wielka. Tak duża, że jeżeli patrzy się na nią z dziedzińca, w postaci fundatora da się łatwo rozpoznać słynnego historyka sztuki Karola Estreichera juniora, ubranego nie w togę Wydziału Filozoficzno-Historycznego, do którego należał, ale w czarną togę Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Obraz namalował Zdzisław Pabisiak, „nadworny” malarz Estreichera, zatrudniony w czasie rekonstrukcji Collegium Maius do dekorowania sal i dość swobodnych restauracji zachowanych szczątków malowideł ściennych. W najlepszych jego artystycznych czasach autor wielu świetnych kopii, między innymi wręcz mistrzowskich kopii trzech wielkich matejkowskich portretów Stanisława Tarnowskiego, Józefa Szujskiego

i Józefa Dietla, które z polecenia Estreichera wiszą zamiast oryginałów w auli Collegium Novum, o czym zresztą mało kto wie. Ten obraz niestety namalowany byle jak. *Święty Karol Boromeusz z Karolem Estreicherem* – tak chyba wypadłoby ten obraz nazwać – mógł powstać, jeżeli nie z inspiracji, to przynajmniej za przyzwoleniem Estreichera. Wyłącznie on decydował w Collegium Maius o nieporównanie mniejszych drobiazgach. Zbyt inteligentna i przemyślana jest koncepcja obrazu, aby nie było w niej ręki Karola Estreichera.

Wątpliwe jest, czy intencją fundatora i malarza było oddanie czci świętemu. Mediolański biskup i kardynał Carlo Borromeo, aktywny uczestnik soboru trydenckiego, twórca systemu parafialnego duszpasterstwa, jedna z najważniejszych osobistości Kościoła przełomu z XVI na XVII wiek, nie miał nic wspólnego z uniwersytetem krakowskim. Przeciwnie, jako zdecydowany zwolennik i opiekun jezuitów, z którymi Akademia Krakowska w XVII wieku toczyła zaciekle spór, nie wzbudzał gorących uczuć uwielbienia w społeczności akademickiej. Nie ma żadnych śladów jego kultu w Akademii. Pojawił się na obrazie, bo nosił imię Karol, gdyż był patronem Karola Estreichera juniora, głośnej i arcyciekawej postaci świata akademickiego w Polsce, człowieka rządzącego przez dziesiątki lat jednym z najważniejszych zabytków architektury uniwersyteckiej w Europie. Postawmy więc kropkę nad „i”. Obraz w ścianie szczytowej nad Hutą sławi Karola Estreichera, a patron dostarcza ku temu tylko pretekstu. Pozornie czcząc św. Karola Boromeusza drugi Karol mógł się pojawić na obrazie. Każdy przecież może być ofiarodawcą dzieła sztuki...



Przedstawiać Karola Estreichera, to tak jakby informować, że na placu Zamkowym w Warszawie stoi kolumna króla Zygmunta, a kościół Mariacki w rynku krakowskim zdobią dwie

wieże. Już za życia był dla krakowian i wielu niekrakowian kimś na kształt żywego pomnika. Podziwiany i niecierpiany, budzący szacunek i uśmiechy pobłażania, słuchany z uwagą i lekceważony, znajdujący szerokie rzesze czytelników i programowo przemilczany przez niektórych kolegów profesorów.

Tu tylko kilka faktów biograficznych, najbardziej rudymen-
tarnych, z myślą o młodym pokoleniu, które nie miało okazji
obserwować Estreichera za jego życia. Czas na jego pełną
i krytyczną biografię jeszcze nie nadszedł. Pamięć o nim zbyt
świeża i bezpośrednia. Żyją jeszcze ci, którzy z nim się styka-
li, a to znaczy, że w dalszym ciągu na dźwięk jego nazwiska
zaczynają kipieć emocje. Bezpośrednio po jego śmierci
i z okazji kolejnych okrągłych jej rocznic ukazało się w prasie
codziennej kilka wspomnień, wszystkie pisane w stylu *de mor-
tuis nil nisi bene*. Przewijają się także nazwisko Estreichera przez
niektóre pamiętniki.

Stefan Grzybowski, profesor prawa cywilnego, kiedyś rektor
Uniwersytetu Jagiellońskiego, powinowaty Estreichera –
jego brat, Konstanty, był mężem Krystyny, siostry Karola –
poświęcił mu kilka stron w swoich wspomnieniach. Przez kil-
ka lat widywał się z Estreicherem prawie co dzień, gdy funk-
cje ich obu zmusiły do stałych, choć nie zawsze serdecznych
kontaktów¹. Jego relacja nie pozbawiona akcentów osobistych
ujawnia kilka faktów, dziś już całkowicie zapomnianych. Naj-
bardziej jednak obszernym i rzeczowym, pełnym szczegółów
szkicem, choć napisanym w tonie jubileuszowego panegiry-
ku, jest biogram Anny Piskorz, opublikowany z okazji jubile-
uszu odnowienia Akademii Krakowskiej². Ważnym źródłem
wiedzy o Karolu Estreicherze stał się jego *Dziennik wypadków*,
pisany od 1939 roku do prawie ostatniej chwili jego życia.
Dotychczas ukazały się trzy tomy. Jeden z nich z pewnością

¹ S. Grzybowski, *Wspomnienia*, Kraków 1999, s. 775–778.

² A. Piskorz, *Karol Estreicher (1906–1984)*, w: *Złoty Księga 600-lecia Odnowienia Akademii Krakowskiej*, Wydział Historyczny, Kraków 2000, s. 474–483.

przedwcześnie. Wielu z ludzi opisanych w nim nadal żyje, o każdym z nich Estreicher pisał kąśliwie, złośliwie i często niesprawiedliwie³. Sam w 3. tomie tego *Dziennika* przyznawał: „Porządkuję ciągle moje dzienniki prowadzone od roku 1939. Ileż rzeczy niepotrzebnie zapisałem, głupio, niesmacznie... Miejscami źle z dzienników wychodzę. Ale już niech tak zostanie. Skompleksowany, rozgoryczony, zbyt narzekam w mych zapiskach”⁴.

Wszystkie krytyczne uwagi, jakie kiedykolwiek zgłaszano w historiografii pod adresem pamiętników i dzienników jako źródeł historycznych, przylegają idealnie do *Dziennika*. Jest on znacznie bardziej świadectwem sposobu widzenia świata przez Estreichera, aniżeli obiektywną kroniką wydarzeń. Siłą sprawczą jego wielkości niewątpliwie był egotyzm oraz świadomość przynależności do rodu ludzi nieprzeciętnych. *Dziennik* jest więc kapitalnym obrazem psychiki Estreichera, która nie była bez znaczenia dla jemu współczesnych, co odczuć mógł niejeden na własnej skórze, a także dla tego, co zostawił po sobie w postaci materialnej. Nie jest zapisem życia na gorąco, pozostawionym w stanie pierwotnym przyszłemu czytelnikowi. Estreicher – sam to nieraz wspomina – wielokrotnie go poprawiał i uzupełniał. Wygląda na to, że przepowiednie, jakie snuł na początku każdego roku w *Dzienniku* są swoistymi apokryfami, pisanymi chyba po upływie tego roku, a może i po latach. Zaskakują trafnością przewidywań rozwoju nieoczekiwanych wypadków...

³ W skądinąd celnej recenzji *Dziennika* (J. Miliszkievicz, *Źłotni*, „Rzeczpospolita” z 9–10 VIII 2003, nr 185, s. A 12) znalazł się zwrot „Estreichera otacza głupota i podłość, ale pisze o ludziach bez nienawiści i pogardy. Reaguje zdziwieniem. Ocenia ludzi nie za ich poglądy, lecz za charakter. Ma dystans do siebie. Wie, że jest furiatem i weredykiem”. Z całej charakterystyki Estreichera prawdą jest tylko, że był furiatem, ale tylko wtedy, gdy chciał takie wrażenie wywołać. Nie był z pewnością weredykiem. Sam to nieraz w dziennikach przyznawał. Przykładów mijania się z prawdą w rozmowach, jest w *Dzienniku* bez liku. Nie miał także dystansu do siebie, wszystkich dookoła oceniał pod kątem ich stosunku do niego, choć trzeba przyznać, że potrafił zachować obiektywizm w ocenie rangi naukowej swoich adwersarzy.

⁴ K. Estreicher jun., *Dziennik wypadków*, Kraków 2003, t. 3, s. 458.

Jedynym człowiekiem, do którego żywił prawdziwą estymę i którego zdanie cenił sobie zawsze wysoko, był Antoni Słonimski, stara przyjaźń z czasów londyńskich. Jeszcze bardziej smakowite i z pewnością równie krzywdzące opinie o współczesnych mu kryją się w dalszych tomach, na które podobno nie trzeba będzie długo czekać. Na badaczy czeka także jego ogromna korespondencja i tysiące notatek oraz dokumentów. Jak wszyscy Estreicherowie, cenił papiery. Własne, rodzinne i urzędowe, jeżeli dotyczyły jego działalności służbowej, akademickiej lub publicznej. Te ostatnie traktował jak prywatną korespondencję. Bez pardonu zawłaszczal je i bronił innym do nich dostępu. Gromadził je wzorem ojca Stanisława w pudłach, które szczęśliwie oszczędziły wszelkie kataklizmy. Materiału tam na cztery doktoraty, dwie habilitacje i dziesiątki polemik.

Zajmijmy się zatem tylko Estreicherowymi osobliwościami Collegium Maius. Minęło prawie 40 lat od ukończenia słynnej rekonstrukcji tego gmachu. Jej idea wrosła już w polską świadomość kulturową. Może uda się zachować w tym, co zostanie napisane, niezbędne minimum dystansu do roli, jaką odegrał Estreicher w tworzeniu nowego kształtu i funkcji najstarszego gmachu krakowskiego uniwersytetu? Wcale nie jest to pewne. Piszący te słowa „odziedziczył” Collegium po Karolu Estreicherze, przez dobrych kilka lat miał bliski z nim kontakt, uczył się od niego nie tyle sztuki muzealnictwa, ile umiejętności traktowania gości w muzeum. Jest więc niejako skazany na kolizję sentymentu ze staraniem o zachowanie obiektywizmu. Estreicher nigdy nie budził letnich uczuć wśród tych, którzy mieli sposobność z nim się zetknąć. Czas zresztą nie sypie pyłu zapomnienia na sylwetkę rzeczywistego twórcy Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wszystko go w Collegium Maius przypomina, co chwilę pada jego nazwisko, do każdego ze zwiedzających dociera nazwisko człowieka, który stworzył najpiękniejsze muzeum uniwersyteckie na świecie.



Cała twórczość naukowa najmłodszego z Estreicherów⁵ obracała się wokół krakowskich dzieł sztuki. Własne liczące się w nauce nazwisko już przed wojną zapewniły mu trzy odbiegające tematem od siebie prace. Pierwszą była rozprawa doktorska o miniaturach w słynnym iluminowanym kodeksie Baltazara Behema z początku XVI wieku⁶. Drugą niesza-blonowy przewodnik po Krakowie, którego trzy wydania ukazały się przed 1939 rokiem⁷. Z wykazami literatury na temat poszczególnych zabytków, co wówczas było absolutną nowością. W 1935 roku Estreicher dotarł do archiwów berlińskich, gdzie znalazł dokumenty świadczące o definitywnym zniszczeniu w Berlinie polskich regaliów, z wyjątkiem Szczerbca, zrabowanych przez Prusaków w 1794 roku w Krakowie⁸.

„Krakowianizm” Estreichera dał o sobie znać też przy zapatrywaniu słynnej *Encyklopedii staropolskiej* Aleksandra Brücknera w ilustracje⁹. Wybrał je na prośbę bardzo już wiekowego autora, oczywiście preferując wszystko, co wiązało się z Krakowem. Na 3948 ilustracji w obu tomach *Encyklopedii* aż 1885, czyli 47,7 % całości, to podobizny pamiątek kultury związanych z Krakowem lub przechowywanych w tym mieście. Estreicher był zresztą autorem niejednego z haseł w *Encyklopedii*, pisanego stylem Brücknera.

⁵ Dzieje rodziny Estreicherów opisywali m.in. K. Grzybowska, *Kronika rodzinna*, Ossolineum 1967; J. Korpala, *Karol Estreicher (st.) twórca „Bibliografii polskiej”*, Wrocław, Ossolineum 1980 i tenże, *Karol Estreicher (ml.) jako bibliograf*, „Roczniki Biblioteczne”, R. 29, 1985, z. 1–2, s. 467–482; J. Adamczewski, *Kraków od A do Z*, Kraków 1992.

⁶ K. Estreicher jun., *Miniatury Kodeksu Behema i ich treść obyczajowa*, „Rocznik Krakowski” nr XXIV, Kraków 1933.

⁷ K. Estreicher jun., *Kraków. Przewodnik dla zwiedzających miasto i jego okolice*, Kraków, wydania w latach 1931, 1934, 1938.

⁸ K. Estreicher jun., *Rabunek Skarba Koronnego*, „Przegląd Współczesny” 1936.

⁹ A. Brückner, *Encyklopedia staropolska*, ilustracjami opatrzył K. Estreicher, 2 tomy, Warszawa 1939; reprint Warszawa 1990 z posłowiem prof. J. Tazbira.

Czy to on wpadł na pomysł, aby po opuszczeniu gmachu Collegium Maius przez Bibliotekę Jagiellońską przeznaczyć go na muzeum uniwersyteckie oraz Zakład Historii Sztuki i gruntownie przebudować usuwając neogotycką skorupę? Wygląda na to, że tak. Nie był jednak jedynym, który wypowiadał się na ten temat, i co znacznie bardziej istotne, jego głos przed wojną nie liczył się szczególnie. Najpierw od 1 grudnia 1929 roku był jedynie bezpłatnym asystentem młodszym. Marnie opłacanym młodszym asystentem został dopiero w 1936 roku, a w 1937 roku wreszcie starszym asystentem¹⁰. W chwili rozpoczęcia dyskusji o przyszłym losie dotychczasowego gmachu Biblioteki Jagiellońskiej był więc tylko starszym asystentem na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wprawdzie bardzo znaczącym i dobrze w środowisku krakowskim znanym, a w dodatku kolejnym ogniwem w uniwersyteckiej potężnej dynastii profesorskiej, ale mimo wszystko jedynie asystentem. Wyłącznie zdanie profesorów, i to niektórych, liczyło się podczas podejmowania ważnych decyzji w Uniwersytecie Jagiellońskim, a już szczególnie o nadawaniu kierunku dalszemu rozwojowi uczelni. Tak było zawsze aż do 1945 roku i tak rzecz wygląda dzisiaj, poczynając od 1989 roku, po okresie, w którym o losach uniwersytetu decydowano nieraz poza gronem profesorskim, nie mówiąc już o Senacie i rektorze.

Gdy 3 marca 1939 roku debatowała nad przyszłym losem Collegium Maius komisja artystyczna powołana przez Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego, w jej gronie nie znalazło się miejsce dla Karola Estreichera. Zajmowali je godniejsi w dostojństwie uniwersyteckim. Po trzydziestu niespełna latach przypomniał jednak Estreicher, że to on proponował jeszcze przed wojną, aby po odnowieniu Collegium umieścić w nim Muzeum Uniwersyteckie i Zakład Historii Sztuki¹¹. Pisał o tym,

¹⁰ Akta nr S II 619, Archiwum UJ.

¹¹ K. Estreicher jun., *Collegium Maius. Dzieje gmachu*, Kraków 1968, s. 256.



COLLEGIUM MAIUS, POŁUDNIOWA STRONA DZIEDZIŃCA,
RYS. J. BRODOWSKI, 1836 R., MUZEUM HISTORYCZNE
MIASTA KRAKOWA



COLLEGIUM MAIUS, TA SAMA STRONA DZIEDZIŃCA
PO PRZEBUDOWIE K. KREMERA, F. KSIĘŻARSKIEGO I J. BERGMANNA,
KONIEC XIX W., MUZEUM UJ



COLLEGIUM MAIUS, TA SAMA STRONA DZIEDZIŃCA
PO REKONSTRUKCJI K. ESTREICHERA JUN. W LATACH 1949-1964

mimo że powinien był zdawać sobie sprawę z tego, że niezbyt się lubi upominających się o swe zasługi.

W 1946 roku nakładem Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie na zlecenie rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego ukazała się broszura napisana przez profesora Henryka Barycza, wybitnego historyka edukacji i Uniwersytetu, oraz dopiero co przybyłego z powrotem do Krakowa Karola Estreichera juniora. Nie był to już zdolny asystent, ale bohater akcji rewindykacyjnej zagrabionych przez Niemców dzieł sztuki, człowiek, który uratował we Francji przed zagładą arasy wawelskie i inne dzieła sztuki ewakuowane z Polski, który przywiózł do Krakowa w 1946 roku szesnaście wagonów odzyskanych skarbów polskiej kultury, w wśród nich

ołtarz Mariacki. Dobrze wiadano w Krakowie, że przez lata wojny Estreicher pozostawał w bliskich związkach z generałem Władysławem Sikorskim. Ale na profesurę nadzwyczajną, mimo habilitacji w 1947 roku, przyjdzie mu poczekać aż do 1954 roku¹².

W broszurze tej, zatytułowanej *Kolegium Większe UJ*, wydanej bezimiennie, obok historii Collegium pióra Henryka Barycza, znalazł się po raz pierwszy program jego rekonstrukcji. Nie ma żadnej wątpliwości, że Karol Estreicher był autorem tego programu. Postulował przywrócenie pierwotnej postaci Collegium z okresu przed neogotycką przebudową w latach 1840–1870, a co za tym idzie, zmiany w sylwecie zewnętrznej budynku. Miały wrócić dawne dachy, zmienić się miał dziedziniec, należało doprowadzić do dawnego wyglądu Salę Jagiellońską i Stubę Communis, umieścić w odnowionym gmachu Zakład Historii Sztuki i Muzeum Uniwersyteckie.

Broszura kończyła się apelem do społeczeństwa o datki na odbudowę Collegium Maius. Nie do wiary, jak na tamte czasy niedostatku, dźwigania się z ruin i popiołów, odzew był bardzo silny. Zachowały się zestawienia darowizn licznych instytucji, przedsiębiorstw, organizacji społecznych i zwykłych, dziś zapomnianych ludzi. Zebrało się razem ponad 600 000 złotych.¹³ Całkiem sporo, w latach biedy powojennej.

Zaczęły się wkrótce niezliczone zebrania, konferencje w Krakowie i Warszawie. Głos decydujący należał oczywiście do władz w Warszawie. Mieścił się tam urząd Głównego Konserwatora Zabytków piastowany przez profesora Jana Zachwatowicza, w Warszawie też rządził muzeami profesor Stanisław Lorentz, dyrektor Centralnego Zarządu Muzeów. Bez ich zgody nie było mowy o jakichkolwiek poważniejszych pracach rekonstrukcyjnych przy budynku, który miał stać się

¹² Akta nr S II 619, Archiwum UJ.

¹³ Akta nr S III 790, Archiwum UJ.

siedzibą muzeum. Obaj nie byli entuzjastami projektu. Jak celnie po latach zauważył Karol Estreicher: „(...) ogólną tendencją konserwatorstwa światowego po drugiej wojnie światowej było rekonstruowanie przeszłości. To, co w Warszawie miało miejsce na Starym Mieście, np. przy odbudowie katedry św. Jana, to samo wydawało się konserwatorom z stolicy niedopuszczalne, przy odnowieniu Collegium Maius”. Przekonywanie brał na siebie oczywiście Estreicher¹⁴.

Powstał Komitet Odnowienia Collegium Maius, na którego czele stanął prorektor Jan Dąbrowski. Sekretarzem jego został Karol Estreicher¹⁵. Jak często bywa, sekretarz stał się osobą najbardziej wpływową w Komitecie, określając faktycznie kierunek jego działalności. Włożył on całego siebie w przedsięwzięcie, przysłonił wszystkich innych jego członków, a szczególnie przewodniczącego, człowieka już w podeszłym wieku i schorowanego. Niejedno do powiedzenia miał także w Komitecie Adam Bochnak, profesor historii sztuki. Również i on opowiadał się za likwidacją neogotyku Collegium Maius. Przyszła funkcja budynku narysowana była nieco mgliście. Wiadomo, że Henryk Barycz i Karol Estreicher widzieli w nim i pomieszczenia muzealne i Zakładu Historii Sztuki. Rektorzy chcieli mieć tam także sale recepcyjne rektoratu, w ich wyłącznym władaniu. Planowano nawet przenieść tam biura rektoratu i wszystkich dziekanatów! Chyba większość profesury w latach 1946–1947 także skłaniała się do tego. Ten zaś pomysł doprowadzał Estreichera do wściekłości, widział w nim trafnie zagrożenie dla planów przeznaczenia budynku przede wszystkim na siedzibę muzeum uniwersyteckiego. Sięgał on myślą dalej niż wielu jego znakomych kolegów w tym czasie. Myślał o dużym muzeum sztuki,

¹⁴ K. Estreicher jun., *Collegium Maius... op.cit.*, s. 266.

¹⁵ W pierwszym powojennym Komitecie noszącym nazwę „Komitet Odbudowy Biblioteki Jagiellońskiej – Collegium Maius”, który w końcu przekształcił się w „Komitet Odnowy Collegium Maius”, Estreicher został wymieniony wśród jego 38 członków jako... ostatni (akta nr S III 790, Archiwum UJ).

historii nauki i uniwersytetu służącym równocześnie uczelni jako miejsce tradycyjnych ceremonii, ale podporządkowanym jednej osobie – kierownikowi muzeum. Estreicher mimo wychowania w tradycji hierarchii uniwersyteckiej nie należał do tych, którzy szanowali ją tam, gdzie chodziło o jego sprawy i o ideę, jaką zamierzał wcielić w życie.

Przeciwnikami tak daleko idącej przebudowy oraz takiego programu użytkowania byli Stanisław Gąsiorowski, profesor archeologii klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego i dyrektor Muzeum Czartoryskich, człowiek rzeczywiście zawsze niechętny Estreicherowi, inżynier architekt Stefan Świszczowski, bardzo znany i zasłużony konserwator zabytków architektonicznych w Krakowie i Ludwik Ehrlich, wpływowy członek Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor prawa międzynarodowego, przed wojną we Lwowie, osiadły dopiero po 1945 roku w Krakowie.



COLLEGIUM MAIUS, WSCHODNIA STRONA DZIEDZIŃCA,
RYS. J. BRODOWSKI, OK. 1836 R., MUZEUM HISTORYCZNE
MIASTA KRAKOWA



COLLEGIUM MAIUS, TA SAMA STRONA DZIEDZIŃCA
PO PRZEBUDOWIE K. KREMERA, F. KSIĘŻARSKIEGO I J. BERGMANNA,
KONIEC XIX W., MUZEUM UJ

Wbrew temu, co czasem się mówi, za koncepcją zlikwidowania „płaszcz” Kremera i Bergmanna nałożonego na Collegium, opowiadali się profesor Tadeusz Dobrowolski, twórca całkowicie zniszczonego przez Niemców Muzeum Śląskiego, lada chwila autor monumentalnej *Sztuki Krakowa*, Jerzy Szablowski, za kilka lat dyrektor Zamku na Wawelu, także wybitny historyk sztuki, i docent Jerzy Dobrzycki, dyrektor Muzeum Historycznego w Krakowie, świetny znawca historii i zabytków tego miasta. Dowodem tego jest uchwała Podkomisji Komitetu z 18 lutego 1949 roku, zachowana w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego¹⁶, która – napisana ewidentnie przez Estreichera – zawiera projekt pełnej rekonstrukcji Collegium z programem użytkowania przede wszystkim w charakterze Muzeum, później konsekwentnie

¹⁶ Akta nr S III 794, Archiwum UJ.



COLLEGIUM MAIUS, TA SAMA STRONA DZIEDZIŃCA
PO REKONSTRUKCJI K. ESTREICHERA JUN. W LATACH 1949–1964

przez niego realizowanym. Członkami Podkomisji byli profesorowie: Adam Bochnak, Tadeusz Dobrowolski, docent Jerzy Dobrzycki i konserwator Józef Dutkiewicz, a doradcami Karol Estreicher i Jerzy Szablowski. Podpisy ich pod tym dokumentem nie pozostawiają żadnej wątpliwości, za czym się opowiedzieli.

Estreicher dołożył jeszcze coś, co zawsze, pod każdą szerokością geograficzną nie jest bez znaczenia – koneksje. Wejście o każdej porze do gabinetu Józefa Cyrankiewicza, dobrego znajomego z czasów studenckich w Krakowie, świeżo powołanego na stanowisko premiera rządu. Dobrze pielęgnowana z nim przyjaźń zapewniła wkrótce Estreicherowi pozycję człowieka prawie nie do ruszenia. Nie podważyła jej nawet słynna sprawa Listu 34, protestu najwybitniejszych polskich

intelektualistów przeciwko cenzurze, skierowanego na ręce premiera, a *de facto* samego Gomułki. Jednym z sygnatariuszy był Estreicher, który nigdy nie zdezwuował później swego podpisu. Przyjaźń ta miała także głębokie korzenie w poczuciu wdzięczności wobec Teresy Estreicher z domu Lasockiej, żony Profesora, ściśle współpracującej z ruchem oporu w Auschwitz. Cyrankiewicz był zaś jednym z najbardziej znaczących członków kierownictwa organizacji podziemnej w obozie oświęcimskim. Sprawiała ona, że udało się wcisnąć rekonstrukcję Collegium Maius do Planu 6-letniego. Zapewniło to finansowanie prac budowlanych i konserwatorskich aż do jubileuszu 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1964 roku. Był to ewenement w dziejach PRL. Gdy niezliczone miasta i miasteczka Polski nadal leżały w gruzach, gdy podstawową metodą radzenia sobie z ruinami na Ziemiach Zachodnich było ich rozbieranie, gdy stosunkowo za niewielkie pieniądze można było powstrzymać rozsypywanie się zniszczonych zabytków architektury, zapadła w 1949 roku decyzja rządu o wydaniu sporych pieniędzy na gruntowną rekonstrukcję dobrze trzymającego się budynku. Przebudowa Collegium Maius umieszczona została w Planie 6-letnim. Każdy racjonalnie i trzeźwo myślący człowiek miał prawo powiedzieć, że była to czysta fanaberia w latach niedostatku i piętrzenia się dramatycznych potrzeb. W tym samym czasie apele Stanisława Lorentza, Jana Zachwatowicza, Piotra Biegańskiego i innych o odbudowę w historycznym kształcie Zamku Królewskiego w Warszawie grzęzły w dyskusjach, co chwilę nowych koncepcjach i projektach, bezskutecznych uchwałach sejmu¹⁷. Potwierdzała się stara reguła, że nie jest ważne o co się prosi, ale kto kogo prosi.

¹⁷ Boje o odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie i historię sporów o koncepcję rekonstrukcji, na podstawie skrupulatnie zebranych materiałów źródłowych, przedstawia praca J. Kochanowskiego, P. Majewskiego, T. Markiewicza i K. Rokickiego, *Zbudować Warszawę piękną... O nowej krzyjebniz stolicy (1944–1956)*, red. J. Kochanowski, Warszawa 2003.



Jeszcze przez kilka lat po pierwszej wojnie światowej w konserwacji zabytków obowiązywała nieformalnie słynna doktryna sformułowana przez Alojzego Riegla, wiedeńskiego historyka sztuki¹⁸, spetryfikowana i rozpowszechniona przez Maxa Dvořáka, generalnego konserwatora zabytków Austrii przed 1918 rokiem. Była to ostra reakcja na praktykę romantycznej restauracji zabytków w XIX wieku, której najbardziej klasycznym uosobieniem był Viollet-le-Duc, słynny architekt francuski, twórca między innymi rekonstrukcji Carcassone. Przypomnijmy kilka podstawowych tez szkoły wiedeńskiej, ogłoszonych w słynnym *Katechizmie opieki nad zabytkami*, pióra Maxa Dvořáka:

1. Błędem byłoby wierzyć, że dzięki tak zwanym wiernym przebudowywaniom i rekonstrukcjom można przywrócić budynkom ich pierwotną formę. Nie jest to możliwe, gdyż z reguły nikt nie wie, jaki był ich pierwotny kształt, a zatem w czasie tych prac należałoby się kierować tylko wyobrażeniem, jak mogły one przypadkiem wyglądać. Taki przypadek nie jest w stanie zastąpić rzeczywistego kiedyś bytu, gdyż nikt dawniej nie budował według jednego i tego samego wzorca.
2. Nawet tam, gdzie udało się ustalić, jak budynek pierwotnie wyglądał, rekonstrukcja nie jest w stanie przywrócić tego, co po jego postawieniu zostało utracone z biegiem czasu. Imitacja nigdy nie zastąpi oryginału.
3. Przy dziele sztuki rzecz idzie nie tylko o ogólny układ dzieła, ale i jego wykonanie. Należy unikać daleko idących przeróbek i rekonstrukcji starych zabytków nie tylko dlatego, że powodują one niszczenie cennych śladów prze-

¹⁸ A. Riegl, *Der moderne Denkmalkultus, sein Wesen und seine Entstehung*, Wien-Leipzig 1903.

szłości z późniejszych epok, ale także z tego powodu, że prowadzi to do rażących zmian kształtu i istoty zabytków, a tym samym do utraty wartości historycznych i estetycznych. Reguła ta odnosi się do wszystkich prac restauracyjnych, które przekraczają granice konieczności¹⁹.

Max Dvořák był konsekwentny. Zdecydowanie oponował przeciwko pomysłowi zrekonstruowania wieżyczek na dachach zamku wawelskiego, a nawet protestował przeciwko odsłanianiu kolumn dziedzińca, które zostały obmurowane przez władze austriackie, gdy zamek służył za koszary²⁰. Na szczęście z wieżyczek zrezygnowano, kolumny zaś w arkadach dziedzińca zostały odsłonięte, a następnie odkute na nowo. Dowód odwagi konserwatorskiej i wielkiego poczucia smaku Adolfa Szyszko-Bohusza, który w końcu objął kierownictwo odbudowy zamku. Wyraził się on w syntezie śmiałych innowacji stylistycznych, na przykład w postaci współczesnych plafonów, schodów i drzwi, oraz w odtwarzaniu budowli aż do granic prawdopodobieństwa odkrytych budowli, czego najlepszym przykładem jest rekonstrukcja rotundy św. Feliksa i Adaukta.

Kto wie, czy Szyszko-Bohusz pozwoliłby sobie na tyle, gdyby nie było uchwały polskich konserwatorów podjętej w 1909 roku w Warszawie podczas pierwszej konferencji konserwatorskiej, w której brali udział także historycy sztuki z Krakowa. Uchwalono wówczas między innymi, że przybudówki i naleciałości późniejsze mogą być usunięte, o ile nie przedstawiają wartości historyczno-artystycznej, ale zarazem, że wewnątrz, o ile zostały artystycznie przerobione w czasach późniejszych, nie należy przywracać do pierwotnego stanu.²¹ W regułach tych można zauważyć pewne złagodzenie wymagań w porównaniu z ostrością norm sformułowanych przez

¹⁹ M. Dvořák, *Katubismus der Denkmalpflege*, Wien 1918, s. 29–30.

²⁰ L. Kalinowski, *Max Dvořák i jego metoda badań nad sztuką*, Warszawa 1974, s. 63.

²¹ E. Małachowicz, *Ochrona świadomości kulturowego*, t. 2, Warszawa 1988, s. 412.

Rieglę i Dvořáka. Coś jednak wolno było zmieniać w zabytkach budownictwa. Czy Szyszko-Bohusz idąc znacznie dalej w restauracji zamku królewskiego na Wawelu, traktował uchwałę warszawską jako wyjątkowe ideowe przyzwolenie? Dzisiaj poszukiwanie odpowiedzi na to pytanie byłoby tylko spekulacją. Z pewnością to co robił Szyszko-Bohusz, oznaczało faktyczne zerwanie z dotychczasowymi zasadami. Pchnął dalej furtkę uchyloną tylko w Warszawie.

Uchwalona w 1931 roku Ateńska Karta Konserwacji Zabytków wbrew temu, co czasem się o niej sądzi, była dość miękka. Podstawowy jej passus brzmiał: „dominuje na ogół tendencja do powstrzymywania się od pełnej restauracji i unikania związanego z nią ryzyka. W przypadku, w którym restauracja wydaje się jednak konieczna z powodu degradacji i zniszczenia, zaleca się poszanowanie pozostałego dzieła historii i sztuki bez zakresu wprowadzania stylu jakiegokolwiek epoki.”²² Nie ma mowy o zakazie całkowitym restauracji w znaczeniu rekonstruowania zabytku. Słowa „dominuje tendencja” i „restauracja jednak konieczna” wyrażają powściągliwe przyzwolenie w sporadycznych wypadkach.

Czy w Polsce przedwrześniowej takie restauracje były wydarzeniami rzeczywiście od wielkiego dzwonu, a zatem mieszczącymi się w regułach Karty Ateńskiej? Na to pytanie jest w stanie odpowiedzieć cenna monografia profesora Jana Pruszyńskiego²³. Okazuje się, że nie było ich tak mało w ciągu zaledwie 20 lat egzystencji Drugiej Rzeczypospolitej, jak się na ogół sądzi, mimo bardzo ograniczonych środków finansowych i mimo kilku lat kryzysu gospodarczego nękającego państwo. Restaurowano zabytki zniszczone w czasie wojny, na przykład zabytkowe budynki starego Kalisza. Starano się również usuwać piętno pozostawione przez zaborców.

²² Tamże, s. 413.

²³ J. Pruszyński, *Dziedzictwo kultury polskiej. Jego straty i obrona prawną*, Kraków, t. 1, s. 399–401.

Ale nie tylko. Sporo było restauracji przeprowadzonych bez żadnego ich uzasadnienia poprzednią działalnością zaborców. Odślaniano więc i rekonstruowano mury obronne w Szydłowie i Warszawie, zmieniano nawet kształt zewnętrzny budowli po to, aby na przykład przywrócić styl romański kolegiacie tumskiej pod Łęczycą. Praca Pruszyńskiego przytacza wiele przykładów takiej restauracji.

Już przed wojną panowało zatem wśród ludzi odpowiedzialnych za ochronę zabytków w Polsce przekonanie, że kanony Riegla i Dvořáka nie przystają do polskiej rzeczywistości. Nie pisano jednak prac teoretycznych, które uzasadniałyby odchodzenie nie tylko od surowych reguł wiedeńskich, ale nieco bardziej powściągliwej w rygorystyce Karty Ateńskiej. Po prostu praktyką konserwatorską dawano znak, że odrodzone państwo chce mieć autentyczne ślady przeszłości, nawet za cenę odchodzenia na co najmniej kilka kroków od autentyzmu.

Sytuacja dramatycznie zaostrzyła się po wojnie. Chyba nikt – poza aktami słownej desperacji – nie próbował na serio przekonywać, że należy zaniechać odbudowy zabytków. Apokaliptyczny wymiar wojennych zniszczeń nie był jednak główną przyczyną prawie powszechnej zgody architektów, historyków sztuki, konserwatorów, a przede wszystkim ludzi, którzy decydowali o wydawaniu pieniędzy, na restaurację zabytkowych budynków, wszędzie tam, gdzie to było możliwe. Wyzwaniem stała się nienawiść hitlerowska, nieukrywany zamiar okupanta niemieckiego usunięcia jakichkolwiek śladów polskiej kultury. Restauracja i rekonstrukcja polskich zabytków były czynnym sprzeciwem wobec nazistowskiej próby wymazania z Europy materialnych śladów polskiej kultury i historii. Chodziło o to, na czym stanie. Czy na tym, co chcieli osiągnąć Niemcy, czy na naszym prawie do własnej kultury? Rozmiar zaś celowych zniszczeń, zmuszał do zdecydowanego zerwania w Polsce z zasadami Karty Ateńskiej.

Znamienne były słowa profesora Jana Zachwatowicza, Generalnego Konserwatora Zabytków RP, wygłoszone w 1945, a wydrukowane w 1946 roku: „Znaczenie zabytków przeszłości dla narodu z drastyczną jaskrawością uwypukliły doświadczenia lat ostatnich, kiedy Niemcy pragnąc zniszczyć nas jako naród, burzyli pomniki naszej przeszłości. Bo naród i pomniki jego kultury to jedno. Z tej politycznej tezy wynikają zasadnicze wnioski, nie zawsze zgodne z naukowym poglądem. Nie mogąc się zgodzić na wydarcie nam pomników kultury, będziemy je konserwowali, będziemy je odbudowywali od fundamentów, aby przekazać pokoleniom, jeżeli nie autentyczną, to przynajmniej dokładną formę tych pomników, żywą w naszej pamięci i dostępną w materiałach”²⁴.

Tą drogą poszła praktyka konserwatorska po 1945 roku. Przywracać, odtwarzać, rekonstruować czasem całość z kilku kamieni – to linia postępowania zaczynająca się w tamtych czasach i ... kontynuowana do dnia dzisiejszego. Polska zresztą nie jest jedynym krajem, w którym otwarcie zdecydowano się na złamanie zasad Karty Ateńskiej i przystąpiono do odbudowy znaczących zniszczonych zabytków. Rekonstruowano klasztor Benedyktynów na wzgórzu Monte Cassino, zamek królewski w Budapeszcie, na Litwie zamek w Trokach i od 2003 roku zamek dolny w Wilnie, zabytki Drezna i Berlina, pałace w Carskim Siole łącznie z odtworzeniem Bursztynowej Komnaty i tysiące innych.

Gdy Karol Estreicher forsował rekonstrukcję neogotyckiego Collegium Maius, znajdował się na wznoszącej się fali rekonstrukcjonizmu. Pozornie owianego duchem kalkulacji historyczno-politycznej, a w istocie przesiąkniętego neoromantyzmem. Jedno wszakże bardzo istotnie odróżniało ideę przebudowy Collegium Maius od ówczesnej odbudowy zabytków w całym kraju. Budynek był w niezłym stanie technicznym.

²⁴ J. Zachwatowicz, *Program i zasady konserwacji zabytków*, Biuletyn Historii Sztuki i Kultury, 1946, Nr 1–2, s. 48.

W większości zajmowały go katedry Wydziału Prawa, w niewielkiej tylko części mieścił się Zakład Historii Sztuki. Piszący te słowa dobrze to pamięta, studiując prawo w latach 1950–1954 uczęszczał na ćwiczenia i wykłady monograficzne i zdawał egzaminy głównie w Collegium Maius. Z końcem 1953 roku Wydział Prawa otrzymał do dyspozycji gmach po instytutach chemii przy ulicy Olszewskiego 2 i tam zostały przeniesione katedry prawników. Słowo „przeniesione” trzeba rozumieć dosłownie, bo nosiliśmy wszyscy, pracownicy naukowi i studenci, książki powiązane sznurkami z jednego gmachu do drugiego, w lutym i marcu 1954 roku, po dobrych kilka godzin dziennie przez dwa tygodnie.

Trzeba było więc głosić palącą potrzebę zrzucenia piętna germańskiego i obcej polskiej tradycji architektonicznej skrupy neogotyku Bergmanna. To była droga wiodąca do zgody na wydawanie niemałych wcale pieniędzy. Rekonstrukcja objawiała się jako jeszcze jedno z licznych działań zmierzających do usuwania śladów germańskiego barbarzyństwa. W niezniszczonym wojną Krakowie stawała się swoistym ekwiwalentem odbudowy zniszczeń wojennych.



Estreicher wiedział dobrze, że dotychczasowe zbiory są niewielkie. Ocalała większość obrazów z zapisu Karola Rogawskiego, sporo przedmiotów rzemiosła artystycznego zebranych jeszcze przed 1939 rokiem, kolekcja kopii rzeźb antycznych i późniejszych darowana Uniwersytetowi przez Karola hrabiego Lanckorońskiego, przetrwała wojnę większość obrazów stanowiących dawniej wyposażenie sal w rektoracie, a przede wszystkim Auli i Sali Senackiej w Collegium Novum. Jeszcze przed wojną, jego stryj, profesor Tadeusz Estreicher zdążył zorganizować i urządzić w dawnym refektarzu Norbertanów Muzeum Przyrodnicze, na które



SALA W OBSERWATORIUM ASTRONOMICZNYM UJ PRZED 1939 R.,
Z INSTRUMENTAMI NAUKOWYMI, KTÓRE ZOSTAŁY PO 1949 R.
PRZENIESIONE DO MUZEUM UJ W COLLEGIUM MAIUS

złożyły się stare instrumenty naukowe, przede wszystkim pochodzące z Instytutu Chemii. Te, które przetrwały wojnę i powojenny bałagan, mogły również wzbogacić zasób ogólnouniwersyteckiego muzeum.

To wszystko jednak nie wystarczało, aby zapełnić w przyszłości sale Collegium. Stał więc przed drugim równocześnie, równie trudnym zadaniem, scalenia przedmiotów zabytkowych, rozproszonych po całym uniwersytecie. Zaopatrzony w stosowne uchwały Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego przeprowadzał je niekiedy bezwzględnie. Do dziś powtarza się opinia o rabunku uprawianym przez Estreichera. Zdołał pozyskać cenne eksponaty z Biblioteki Jagiellońskiej, z której wydobyl między innymi słynne *écorché*, czyli modele anatomiczne Pietra Francavilli z Instytutu Geograficznego i Obserwatorium Astronomicznego, a nawet bardzo cenne urządzenia miernicze z likwidowanego w tym czasie Muzeum Przemysłowego w Krakowie. Kosztem ubocznym, niestety po latach, jak okazało się bardzo dotkliwym, była niechęć wielu „posiadaczy” zmuszonych do wydania przyszłych muzealiów.

Udało mu się zdobyć także trochę pieniędzy na zakupy przedmiotów zabytkowych w Desie i u prywatnych posiadaczy. Metoda ich pozyskiwania była dość swoista, nie wiele mająca wspólnego z przepisami prawa. Opisał ją Stefan Grzybowski: Zdzisław Pabisiak, „nadworny” malarz w czasie rekonstrukcji podpisywał rachunki za malowanie ścian i obrazów, po czym Estreicher zabierał mu część honorariów i przeznaczał je na zakupy muzealiów²⁵. W ten sposób do uniwersyteckiego muzeum trafiły między innymi znakomite okazy małopolskiej i śląskiej rzeźby średniowiecznej, zabytkowe meble, świeczniki, żyrandole, pozytywki.

Bardzo liczący się dar otrzymało Muzeum od profesora Tadeusza Estreichera. Dzięki niemu własnością Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego stały się dwa obrazy Leona Wyczółkowskiego przedstawiające Karola Estreichera seniora w czasie prapremiery *Wesela* i profesora Karola Olszewskiego w jego pracowni, złoty zegarek po Ambrożym Grabowskim, złoty medal przyznany Karolowi Olszewskiemu i wiele innych cennych przedmiotów²⁶.

W 1953 roku, w czasie największego szaleństwa stalinizmu, trafiła się zaś okazja wyjątkowa. Razem z Bolesławem Drobnerem ówczesnym prorektorem do spraw administracyjnych Uniwersytetu Jagiellońskiego Estreicher przekonał wiekowego Ksawerego Pusłowskiego, arystokratę pozbawionego w 1945 roku ziemi, ale nadal mieszkającego w swoim pałacu przy ulicy Stalina, dawnej Andrzeja Potockiego, dzisiejszej Westerplatte, aby darował Uniwersytetowi 100 przedmiotów zabytkowych dużej wartości artystycznej i historycznej, a także sam pałac w zamian za faktyczne dożywocie²⁷.

²⁵ S. Grzybowski, *op.cit.*, s. 776.

²⁶ K. Estreicher wyraźnie napisał: „poczynił na moje ręce wielkie dary dla Uniwersytetu...” (*Dziennik wypadków*, Kraków 2002, t. 2, s. 318.).

²⁷ S. Waltoś, *I tylko ślady po nim się ostały*, w: *Czas nie stracony*, Katalog wystawy poświęconej Ksaweremu F. Pusłowskiemu, red. A. Laska i M. Rostworowska, Kraków 1998, s. 23–25 oraz M. Rostworowska, *Czas nie stracony. Życie i dzieło Xawerego Pusłowskiego*, Kraków 1998, s. 109–111.

Darowizna ta znacząco wzbogaciła zbiory Muzeum. Pojawiły się obrazy pędzla Kupeckiego, Delacroix, Konincka, van Strija, Malczewskiego i inne, wspaniałe makaty z XVII wieku po księciu de Crequi, gobeliny siedemnastowieczne, meble gdańskie, rzeźby, porcelana chińska i fajanse z Delft oraz wiele innych przedmiotów zabytkowych.²⁸

Estreicher nadal jednak obawiał się, że wszystko co zebrał, nie wystarczy do wypełnienia ekspozycji muzealnej. Wpadł wówczas w pułapkę, zastawioną przez jego neoromantyczny rekonstrukcjonizm. Zamówił u dwóch malarek, Haliny Kościeckiej i Zofii Skalskiej serię portretów profesorów Akademii Krakowskiej, malowanych w konwencji siedemnastowiecznego malarstwa, na podstawie podobizn znajdujących się w kościele św. Floriana i kolegiacie św. Anny, a niektórych nawet czysto fantazyjnych. Pierwsza namalowała ich 48, druga 29. Także i Zdzisław Pabisiak malował kopie portretów, z reguły bardzo celne. Rekonstruował również zaginione obrazy z zachowanych grafik i tworzył obrazy przedstawiające ważne wydarzenia w dziejach Akademii i historii edukacji w Polsce. Powstało takich obrazów sporo, bo aż 88. Estreicher obwiesił nimi ściany całego pierwszego piętra Collegium Maius. Ich wartość artystyczna była przeróżna. Niektóre, przede wszystkim pędzla Pabisiaka, były dobre, większość niestety marna. Krytycy oczywiście jakby tylko na to czekali. Estreicher zdawał sobie doskonale z tego sprawę. Zbyt dobre miał oko, aby to mu umknęło. Nie przejmował się klasyczną zasadą obowiązującą w muzealnictwie, głoszącą, że kilka niedobrych muzealiów może zaciążyć na opinii o całej ekspozycji. Zakładał, że na zwiedzającego muzeum będą oddziaływać w pierwszym

²⁸ Akt darowizny spisany w dniu 7 maja 1953 r. przez dr. J. Liebermana w Krakowie. Akt notarialny nr I-5954/53 oraz spis tych 100 przedmiotów dołączonych do aktu. Minister Szkolnictwa Wyższego uznał zasługi K. Estreichera przy pozyskiwaniu daru Pusłowskiego. W dniu 3 lipca 1953 r. otrzymał on od niego nagrodę w kwocie 3000 złotych – to nie były marne wówczas pieniądze – „za gorliwą pracę związaną z przejęciem darowizny ob. Ksawerego Pusłowskiego” (akta osob. K. Estreichera, Dział Spraw Osob. UJ).

rzędzie aranżacja i doniosłość historyczna, ów *genius historiae et loci*. Wiedział dobrze, że tworzy „nowe” ślady historii. Dopuszczymy wszystko do końca – uprawiał mistyfikację rekonstrukcyjną, dla przyszłości kreował przeszłość.

Jego *Dziennik* dowodzi, że mistyfikację uprawiał wręcz z zimną krwią. W 1961 roku pisał: „Gdy w roku 1948 objąłem szafkę z porcelaną i nieco innych przedmiotów pozostałych po zbiorach Uniwersytetu Jagiellońskiego nie było żadnej ikonografii. Dziś muzeum wzbogaciło się pod tym względem niezmiernie. Kopie, rekonstrukcje, rysunki, fotografie, to wszystko składa się na obfity zbiór ilustrujący przeszłość uniwersytecką. Przede mną nikt nie wpadł na pomysł, aby kopiować, uzupełniać, podrabiać ikonografię i pamiątki. Przeciwnicy zarzucają mi, że fałszuję. To niedobre słowo, bo zawiera w sobie nieuczciwość. Właściwy wyraz to podrabianie lub najlepiej rekonstrukcje. Co wieki u nas zniszczyły, to ja rekonstruję. Nie dla siebie, nie...”²⁹

Dopóki chodziło o malarstwo sztalugowe, można było tylko dyskutować nad sensownością takich działań. Obraz zawsze można zdjąć ze ściany, schować do magazynu muzealnego, na jego miejscu powiesić lepszy. W późniejszych latach, już po 1977 roku zaczęło się stopniowe wycofywanie owej niezbyt autentycznej ikonografii z ekspozycji. Tego typu obrazy znikły z Sali z Lunetami, Sali Karola Olszewskiego, obu Sal z Globusami. Zastąpiły je powstałe w epoce, do której się odnosiły. Z XVII i XVIII wieku oraz XIX i XX-wieczne. Można to było zrobić dzięki poddaniu konserwacji wielu zniszczonych obrazów XVII i XVIII-wiecznych znajdujących się w magazynie, niektórych bardzo wysokiej klasy, dzięki przeznaczeniu Sali z Lunetami także na galerię współczesnego portretu profesorskiego i pozyskaniu niezwykle cennego oraz długotrwałego depozytu Wiktorii Osęka i Ewy Lipko-Lipczyńskiej ze Sztokholmu.

²⁹ K. Estreicher jun., *Dziennik...*, *op.cit.*, t. 3, s. 81.



FRESKI MATEMATYCZNE W COLLEGIUM MAIUS, XVII W.,
ODNAWIAŁ Z. PABISIAK, OK. 1962 R.

Nieporównanie gorsza sprawa była z malowidłami ściennymi. Powstały tu zaszłości, których już nie da się odwrócić. Najwyżej można je przykryć w czasie jakiegoś remontu. Polichromię ścian, z jaką mieli do czynienia pracownicy zatrudnieni przy rekonstrukcji Collegium, można podzielić na trzy grupy.

Do pierwszej należą fragmenty fresków XVI, XVII i XVIII-wiecznych, odkryte w dawnych lektoriach na parterze Collegium. Rewelacją są zwłaszcza odsłonięte spod tynku w lektorium matematycznym freski z pierwszej połowy XVII wieku przedstawiające wzory trygonometryczne oraz fragmenty dekoracji roślinnej z XVI wieku na sklepieniach parterowej rezydencji na lewo od bramy wejściowej od ulicy Jagiellońskiej i w tak zwanej Długiej Sieni. Niestety na polecenie Estreichera zostały one tak podmalowane i uzupełnione przez Pabisiaka, że nie wiadomo, gdzie jest oryginał, a gdzie

uzupełniająca rekonstrukcja. Wbrew powszechnie przyjętym regułom konserwatorskim oryginalne fragmenty malowideł nie zostały obwiedzione linią, aby poinformować o kresie autentyku i początku nowej polichromii. Co gorsze, Pabisiak na polecenie Estreichera kładł także farbę na odkryte fragmenty polichromii, scalał je kolorystycznie i technologicznie. Obok na przykład wzorów geometrycznych znalazły się rysunki z zakresu balistyki, zgrabne, sprawiające wrażenie, że także pochodzą z XVII wieku. Były o to uzasadnione pretensje kolegów historyków sztuki w Uniwersytecie i nie tylko tam. W 1999 i 2000 roku w czasie prac konserwatorskich starano się wyodrębnić to, co jest autentyczne w polichromii. Mimo usilnych starań nie udało się. W ten sposób fantazyjna rekonstrukcja polichromii w Collegium Maius pod kierunkiem Estreichera dokonana 40 lat temu splotła się nieodwracalnie ze śladami autentyków i pochłonęła je bez reszty. Faktem niewątpliwym jest, że w ten sposób została stworzona harmonijna całość, ale smak oryginalności ocalałych fragmentów przepadł na zawsze.

Pamiętna była potężna awantura w czasie spotkania profesorów historyków sztuki z rektorem w dniu 20 marca 1963 roku. Dzień ten nazwał Estreicher w swym *Dzienniku* „czarną środą”. Zbierało się na nią od dawna. Co jakiś czas ówczesny rektor Kazimierz Lepszy, otwarcie nieprzyjazny Estreicherowi, i niektórzy profesorowie, nie tylko historycy sztuki, wyrażali zaniepokojenie zbyt daleką idącą, ich zdaniem, dowolnością w rekonstrukcji. Oprócz wielu innych zarzutów, które powtórzył Estreicher w *Dzienniku*, pojawił się zarzut podniesiony przez Lepszego, że freski matematyczne nie są w miejscu rekonstrukcji należycie oddzielone od partii oryginalnych. W związku z tym ktoś inny zażądał, aby koniecznie ściśle zaznaczyć to co nowe w malowidłach ściennych³⁰. Estreichera nie zaproszono do udziału w tej dyskusji,

³⁰ Tamże, t. 3, s. 408.

chyba zgodnie z zasadą, że najwygodniej stawia się zarzuty za plecami krytykowanego... Zarzuty te pojawiały się od dawna i miały się pojawić jeszcze nieraz, także w czasie posiedzenia w rektoracie w dniu 17 kwietnia 1963 roku poświęconego omówieniu koncepcji muzeum uniwersyteckiego³¹. Estreicher żalił się na nie w swym *Dzienniku*. Mimo tych pretensji, obwódki wokół oryginalnych fragmentów nie pojawiły się nigdy na ścianach Collegium, z wyjątkiem fryzu w Auli. Nie da się zresztą dziś ustalić, czy akurat w tym miejscu, w którym byłyby uzasadnione.

Metoda zaś biernego i cichego oporu oraz co jakiś czas alarmowania osób wpływowych i przyjaznych w Warszawie działała bezbłędnie. Telefony stamtąd do rektoratu zawsze były skuteczne.

Drugą grupę tworzyły całkowicie nowe polichromie. Estreicher mnożył je na ścianach dawnych lektoriów, kiedyś znajdujących się na parterze Collegium. Wymyślał fantazyjne fryzy w Auli, Stubie i Zielonej Sali, nowe malarskie przykrycie pól sklepienia gotyckiego Librarii, jakby fragmenty odkrytej dopiero co dekoracji ściennej z XVIII wieku Sali z Lunetami. Najpierw przemyślał program ikonograficzny, potem przekazywał go Zdzisławowi Pabisiakowi do wykonania. Powstawały więc malowidła przedstawiające sceny z soboru w Konstancji, podobizny profesorów, epizody z życia św. Jana Kantego w sieni prowadzącej z ulicy św. Anny na dziedzińiec. Malował je Pabisiak techniką kazeinową bezbłędnie naśladując manierę cechowych i bardzo prowincjonalnych malarzy XVII wieku w Krakowie. Niektóre następnie przecierał papierem ściernym, aby wywołać wrażenie ich omszałości, a być może i po to, aby akcenty religijne nie rzucały się w oczy. Były to czasy wojny Gomułki z Kościołem.

Jeszcze w 1957 roku na kartkach *Dziennika* przyznawał: „Przecież całe Collegium Maius tj. nie tylko jego zewnętrzna

³¹ Tamże, t. 3, s. 418–419.

strona, fasady, kraty, portale, okna, szyby – ale także jego urządzenia wewnętrzne (przede wszystkim sale) – są mego projektu, pomysłu, energii. To nie jest rekonstrukcja, to jest, na słabej kanwie przeszłości, nowy haft. Robię go codziennie, krzyżyk po krzyżyku. Nie mówię tego obecnie, żeby nie zaszkodzić idei obdarowania Uniwersytetu historyczną siedzibą. Przeciwnie – mówię (kłamie) ciągle i bronię się, że to wszystko tak było, że to tylko tak jest uporządkowane. W rzeczywistości niemal wszystko zostało przeze mnie, bądź od podstaw zaprojektowane, bądź zdobyte dla Uniwersytetu”³².

I jakże wymowne wyznanie z 30 maja 1959 roku: „Wszystko co robię – ja wyłącznie odnawiam Collegium i wedle moich projektów – robię w konspiracji. Nikt nic nie wie. Każdemu mówię co innego, kłamie, wymyślam legendy, fakty, byle prawdę ukryć, że odnowienie dokonywane jest wedle moich pomysłów”³³.

Świadomość tego co robił, nie opuszczała go i w latach następnych. 1 marca 1963 roku zanotował: „Oczywiście to co Pabisiak maluje, to są kopie, rekonstrukcje, naśladownictwo. Można je nazwać nawet falsyfikatami. Ale one, jak również i inne stylowe szczegóły urządzenia projektowane przeze mnie w Collegium Maius pozwalają nie dopuścić do używania sal na inne cele jak muzealne!”³⁴

Irytacje kolejnych rektorów, z wyjątkiem Teodora Marchlewskiego, który miał wielką słabość do Estreichera i poza tym dobrze wiedział, jakie wpływy ma on w Warszawie, profesorów w Instytucie Historii Sztuki, łącznie z Adamem Boch-nakiem przez pierwsze lata powojenne mocno go wspierającego, brały się chyba głównie z tego, że czuli się oszukiwani. Estreicher nie miał patentu na wyłączną wiedzę o dziejach Collegium. Nie ma kłamstwa, które prędzej czy później nie wyjdzie na wierzch. Rozpoznanie zaś podszywania się pod

³² Tamże, t. 2, s. 513.

³³ Tamże, t. 2, s. 630.

³⁴ Tamże, t. 3, s. 400.

oryginał w czasie rekonstrukcji wcale znowu nie jest takie trudne. A nikt nie lubi, jak się z niego robi durnia.

Na trzecią grupę składały się polichromie neogotyckie, pozostałości dawnej dekoracji ściennej Collegium z okresu neogotyckiej przebudowy go w latach 1840–1870. Te kazał Estreicher bez litości zamalowywać i skuwać. Miał zdecydowaną awersję do neogotyku, który nazywał konsekwentnie pseudogotykiem, słusznie zarzucał mu sztywność, twardość, toporność estetyczną i artystyczną nieoryginalność. Mimo tego bezlitosnego traktowania neogotyckich malowideł, okazało się po kilkunastu latach, że niektóre uchowały się. Przetwały trzy stropy neogotyckie w Salach z Globusami i w Sali z Madonnami. Przykryte pośpiesznie tynkiem samorzutnie odsłoniły się po latach. Zostały już po śmierci Estreichera pieczołowicie zakonserwowane. Późniejsza poestreicherowska



DEKORACJA ŚCIENNA W KORYTARZYKU DREZDEŃSKIM,
MAL. Z. PABISIAK, OK. 1962 R.

konserwacja nie oznaczała nic innego, jak utrzymanie śladów historii budynków, także i tej niezbyt mile widzianej, ale mimo to realnej. Jej rozmiary były niewielkie, nie wpłynęły na ogólny kształt Estreicherowskiego kolegium.

Estreicher nie byłby sobą, gdyby nie zastawił perfidnej pułapki na konserwatorów i historyków sztuki. W 1993 roku podczas prac remontowych w Korytarzyku Drezdeńskim stwierdzono, że spod tynku wyłaniają się jakieś fragmenty fresku. Nieznane, słowa o nich nie ma w dziele Estreichera o historii Collegium Maius. Aniołowie z wersetami, ewangelści o twarzach przypominających manierą rysunku oblicza na freskach z Faras, odkrytych w latach 60. przez ekipę profesora Kazimierza Michałowskiego. Rada w radę postanowiono je odkryć do końca i zakonserwować. Konserwatorzy uznali, że najprawdopodobniej położono je na ścianie w XIX wieku, podczas neogotyckiej rekonstrukcji Collegium Maius. Przemawiałby za tym też fakt, że znaleziono je na ścianie, należącej do tej części budynku, która powstała na nowo po 1864 roku. Prawdę ujawnił Zdzisław Pabisiak dopiero po 10 latach od owego odkrycia. To on namalował te fragmenty na polecenie Estreichera, po czym zasłonił je dość niedbale tynkiem. Niech je po wielu latach historycy sztuki i konserwatorzy odkryją i niech rozpoczną długą i uczoną dyskusję. Wydaje się, że gdyby dobrze nadstawić ucha w czasie oglądania tych fresków, można by usłyszeć czyjs chichot z zaświatów...



Z innych elementów neogotyckich ocalał jeden maszkaron w balustradzie dziedzińca, okna i drzwi w dwóch salach po prawej stronie od wejścia do Librarii, czyli Sali Obiedzińskiego oraz parkiety w tych dwóch i trzeciej sali za nimi. Te ślady neogotyku wcale nie przetrwały dlatego, że Estreicher

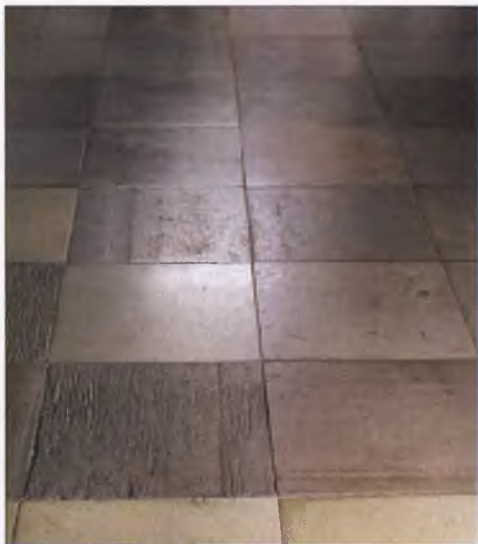
chciał je zachować. Zachowały się, bo obcięto dotację rządową w ostatniej fazie rekonstrukcji.

Rugując neogotyckie Collegium Maius, Estreicher równocześnie wprowadzał do niego... elementy neogotyckie, wzięte z innych budowli. Sam przyznawał, że umieścił w oknie pierwszego piętra od ulicy Jagiellońskiej górną część kraty z XIX wieku z Wrocławia i dwie kraty pseudogotyckie włoskie w oknach pierwszego piętra od strony dziedzińca³⁵. Nie zaprzętał sobie głowy myślą o czystości stylistycznej. Jeżeli kraty pasowały do zrekonstruowanych fasad i nie nasuwały skojarzeń z bergmanowskim obliczem Collegium, to dlaczego ich nie zamontować w oknach?

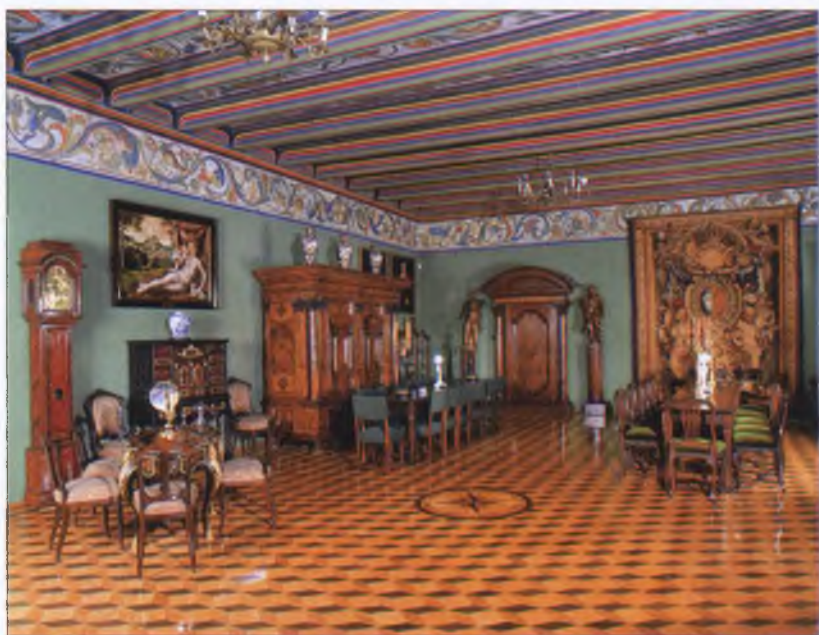


Budynek był jak puste pudło. Trzeba było go wypełnić nową infrastrukturą i nową architekturą wewnętrzną. W czasie rekonstrukcji w latach 1949–1964 wszyscy zdawali sobie dobrze sprawę z tego, że powrót do dawnego XVIII-wiecznego układu wewnętrznego sal nie wchodził w rachubę. Niektóre rezydencje profesorskie składające się z dwóch do trzech izb miały układ pionowy. Na przykład jedna izba na pierwszym, a dwie na drugim piętrze. A co z latrynami i kuchniami? Program sam się więc narzucał. Sale parterowe i pierwszego piętra miały stać się salami muzealnymi, tam należało rozłożyć ekspozycję muzealną i umieścić magazyny muzealne, tam też znalazło się miejsce dla Zakładu Bibliografii Polskiej Estreicherów, którym kierował oczywiście Karol Estreicher junior. Na pierwszym piętrze Estreicher postanowił odtworzyć Aulę Jagiellońską, Librarię, Stubę Communis, Skarbiec Collegium i w jednym pokoju rezydencję Antoniego Żołądzińskiego rektora Akademii Krakowskiej w czasach Komisji Edukacji Narodowej. Aż dwie

³⁵ K. Estreicher jun., *Collegium Maius...*, *op.cit.*, s. 271.



POSADZKA W LIBRARII,
WIDOCZNE ODWRÓCONE PŁYTY, 1953 R.



PODŁOGA W ZIELONEJ SALI, 1960 R.



STROP W PROBOSTWIE KOLEGIATY ŚW. ANNY, 1645 R.

trzecie powierzchni drugiego piętra przeznaczył natomiast na pomieszczenia Instytutu Historii Sztuki.

Osobowość Estreichera przysłoniła zasługi inżyniera Alfreda Majewskiego, późniejszego profesora Politechniki Krakowskiej, człowieka, bez którego żadne prace budowlane w Collegium Maius nie mogłyby się toczyć. Mianowany kierownikiem prac budowlanych w 1949 roku dotrwał do ich zakończenia w 1964. Zrównoważony, cierpliwy i pomysłowy. Fachowość i umiejętność usuwania się w cień zapewniły mu przetrwanie na tym stanowisku oraz utrzymanie dobrych stosunków z Estreicherem.

Wystrój architektoniczny sal parterowych i pierwszego, a po części i drugiego piętra uderza brakiem jakiegokolwiek szablonu. Wiele sal otrzymało posadzkę z cegły, kunsztownie wypalanej na wzór średniowieczny. Pod nią ogrzewanie podłogowe

konstrukcji inżyniera Chlipalskiego, na które zresztą Estreicher słusznie narzekał, że nie posiadało sprawnie działających regulatorów temperatury w poszczególnych pomieszczeniach i nie wszędzie dobrze działało. Dwie wielkie sale, Libraria i Aula wyłożone są posadzką kamienną. Aby uniknąć monotoności, Estreicher osobiście wskazywał płyty, które należało odwrócić do góry stroną nieszlifowaną. W niektórych salach kładziono podłogi z surowego drewna, w innych – z desek malowanych potem na zielono i ciemnoczerwono. Jeszcze inne zatrzymały stare parkiety XIX-wieczne, z szerokich, niespotykanych już dzisiaj klepek. Szczególnie piękną podłogę wymyślił dla Zielonej Sali. Z trzech gatunków



STROP W ZIELONEJ SALI, 1959–1960 R.



STALLE W KOŚCIELE ŚW. ANNY, A. FRĄCKIEWICZ, 1730 R.



STALLE REKTORSKIE W AULI COLLEGIUM MAIUS, 1962 R.

drewna, iluzjonistyczną z rombów, z różą wiatrów pośrodku. Powstała chyba najpiękniejsza podłoga w Krakowie. Jest tak piękna i tak harmonijnie współgra z nią wyposażenie sali, że nikt nie pyta o jej autentyczność.

Wzory brał z najbliższego otoczenia. Stalle w Auli bardzo przypominają stalle w prezbiterium kościoła akademickiego św. Anny, na stropie Zielonej Sali powstała polichromia renesansowa będąca kopią tej, która znajduje się w domu parafialnym św. Anny, *vis à vis* Collegium. Barokowa boazeria w Stubie Communis to powtórzenie boazerii w kapitularku klasztoru Cystersów w Mogile³⁶. Wspaniałe schody reprezentacyjne prowadzące z sieni św. Jana Kantego do Auli powstały z pewnością z inspiracji klatki schodowej w pałacu Pusłowskich przy dzisiejszej Westerplatte 10. Te same profile, te same proporcje, tyle że biegną w prawo, a nie w lewo, jak w pałacu Pusłowskich. Gdy schody zostały ukończone, okazało się, że nie da się rozwiesić wzdłuż nich makat księcia de Crequi, które uprzednio zdobiły klatkę schodową w pałacu Pusłowskich. Miały krój dostosowany do tamtej klatki. Nie pozostało nic innego, jak doszyć kliny do XVII-wiecznych haftów...

W Stubie Communis Estreicher zamontował, mimo protestów Stanisława Lorentza i Jana Zachwatowicza, późnobarokowe schody gdańskie przeniesione z pałacu Potockich w Krzeszowicach. Schody te razem z meblami gdańskimi i barokowym piecem z Głębowic, „kładą na kolana” wszystkich zwiedzających. Nikt nie jest skłonny od razu uwierzyć, że to wynik niezrównanej fantazji i takiego samego poczucia smaku Estreichera.

Inspirację do swych najpiękniejszych pomysłów Estreicher potrafił brać nawet z szafy. Portal w Zielonej Sali, swoim salonie muzealnym, to replika, niestety w proporcjach zbyt niska, elementu dekoracyjnego na drzwiach szafy późnobarokowej, należącej kiedyś do rodziny Chłapowskich,

³⁶ K. Estreicher jun., *Dziennik...*, *op.cit.*, t. 2, s. 668.



KLATKA SCHODOWA
W PAŁACU PUSŁOWSKICH,
UL. WESTERPLATTE 10,
PROJ. T. STRYJEŃSKI
I W. EKIELSKI, 1886 R.,
STAN PRZED 1939 R.



KLATKA SCHODOWA REKTORSKA
W COLLEGIUM MAIUS,
1956–1962 R.

stojącej w tej Sali. Zdawał sobie zresztą świetnie z tego sprawy. Pisał, że: „nie jest najlepszy. Stoi niepotrzebnie na stopniu. Kolumny ma za nikłe, kapitele słabe. Brak mu związania ze ścianą”³⁷. Zbyt miał dobre poczucie smaku, by mógł na to przymknąć oko.

Portale ozdobił sentencjami w języku łacińskim. Sam je wymyślał albo adaptował do długości architrawu lub funkcji pomieszczenia. Najbardziej znana, *Plus ratio quam vis*, wymalowana przez Pabisiaka na portalu prowadzącym z Auli do Sali Kopernika, zrobiła karierę, której chyba sam Estreicher nie przewidywał. Jest to pierwsza część wersetu w *Elegiach* Maximianusa, poety z VI wieku. Cały werset brzmi: *Plus ratio quam vis, caeca valere solet*, nie siłą a rozumem rozjaśnia się ciemności. Chyba niezwykłą satysfakcję dało mu wysłucha-

³⁷ Tamże, t. 3, s. 476.



DRZWI SZAFY BAROKOWEJ
PO RODZINIE CHŁAPOWSKICH
W ZIELONEJ SALI



PORTAL W ZIELONEJ SALI
WZOROWANY NA SZAFIE
CHŁAPOWSKICH, 1960 R.

nie laudacji rektora Józefa Andrzeja Gierowskiego i mowy Jana Pawła II w czasie uroczystości nadawania mu godności doktora *honoris causa*. Obaj, bez jakiegokolwiek porozumiewania się, odwoływali się do tej sentencji jako odwiecznej maksymy Uniwersytetu Jagiellońskiego. Sentencja wpisana została także w latach 90. do statutu Uniwersytetu Jagiellońskiego, jako jego dewiza. Estreicher wpadł zaś na ten pomysł w 1952 roku³⁸.

Umieszczał także sentencje żartobliwe. Na portalu prowadzącym na galerii pierwszego piętra do toalet dał krótkie dwa słowa: *nil admirari*, niczemu nie należy się dziwić.

Fantazje Estreichera chodziły w parze z uznaniem dla współczesnej mu techniki. Nie bawił się w autentyczne stropy drewniane, ale montował sztuczne, podwieszane do stropów

³⁸ Tamże, t. 2, s. 326.



PORTAL Z SENTENCJĄ *PLUS RATIO QUAM VIS*,
AULA COLLEGIUM MAIUS, 1952 R.



PORTAL Z SENTENCJĄ *NIL ADMIRARI*,
TOALETY NA I PIĘTRZE COLLEGIUM MAIUS,
OK. 1960 R.

Ackermana lub żelbetowych. Mało kto wie, że przewidując wykorzystywanie Stuby Communis na uniwersyteckie recepcje, polecił zainstalować windę przeznaczoną do transportu potraw i naczyń między stubą a kuchenką na drugim piętrze. Planował także windę w klatce schodowej prowadzącej do Instytutu Historii Sztuki³⁹.

W piwnicach znajdowała się zmodernizowana kotłownia, w zamyśle na koks, a w rzeczywistości peerełowskiej na kiepski węgiel. W tych samych jednak piwnicach, tam gdzie były składy opału, zainstalowano podwieszaną szynę, po której jeździły wózki dowożące węgiel do kotłów centralnego ogrzewania. Zadbał także, aby w Collegium było sporo telefonów wewnętrznych.

Podjmując decyzję o urządzeniu skarbcza muzealnego, w którym pomieścić najcenniejsze precjoza uniwersyteckie, postanowił umieścić tam autentyczny sejf bankowy. Jakimś cudem znalazł go w dawnym banku Holzera przy ulicy Saiego. Nie dało się go włożyć inaczej jak za pomocą dźwigu od strony ulicy. Schował go za złożoną kratą pochodzącą z dawnego ratusza krakowskiego i znowu obyczajem barokowym uzyskał efekt kulisów; najpierw trzeba przejść przez drzwi w kracie, potem stanąć przed szybą pancerną. Estreicher był jednym z nielicznych chyba w Krakowie, który systematycznie posługiwał się dyktafonem.

Czasem trzeba było się jednak zręcznie bronić przed groteskowym posługiwaniem się techniką. Gdy kwitnął jeszcze stalinizm, jacyś uniwersyteccy działacze PZPR umyślili sobie, że należałoby przykryć szklanym dachem arkadowy dziedzińiec, aby uzyskać w ten sposób salę do masowych zebrań. Bolesław Drobner, w tym czasie zastępca rektora do spraw administracyjnych, 19 czerwca 1953 roku wysłał do Komitetu Uczelnianego PZPR takie oto pismo: „Informowałem się w Ministerstwie w sprawie ewentualnego nakrycia podwórzy

³⁹ Tamże, t. 2, s. 629.

Collegium Maius i otrzymałem negatywną odpowiedź. Nakrycie takie wymagałoby bardzo kosztownej, stalowej konstrukcji, wyłożenia trudnymi do uzyskania grubymi szklanymi taflami szklanymi. Kosztowna dokumentacja techniczna nie znalazłaby pokrycia w bieżącym roku budżetowym. Sama myśl odłożona być winna na dalszy plan przy ważniejszych hierarchicznie celach”⁴⁰. Czy można sobie wyobrazić, że Estreicher nic nie wiedział o tych planach i że nie poduszczał Drobnera do tej pozornie na serio odpowiedzi?



Inwencja Estreichera przy urządzeniu sal przeszła do historii. Aranżację sal zaczął od Sali Obiedzińskiego, którą tak długo i uporczywie nazywał, zresztą poprawnie, Librarią, że dziś nikomu nie wpada do głowy, aby wrócić do dawnej, już zapomnianej nazwy. Genialnym pomysłem było wypełnienie pól międzyżebrowych sklepienia malowidłem, bardzo barokowym w swoim wyrazie, przedstawiającym niebo, oczywiście z obłokami, od wschodu do zachodu słońca. Przy ścianach neobarokowe szafy z starymi pudłami katalogowymi Biblioteki Jagiellońskiej, później także z książkami z kolekcji Pusłowskich. W środku dwa długie stoły, dookoła neobarokowe fotele, tyle, ilu członków w pierwszej połowie lat 50. liczył Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z biegiem czasu znalazły się w niej też późnobarokowe szafy. Następnie przysła kolej na Stubę Communis, Izbę Wspólną profesorów, ich jadalnię i salę zebrań. Także w stylu barokowym. Urządzając tę salę skrupulatnie stosował się do własnej recepty z 1953 roku, sformułowanej po oglądnięciu odtworzonej Starówki warszawskiej: „Dla sprawy odnowienia Collegium maius jedną należy tu wyciągnąć naukę: Collegium Maius musi być odnowione miękcej(!) – ciepłej. Wprowadzić

⁴⁰ Akta nr S III 794, Archiwum UJ.



SZAFĄ GDAŃSKĄ, POCZ. XVIII W.,
SŁUŻĄCĄ ZA GABLOTĘ W STUBIE COMMUNIS

trzeba doń baroku jak najwięcej, jak najwięcej boazerii, malowideł ściennych, etc...”⁴¹

Aby uczynić bardziej przytulną jedyną rekonstruowaną rezydencję profesorską, dawny pokój Antoniego Żołędziowskiego, Estreicher nie wahał się ustawić w niej barokową szafę kredensową, a na niej miedziane i mosiężne naczynia kuchenne, głównie formy do wypiekania ciast, chociaż i on

⁴¹ K. Estreicher jun., *Dziennik...*, *op. cit.*, t. 2, s. 351.

i jego współpracownicy w Muzeum znakomicie zdawali sobie sprawę, że w mieszkaniach profesorów nikt bab wielkocnych nie wypiekał.

Na parterze, w narożniku od ulic św. Anny i Jagiellońskiej wymyślił kuchnię alchemiczną. „Wymyślił” jest tu jedynym odpowiednim słowem. Nie ma żadnych przekazów historycznych wskazujących na to, że kiedyś w Collegium Maius znajdował się warsztat alchemiczny. Było potem z tego powodu jeszcze więcej plotek o poczynaniach Estreichera. W końcu Estreicher „alchemię” zamknął na cztery spusty i aż do jego przejścia na emeryturę nikt jej nie widział⁴².

W miejscu bez żadnej historii, w tej części budynku, która została rozebrana w 1960 roku i na nowo postawiona, umieścił najpiękniejszą salę – Salę Zieloną. Obwieszona cennymi obrazami, wypełniona meblami przeróżnymi, rzeźbami, fajansami i różnymi innymi przedmiotami, nawet z armatką wiwatówką, jest jeszcze jednym dowodem na świetne poczucie smaku Estreichera. Nikt inny jak on potrafił bez pudła znaleźć najlepsze miejsce dla przedmiotu i zachować wewnętrzną harmonię wyposażenia. Był nie tylko twórcą Muzeum, był także jego reżyserem i scenografem.

Nie znosił symetrii, co oczywiście może być dla kogoś zaskoczeniem, gdy dowiaduje się, że równocześnie lubował się w baroku, stylu przecież bezlitośnie symetrycznym. Jeszcze jedna sprzeczność w jego osobowości? Można ją tylko wytłumaczyć tym, że przepadał za wolutami, przerwanymi lukami, rozchwianymi i kręconymi kolumnami, bujnością i niespokojnością baroku, tym wszystkim co w nim było żywe i na pokaz. Brał z baroku więc to, co przylegało do jego niespokojnej, buntowniczej, nieposkromionej natury.

⁴² W *Dzienniku...* pod datą „2 czerwiec 1953” w bardzo krytycznym tonie zapisał, że alchemię zaaranżowano w tymże roku w Collegium Maius podczas urzędowania wystawy kopernikowskiej (*op. cit.*, t. 2, s. 348). Bez eksponatów pochodzących z Collegium Maius alchemia nie powstałaby. Poza tym tylko Estreicher decydował o trwałej aranżacji pomieszczeń.



Estreicher „chrzcil” w Collegium Maius co się dało. Nadawał nazwy salom, schodom, a nawet korytarzom. Pojawiły się zatem Sala Zielona z początku nazywana przez niego Czytelnią lub Salą pod Różami, Sala Komisji Edukacji Narodowej, zwana także Salą Śniadeckich, Sala z Lunetami, Zegarowa, Fizyki, Chemii, dwie Sale z Globusami, Pokój Grabowskiego, Pokój Kopernika, Pokój Węgierski. Na parterze odżyły średniowieczne nazwy dawnych lektoriów wywodzące się od Arystotelesa, Sokratesa, Galena, Platona, Pitagorasa, Ptolomeusza, a obok nich Sala Konsyliarna.

Schody otrzymały nazwy Rektorskich, Profesorskich i Studenckich oraz Drezdeńskich. Te ostatnie od korytarzyka ochrzczonego jako Drezdeński.

Wszystkie te nazwy przyjęły się, weszły w codzienne używanie, tak jak wymyślone przez niego obyczaje uniwersyteckie, dzisiaj już niepodważalne. Przekonał rektora, że posiedzenia Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego powinny odbywać się zawsze w Librarii, a kawą i herbatą będzie się w czasie przerwy częstować senatorów w przyległej Stubie Communis. Każda inauguracja roku akademickiego zaczyna się w Collegium Maius tradycyjnym pochodem. Tak było zawsze, po staremu. Estreicher dodał jednak jeszcze coś nowego, atrakcję dużej wagi. Profesorowie przechodzą w togach, parami w kolejności historycznej wydziałów przez wszystkie sale Collegium na pierwszym piętrze, wychodzą na ganek Schodami Profesorskimi do Sieni św. Jana Kantego i wychodzą na ulicę św. Anny. Stworzył okazję, którą bezwiednie kupiono, pokazania swojego ukochanego muzeum profesurze, z którą na co dzień darł koty. Nie było chyba lepszego sposobu, jak przekonać niechętnych do nowej wizji Collegium.

Potrafił zresztą bardzo skutecznie walczyć z wrogami. Przekonał się o tym kiedyś dyrektor Jan Lech w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego, który ewidentnie utrudniał finansowanie rekonstrukcji Collegium. Estreicher rozdmuchał niezbyt jego mądrą wypowiedź i użył znajomości z Cyrankiewiczem do usunięcia go ze stanowiska. Gorzko doświadczył też Stanisław Gąsiorowski, profesor archeologii klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego i dyrektor Muzeum Czartoryskich zemsty Estreichera za przeszkadzanie w przebudowie Collegium. Został obwiniony przez UB w 1952 roku o pomoc w ukrywaniu w Kurii Metropolitalnej dzieł sztuki, należących do niektórych arystokratów, z zamiarem wywiezienia ich nielegalnie za granicę. Niewątpliwie dodatkowym przyczynkiem do decyzji o usunięciu Gąsiorowskiego z Uniwersytetu stał się ostry atak Estreichera na wiecu w hallu Collegium Novum. W *Dzienniku* kilka razy uzasadniał swoje ówczesne stanowisko. Chyba miał wyrzuty sumienia. Zbyt często wracał do tej sprawy, jak na fakty pozornie należące tylko do przeszłości. Zapalczywość jego charakteru widoczna we wszystkim co po sobie pozostawiał, nie mogła nie objawić się również w takich czynkach. Powiedzieć, że jego osobowość była złożona, to użyć najlepszego w tym wypadku eufemizmu.



Muzealnicy i kolekcjonerzy często prezentują dwie skrajne postawy. Jedni zakochani w zbiorach starają się za wszelką cenę przedstawić je jako kolekcje składające się z przedmiotów najwyższej klasy. Wątlą hipotezę, że taki a taki obraz mógłby pochodzić z pracowni jakiegoś wybitnego artysty zamieniają w wysokie prawdopodobieństwo, z nitki pajęczej robią silny łańcuch z nią łączący. Odrzucają jakąkolwiek myśl, że może to być falsyfikat, z trudem są skłonni zgodzić



HERKULES ZABIJAJĄCY WĘŻA,
KOPIA RZEŻBY A. ALGARDIEGO, MARMUR, KONIEC XVII W.,
MUZEUM UJ

się, że jest to tylko replika warsztatowa, mimo że nadal jest to tylko ryzykowna hipoteza.

Drudzy są ich przeciwnostwem. Znajdują się zresztą w zdecydowanej mniejszości. Wszędzie upatrują falsyfikatu, w najlepszym wypadku kopii z późniejszej epoki, skłonni są powątpiewać w ustalone datowanie, proveniencję i atrybucję. Zajmują taką postawę z reguły jednak w stosunku do przedmiotów nie należących do ich kolekcji lub muzeów, w których pracują lub do przedmiotów, którymi ekscytują się osoby przez nich nie lubiane...

Karol Estreicher należał do tych pierwszych. W pięknym portrecie nieznanego kupca z drugiej połowy XVI wieku, niewątpliwym dziele szkoły malarstwa południowoniemieckiego⁴³ dopatrywał się portretu Josta Decjusza, sekretarza króla Zygmunta Augusta, po którym pozostał piękny pałac

⁴³ A. Jasińska, „Portret kupca”. *Przykład manieryzmu w niemieckiej sztuce portretowej II połony XVII wieku*, *Opuscula Musealia*, t. 10, 2000, s. 87 i n.

renesansowy na Woli Justowskiej. Czysta inwencja Estreichera, nie mająca żadnych podstaw ani w dokumentach, ani w ikonografii. W barokowej marmurowej rzeźbie *Herkules zabijający węża*, pochodzącej z Biblioteki Jagiellońskiej, dopatrywał się dzieła powstałego w kręgu Michała Anioła. Po raz pierwszy naszła go taka myśl w 1964 roku. W *Dzienniku* pod datą 15 października czwartek zapisał: „Czyżby rzeźba Michała Anioła? Z jego kręgu w każdym razie. *Herkules zabijający węża*? Od XVI-go wieku w Collegium Maius!”⁴⁴ Denerwowały go potem delikatne sugestie otoczenia, że rzeźba jest zdecydowanie późniejsza, że może to być kopia znanej rzeźby Algardięgo. Zbywał je milczeniem, a czasem irytował się. Umieścił i oświetlił rzeźbę w ładnej późnorenasansowej szafce w Pierwszym Skarbcu i czekał daremnie na potwierdzenie się jego głęboko zakorzonego przekonania. Już po jego śmierci badania wykazały, że jest to kopia niezbyt dokładna *Herkulesa* Alessandro Algardięgo, powstała nie wcześniej niż u schyłku XVII wieku⁴⁵.

Nieporównanie lepiej udokumentowane były jego rozprawy naukowe. Niektóre odznaczały się śmiałością i atrakcyjnością hipotez. W rozprawie o pomniku nagrobnym króla Władysława Jagiełły interesująco wywodził, że twórcy jego należy poszukiwać wśród rzeźbiarzy pracujących przy katedrze w Florencji⁴⁶, a w rozprawie poświęconej łańcuchowi rektorskiemu, do tej pory uznawanemu za pochodzący z XVI wieku, postawił interesującą tezę, że pochodzi on aż z VI wieku.⁴⁷ Wokół tych dwóch najważniejszych prac naukowych Estreichera, opublikowanych po wojnie, niestety zapanowało milczenie. Jakby wynik jakiegoś porozumienia. Żadnej krytyki, żadnej publicznej dyskusji. Niechęć do

⁴⁴ K. Estreicher jun., *Dziennik...*, *op.cit.*, t. 3, s. 643.

⁴⁵ A. Kutaj-Markowska, *Genus demonstrativum. O rzeźbie „Herkules duszący węża” z dawnego kolegium teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego*, *Opuscula Musealia*, t. 2, 1987, s. 68.

⁴⁶ K. Estreicher jun., *Grobowiec Jagiełły*, „Rocznik Krakowski”, t. XXXIII, 1953, z. 1.

⁴⁷ K. Estreicher jun., *Łańcuch Aleksandry*, „Rocznik Krakowski”, t. XXXVIII, 1966.

podejmowania polemiki, która nie wiadomo z jaką ripostą się spotka? Zemsta za wmawianie autentyków w Collegium Maius? Jeśli tak, to była okrutna. Ci, którzy znali osobowość Estreichera, wiedzieli dobrze, że będzie ją bardzo źle znosił.



Duma z przynależności do rodu Estreicherów, świadomość, że odtwarza historyczną pierwszą siedzibę Akademii Krakowskiej, skrajny egotyzm, niczym niehamowana miłość własna, zniewalały go do wpisywania świadectw jego roli w rekonstrukcji i... pomijania innych, którzy swą rękę też do niej przyłożyli.

W *Dzienniku*, pod datą 22 czerwca 1962 roku zanotował:

„Nad parterowym portalem dałem napis :

Collegium Maius

w latach 1945–1964

niemałym trudem

przebudowane, ozdobione, urządzone

niech nadal służy Uniwersytetowi Jagiellońskiemu

15 VII 1962 Karol Estreicher jun. Prof. UJ”⁴⁸.

Istotnie taka tablica została wmurowana na parterze Collegium, nad wejściem do... szatni, tuż przy Schodach Rektorских, replice paradnych schodów w pałacu Pusłowskich. Wbrew temu, co napisał, tablica nie znalazła się od razu w architrawie portalu. Przez dobrych kilka lat leżała na podłodze, w kącie szatni, chyba po to, aby z nią oswoić ludzi. Gdy wreszcie murarz umieścił ją w portalu, umknęła uwadze zawistników i złośliwców.

Nie zapomniał też Estreicher o włożeniu, starym obyczajem, dokumentu upamiętniającego ukończenie budowy. Do kuli na dachu nad Biblioteką włożył dokument, w którym „rozliczał” swoich kolegów – pisze o tym 6 września 1962 –

⁴⁸ K. Estreicher jun., *Dziennik...*, *op.cit.*, t. 3, s. 255.

w którym znalazły się cierpkie słowa o kolegach profesorach i Peerelu. Zaczyna się jednak łagodnie: „D.O.M. W roku 1962, po XV latach pracy zbliża się koniec odnowienia Collegium Maius”. I zaraz potem: „trudne to było zadanie. Trzeba było pokonać mnóstwo przeszkód, najwięcej od swoich – tu w Uniwersytecie. Zawiści w Jagiellońskiej Szkole zawsze były silne i pozostały te same – mimo ciężkich doświadczeń drugiej wojny światowej, ucisku politycznego, ubóstwa i lęku przed jutrem. Gdy skądinąd zacni i drodzy koledzy zasiadający w Senacie Akademickim i na radach fakultetów nie doceniają znaczenia Odnowy Collegium Maius – może właśnie dlatego – z uporem jakiego wielka sprawa wymaga – odnowić i urządzić trzeba starożytnie Collegium Maius, w przededniu rocznicy fundacji Uniwersytetu Jagiellońskiego”⁴⁹. Następnie biegną słowa o ciężkich czasach w PRL i tworzeniu Muzeum w Collegium Maius, a za nimi passus: „Co do mnie przekazuję, że mam obecnie 56 lat, jestem profesorem historii sztuki UJ i kierownikiem Muzeum UJ. Po dziadku Karolu i ojcu Stanisławie Estreicherach prowadzę wydawnictwo Bibliografii Polskiej. To wielkie dzieło kulturze polskiej poświęcone chciałbym ukończyć. Czytelniku! Jeśli znajdziesz ten pergamin – wypij na moją pamięć flaszkę wódki do niego dołączoną. Niech idzie ci na zdrowie. Prof. UJ Karol Estreicher m.p.”⁵⁰ Szpicli Służby Bezpieczeństwa w Collegium Maius albo nie było albo ich lekceważył.

Wbrew zwyczajowi nie dowiemy się z tego dokumentu, kto w tym czasie był rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a przecież był nim w tym czasie wybrany demokratycznie Stefan Grzybowski, z którym jeszcze Estreicher się nie wadził. W zamian dokument wymienia nazwiska dziesięciu pracowników Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z niektórymi zaczną się wkrótce animozje.

⁴⁹ Tamże, t. 2, s. 283–284.

⁵⁰ Tamże, t. 2, s. 284.

W magazynach działu malarstwa Collegium wisi na siatce portret Karola Estreichera juniora. Namalowany, na prośbę autora tych słów, przez niezłego malarza, Stanisława Krzyszałowskiego w 1977 roku. Estreicher podobno cierpliwie pozował. Niestety z trudnością można go rozpoznać.

Portret powinien spełnić dwa warunki: wizerunek musi być podobny do portretowanego, postać musi być rozpoznawalna fizycznie. Portret, który nie pozwala na rozpoznanie osoby na nim przedstawianej, nie realizuje jego podstawowej funkcji – utrwalenia twarzy zgodnego z prawdą. Drugi warunek, to odbicie się stosunku psychicznego, jaki zawiązuje się między malarzem a portretowanym. Sztuka portretowania jest umiejętnością odczytania psychiki z rysów portretowanego.



KAROL ESTREICHER JUN., MAL. S. KRZYSZAŁOWSKI,
OLEJ, PŁÓTNO, 1977 R., MUZEUM UJ

Obraz z pewnością nie spełnia pierwszego warunku. Podobieństwo jest raczej wątpliwe. Inaczej rzecz ma się ze spełnieniem drugiego warunku. Nie ma żadnej wątpliwości, że obraz przedstawia człowieka w złym nastroju, pod wpływem depresji psychicznej. Kończył się pierwszy rok emerytury. Estreicher nie umiał się zżyć z myślą, że bezlitosna granica wieku odsunęła go od rządzenia w Muzeum. Funkcja konsultanta Muzeum, jaką uzyskał z końcem 1976 roku dzięki interwencji podobno samego Edwarda Gierka, była tylko formą pocieszenia, taką samą jak to, że kierownictwa Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego nie objął nikt z Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego i że dostał prawo wyznaczenia następcy wbrew wszelkim prawidłom panoszącej się wówczas nomenklatury partyjnej. Azylem i terenem swobodnego działania stało się teraz Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, któremu od lat prezesował. Tam czuł się dobrze, nie na Uniwersytecie. Nie mógł bowiem w dalszym ciągu pogodzić się z negatywną opinią Rady Wydziału Filozoficzno-Historycznego z 18 listopada 1967 roku, że nie zasługuje na nadanie mu tytułu profesora zwyczajnego. Liczył, że kiedyś Rada uchyli tę uchwałę, ale do tego nigdy nie doszło. Niewielką pociechą było dla niego to, że potrafił w końcu uzyskać profesurę zwyczajną w dniu 9 listopada 1972 roku z pominięciem uchwały⁵¹. Uraz był zbyt silny, aby znosić go spokojnie. Wyrzył się on w jego psychice na zawsze. Odmówił zatem przyjęcia medalu „Merentibus”, najwyższego odznaczenia, jakie Uniwersytet Jagielloński może przyznać komuś, kto uzyskał w nim stopień doktora. Wymówił się, mówiąc do rektora w mojej obecności, że nie potrzebuje takiego medalu. Jeden w rodzinie wystarczy. Cierpka aluzja do odznaczenia Dominika Estreichera, protoplasty polskiej gałęzi Estreicherów, prawdziwym, oryginalnym medalem „Merentibus” przez króla Stanisława Augusta. Nie

⁵¹ W tym dniu Rada Państwa nadała mu tytuł profesora zwyczajnego nauk humanistycznych (akta osob. K. Estreichera, Dział Spraw Osob. UJ).



KAROL ESTREICHER JUN.,
MAL. J. DUDA-GRACZ,
OLEJ, PŁYTA PILŚN., 1980 R.,
MUZEUM UJ



DRUGI PORTRET KAROLA
ESTREICHERA MALOWANY
PRZEZ J. DUDE-GRACZA,
OLEJ, PŁYTA PILŚN., 1980 R.,
MUZEUM UJ

Uniwersytetowi, lecz Towarzystwu zapisał swój majątek, dziedzictwo pięciu pokoleń Estreicherów. Uniwersytet Jagielloński, jego zdaniem, nie zasłużył na to. Stanisław Krzyszałowski wyraził więc dobrze depresję i rozżalenie. Niestety wierności rysów twarzy w portrecie zabrakło.

Udało się jeszcze w tym samym roku namówić Jerzego Dudę-Gracza, aby spróbował portretu Estreichera. Malował z fotografii, choć postać była mu dobrze znana z telewizji. Marek Rostworowski pisząc o tym obrazie zauważył: „(...) jesteśmy jakby widzami spektaklu, który ten pan z obrazu zapowiada, i jeżeli za nim pójdziemy, on wprowadzi nas w świat, przed którym ustąpić musi rzeczywistość”.⁵² Informacja artysty o odczytaniu charakteru Estreichera znajduje się na zaprojektowanej przez niego ramie. Z jednej strony białą, a z dru-

⁵² M. Rostworowski, *Współczesne portrety profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Opuscula Muscalia, t. 2, 1987, s. 81.



KAROL ESTREICHER JUN.,
MAL. A. SIWECKI, OLEJ, PŁÓTNO,
1980 R., MUZEUM UJ

giej czarny aniołek. Ponieważ dostrzegano w modelu bardziej Jerzego Waldorfa niż Estreichera, Jerzy Duda-Gracz w kilka miesięcy wykonał jeszcze jeden portret, „postać pełną zamaskowanej niepewności, jakby samoobrony w zwątpieniu”⁵³, ale do wierności rysów nadal nie było zbyt blisko.

Pod koniec 1980 roku powstał więc jeszcze jeden portret Estreichera. Namalował go Alojzy Siwecki, profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Tym razem tylko z fotografii, chociaż najświeższej wówczas daty. Obraz jest prawdziwy. Nikt nie ma wątpliwości, kogo on przedstawia. Widać na nim człowieka mądrego i stanowczego. Dostrzec można także pierwsze oznaki ciężkiej choroby, która doprowadzi do jego śmierci w dniu 29 kwietnia 1984 roku. Obraz wisi w Librarii, na wprost wejścia. Każdy kto wchodzi do Muzeum, musi zauważyć wizerunek jego twórcy.

W Collegium znajduje się jeszcze jedna sala, w której Estreicher umieścił podobizny czterech swoich przodków. Jest nią Aula, zwana kiedyś Lectorium Teologorum, Salą Jagiellońską. Baldachim stalli rektorskich zdobią cztery głowy – Alojzego, Karola seniora, Stanisława i Karola juniora Estreicharów. Pokłon przodkom i złośliwość rektorom, z którymi się wadził. Zygmunтови Grodzińskiemu, Stefanowi Grzybowskiemu, a szczególnie Kazimierzowi Lepszemu – obaj panowie zawsze się nie znosili – i Mieczysławowi Karasiowi, który nie pomijał okazji, aby zaznaczyć, że nie cierpi Estreichera

⁵³ Tamże.



BALDACHIM NAD STALLAMI REKTORSKIMI
W AULI COLLEGIUM MAIUS, 1962 R.

i nie toleruje rodzinnych powiązań wśród profesorów. Estreicher osiągnął tu chyba apogeum zemsty. Nie dość, że wszyscy kolejni rektorzy musieli znosić go żywego w prawie codziennych kontaktach, to jeszcze na dodatek posadził ich w czasie uroczystości uniwersyteckich pod rzeźbionymi podobiznami czterech Estreicherów. Baldachim i tak jest oszczędny w głowy estreicherowskie.

W historii uniwersytetu krakowskiego działali jeszcze dwaj wcale nie gorsi: protoplasta rodu profesorskiego Dominik, profesor malarstwa i rysunku, oraz Tadeusz, brat Stanisława, wybitny historyk nauk, a przy okazji profesor chemii. Estreicher miał jednak miejsce tylko na cztery głowy – symbole czterech tradycyjnych fakultetów. Zamierzał więc przeznaczyć głowę kardynała Albina Dunajewskiego, spokrewnionego z Estreicherami, na symbol teologii, głowę Alojzego Estreichera, pradziada, oznaczyć medycynę, Karola seniora użyć jako symbolu filozofii i Stanisława, ojca, na oznaczenie prawa. W dniu 10 marca 1962 roku zapisał: „W ten sposób

postanowiłem uczcić rodzinę Estreicherów, która z Uniwersytetem związana jest blisko 200 lat. Nie mówię tego oczywiście nikomu, aby mi nie dokuczano”⁵⁴.

Wśród wykonanych głów w tym rodzinnym baldachimie głowy Dunajewskiego jednak nie ma. Przeważała chęć upamiętnienia siebie samego.

W sztuce ostatnie słowo należy zawsze do tego, kto trzyma w ręku pędzel lub dłuto.



W roku 1964 estreicherowska rekonstrukcja Collegium Maius była już faktem dokonany. Nie będzie chyba nawet lekką przesadą stwierdzenie, że wywarła ona duży wpływ na sposób postępowania z zabytkami w Krakowie i nie tylko w Krakowie. Świadomie i drastycznie zrywała z kanonami konserwatorskimi, określonymi w Karcie Ateńskiej. Nie było to pierwsze w Polsce od niej odstępstwo, ale z pewnością najbardziej znaczące.

Gdy w 1964 roku na Międzynarodowym Kongresie Architektów i Techników Zabytków w Wenecji uchwalano obowiązującą do dziś Kartę Wenecką, nie wahano się napisać: „Art. 9. Restauracja jest zabiegiem, który powinien zachować charakter wyjątkowy. Ma ona na celu zachowaniu i ujawnienie estetycznej i historycznej wartości zabytku oraz polega na poszanowaniu dawnej substancji i elementów stanowiących autentyczne dokumenty przeszłości. Ustaje ona tam, gdzie zaczyna się domysł, poza tą granicą wszelkie, uznane za nieodzowne prace uzupełniające mają wywodzić się z kompozycji architektonicznej i będą nosić znamię naszych czasów. Restauracja będzie zawsze poprzedzona i będzie szła w parze z badaniami archeologicznymi zabytku.”⁵⁵

⁵⁴ K. Estreicher jun., *Dziennik...*, *op.cit.*, t. 3, s. 204.

⁵⁵ E. Małachowicz, *op.cit.*, s. 419–420.

Przekładając na język bardziej zrozumiały te słowa można tak powiedzieć: gdy nie ma pewności, jak wygląda naprawiana część zabytku i gdy nie ma do dyspozycji autentycznych fragmentów budowy, nie wolno wymyślać w „duchu przeszłości” tego co się uzupełnia, należy budować w stylu współczesnym. Inne sformułowania, ale myśl ta sama co w Karcie Ateńskiej. Powtarzanie nie zawsze jest zabiegiem bezcelowym. Powtarzanie to też przypomnienie, to znak, że w rachubę nie wchodzi *desuetudo*. Nie da się jednak uniknąć postawienia dwóch ściśle powiązanych ze sobą pytań. Czy upieranie się przy rygoryzmie mającym korzenie jeszcze w koncepcjach Riegla i Dvořáka ma sens, gdy na lewo i na prawo europejska praktyka konserwatorska dowodzi, że co chwilę daje o sobie znać neoromantyczne pragnienie odtwarzania śladów przeszłości? Co warte są nakazy, których w spektakularnych sytuacjach nie chce się przestrzegać?

Daremne było więc przypomnienie poczynione przez Kartę Wenecką. Nurt neoromantyczny ostatecznie przeważył. W Krakowie nie ostała się nawet kompromisowa metoda Adolfa Szyszko-Bohusza. Wieża Ratuszowa otrzymała więc wykusze, mimo że nie ma dostatecznych dowodów na to, że kiedyś miała je aż z trzech stron. Na wzgórzu wawelskim wyrastają ponoć w zabytkowej formie nowe dachy na basztach Sandomierskiej i Senatorskiej, nie bacząc na to, że przeszło stuletnia postać tych baszt stała się trwałym elementem zabytkowego krajobrazu krakowskiego. Każdej konserwacji budynku w starym Krakowie towarzyszy rekonstrukcja, chociażby bramy, okuć, klamek, posadzek, pieców i polichromii. Nowe ławki i ograniczniki ruchu pieszych na Plantach, drogowskazy, kioski, oznakowania przystanków tramwajowych w obrębie Plant muszą być w stylu neogotyckim. W drugiej połowie XX wieku wrócił więc do Krakowa XIX-wieczny neogotyck. Styl potworek w dziejach sztuki, pokraka wyobraźni.

Czas chyba nadszedł, aby zrewidować Kartę Wenecką. Trzeba jasno powiedzieć, że gdy przeważają racje historyczne i wielkie znaczenie dla dziejów kultury zniszczonego zabytku, należy przyzwalać na daleko idącą rekonstrukcję. Powinny ją poprzedzać studia badawcze i cechować maksymalne wykorzystanie wszystkich zachowanych fragmentów i dążenie, aby przybliżyć się do postaci zabytku przed jego zniszczeniem. Wszędzie natomiast tam, gdzie taka wyjątkowa sytuacja nie zachodzi, należy ograniczyć się tylko do zakonserwowania zabytku i podczas odnawiania pomieszczeń użytkowych nie mających charakteru zabytkowego pozostawić miejsce sztuce współczesnej. Rekonstrukcjonizm w takim wypadku jest niczym innym jak fałszowaniem historii, odbieraniem prawa nowym generacjom do pozostawiania artystycznych śladów ich epoki.



Wróćmy do obrazu Karola Estreichera z jego patronem. Przygody jego są znakomitą ilustracją ówczesnych stosunków międzyludzkich w Uniwersytecie Jagiellońskim, pomysłowości Estreichera w wydobywaniu się z konfliktów, jakie powstawały nie bez jego przyczyny. Najprawdopodobniej nie wcześniej jak w połowie marca 1963, a zatem dwa lata później, obraz został wstawiony we wnękę w ścianie szczytowej. Mimo że farba na nim od dawna wyschła, zaczęły się kłopoty. Dała znać o sobie zasada, że złośliwe oko zawsze lepiej coś wypatrzy niż oko człowieka przychylnego. Najlepiej zresztą opowie o wszystkim sam Estreicher.

W dniu 4 kwietnia 1963 roku, w środę, zapisał w swoim *Dzienniku*: „Złośliwości Taszyckiego na temat Collegium Maius, że na fasadzie od Huty jest obraz św. Jana, przed którym wymalowana jest moja postać w formie oranta. Jest to prawda, ale wnioski z tego są złośliwe. Wobec możliwości uszkodzenia mi przez Taszyckiego trzeba będzie zaraz jutro obraz wyjąć,

a na miejsce wstawić inny”⁵⁶. Rzeczywiście tak się stało, bo w tydzień później, w dniu 11 kwietnia zanotował: „Szybko Pabisiak wymalował niewyraźny obraz królowej Jadwigi i wstawiłem go na fasadę od strony Huty”⁵⁷. Dlaczego Estreicher we własnym *Dzienniku* pisał o jakimś świętym Janie, a nie o swoim patronie? Po co ta zabawa w maskowanie? Przed sobą?

W dniu 18 maja, w sobotę, zebrała się komisja powołana przez ówczesnego rektora Kazimierza Lepszego, celem omówienia kolejnej fazy sporów o adaptację pomieszczeń dla Instytutu Historii Sztuki między Estreicherem a kolegami profesorami z tego Instytutu. Nie zabrakło w niej Witolda Taszyckiego, który, znowu oddajmy głos Estreicherowi: „(...) kazał się zaprowadzić na dziedziniec Huty i oglądał fasadę nad Instytutem Historii Sztuki będąc pewnym, że tam jest obraz św. Karola i mój portret klęczący przed nim. Nic podobnego nie było. Przeczując taką inspekcję (ob. 4 IV 63) prosiłem Pabisiaka, aby wymalował (11 IV 63) Królową Jadwigę i wstawił w fasadę. Atak Taszyckiego nie udał się. Ale z niego prowokator (ob. 12 IV 63)!”⁵⁸ A kilka lat wcześniej miał Taszyckiego za przyjaciela.

Portret dwóch Karolów spoczął w magazynie obrazów. Gdy twórca Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego i rekonstrukcji Collegium Maius w 1976 roku odchodził na emeryturę, w ścianie szczytowej od strony dziedzińca Huta obrazu zastępczego już nie było. Z powrotem znajdował się tam *Śm. Karol Boromeusz z Karolem Estreicherem* młodszym. Nie wiadomo kiedy znikł stamtąd obraz królowej Jadwigi. Znikł zresztą dosłownie, bo nie zachował się w Collegium Maius. Z początkiem lat 90., podczas gruntownej konserwacji fasady Collegium Maius, konserwatorzy odświeżyli ten właściwy i zabezpieczyli go przed deszczem i słońcem. Jak zwykle,

⁵⁶ K. Estreicher jun., *Dziennik...*, *op.cit.*, t. 3, s. 412.

⁵⁷ Tamże, t. 3, s. 416.

⁵⁸ Tamże, t. 3, s. 433.

i nie wiadomo kiedy, Estreicher postawił na swoim. Taka historia wynika z zapisów w *Dzienniku*.

Pozostaje jednak pewne „ale”. Zdzisław Pabisiak zapytany niedawno o dzieje portretu dwóch Karolów, nie był w stanie przypomnieć sobie, aby kiedykolwiek w pośpiechu malował jakiś obraz przedstawiający królową Jadwigę. Nie wiem także, czy pamięta, że na tym samym obrazie uwiecznił również siebie samego. Bez lornetki nie da się jednak wypatrzeć małej figurki malarza przy sztalugach...

Wypada jeszcze wyjaśnić, dlaczego na portrecie Estreicher ubrany jest w togę Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Taką a nie inną wkładał na siebie zawsze w czasie uroczystości uniwersyteckich. Chyba nigdy nie miał na sobie togi Wydziału Filozoficznego, a później po jego podziale, Wydziału Filozoficzno-Historycznego. Używał dla podkreślenia tradycji rodzinnej togi po ojcu Stanisławie, profesorze Wydziału Prawa. Czy zresztą chodziło tylko o tradycję rodzinną?

Nie jest to pewne. Z biegiem lat wpadał coraz częściej w przeróżne konflikty z wydziałowymi kolegami, miewał co chwilę do nich pretensje o różne sprawy. Świadczą o tym dobrze tomy 2. i 3. jego *Dziennika*, o którym już wiele razy była mowa. Przestał pojawiać się na posiedzeniach Rady Wydziału, chyba jeszcze w 1959 roku. Z tego roku zachował się ostatni zapis jego obecności. W dniu 23 września 1960 zapisał: „Dziś posiedzenie Rady Wydziału Historyczno-Filozoficznego. Nie poszedłem – nie będę chodził. Atmosfera jest nieznośna. (...) Nie mam żadnego uznania u kolegów. Walki o Collegium Maius, o los Akademii Umiejętności zaszkodziły mi bardzo. Zapewne i mój charakter oporny, nie dopuszczający do ustępstw, gdy chodzi o pewne zasady. Jestem tępiony, zapewne nielubiany, jeśli nie więcej nawet (...).”⁵⁹

Setki kąśliwych uwag w *Dzienniku* o kolegach wydziałowych świadczą, że miał takie samo zdanie i o nich. Nie należał zaś

⁵⁹ Tamże, t. 2, s. 762.

do tych, którzy potrafią maskę obojętności wkładać na siebie przy tych, których nie cierpiał. Nie powinien być się więc dziwić, że finał wzajemnych stosunków był fatalny. Stała się nim wspomniana już nieszczęsna uchwała z dnia 18 listopada 1967 roku. Czarny mucet prawniczej togi jeszcze przed rokiem 1967 był więc sygnałem, że z „rodzimy” wydziałem już niewiele go łączy.

Jeden więc z Karolów, na pozór ten ważniejszy, spogląda na dziedziniec Huta, na ulicę św. Anny i na tych tam na dole. Drugi, na klęczkach, wydaje się ignorować wszystko co wokół niego. Jakby zapatrzone tylko w swego patrona. Niedoskonałość malowidła, brak staranności w jego wykonaniu, jego malarska szkicowość, pozwalają dopatrywać się tego, czego malarz nie namalował, ułatwia włożenie w obraz takiego wizerunku Estreichera, jaki zachował się w pamięci mu współczesnych i jaki potomnym rysuje się w świetle relacji. Chyba więc daleko mu do zapatrzenia się bezgranicznego w swego patrona. Zbyt żywo interesował się tym co dookoła niego. Nie był człowiekiem skłonny do kontemplacji. Może zerka od czasu do czasu na świat, w którym czuł się często niedobrze, gnębiony i zawsze niedoceniany, a któremu pozostawił dzieło niezwykle? Zrodzone z fantazji, nieautentyczne w niezliczonych szczegółach, ale urzekające i prawdziwe w całości.



38

38



prof. dr hab. Stanisław Waltoś

Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, członek PAN i PAU, dyrektor Muzeum UJ w Krakowie, współtwórca Muzeum Młodej Polski Rydlówka. Autor ok. 300 prac naukowych z zakresu prawa i historii kultury, m.in. *Krajobrazu „Wesela”* i *Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego* (współautor J. Podlecki), narrator w cyklu telewizyjnym „Opowieści z Collegium Maius”. Wykładowca na wielu uniwersytetach zagranicznych, ekspert Rady Europy w zakresie metod zwalczania przestępczości i ochrony dziedzictwa uniwersytetów, współautor projektów ustaw z zakresu muzealnictwa oraz prawa i postępowania karnego.

Laureat piątej edycji Nagrody im. prof. Aleksandra Gieysztora za szczególne osiągnięcia w działalności mającej na celu ochronę dziedzictwa kulturowego.



ISBN 83-02-09056-5
9 788302 090561

Paoston dieidina
na